UDERZENIE W ANTONIEGO MACIEREWICZA

Demaskujemy spiskowe teorie Tomasza Piątka

Jak Turcja i Katar próbują uczyć Polskę demokracji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 28/230 10–16 LIPCA 2017

OSTRA ROZMOWA

Warzecha kontra Bodnar

SZUKAJĄ KRWI

Gdy zawiodła „ulica i zagranica", anty-PiS stawia na męczenników

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 108 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 464d4774fb

TOMMY HILFIGER
12 HOURS
24 HOURS

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zachód i barbarzyńcy

Nic tak dobrze nie pokazuje znaczenia słów Donalda Trumpa wypowiedzianych w Warszawie jak wściekłość tych, którzy usiłują zatrzeć ich znaczenie. Jedni mówią o zwiezionej na pl. Krasińskich tłuszczy, inni nazywają wiwaty tłumów „bałwochwalczymi". Wyjątkowo rozbawił mnie jeden komentator, który uznał, że wystąpienie prezydenta USA nie było skierowane ani do Europejczyków, ani do Polaków, ale do wyborców PiS. Żeby nie dostrzec w wystąpieniu Donalda Trumpa niczego więcej niż tylko banalne komplementy pod adresem elektoratu PiS, trzeba mieć naprawdę wyjątkowo ograniczony móżdżek.

To, co powiedział prezydent Trump, było bowiem i historyczne, i przełomowe. I to nie dlatego – jak chcą tani szydercy – bo „kadził Polsce i Polakom, żeby wyciągnąć od nich kasę". Pierwszy raz tak śmiało od lat zabrzmiał głos inny, niż powszechnie przywykliśmy.

Donald Trump w Warszawie okazał się wizjonerem. To ktoś, kto chce bronić zachodniej cywilizacji, kto nie tylko zabiega o interesy i korzyści, lecz także, tak jak przed nim Ronald Reagan, ma słuszną podstawową intuicję moralną i rozumie, że w najgłębszym tego słowa znaczeniu sprawy publiczne podlegają ocenie metapolitycznej. To właśnie najbardziej różni Trumpa od wszystkich innych współczesnych europejskich przywódców. Który z nich, zastanawiam się, gotów byłby powiedzieć, że to wiara w Boga, tradycja, wierność minionym pokoleniom zapewniają sukces? Kto z nich wspomniałby o tym, że komunizm obaliła wiara wyrażona w słowach: „My chcemy Boga"? Który z nich odważyłby się stwierdzić, że „jesteśmy najmocniejszą i najwspanialszą wspólnotą narodów, jaką poznał świat"? Kto mógłby tak prosto powiedzieć, że podwaliną wolności jest naród? Że u podstaw siły narodu musi być duma z jego osiągnięć i nadzieja na jego rozwój w przyszłości? Który z nich śmiałby zapytać: „Czy mamy wystarczająco dużo szacunku dla naszych obywateli, żeby bronić naszych granic"?

Tchórzliwa Europa żadnych granic bronić nie chce. Przeciwnie, zamiast okazywać szacunek własnym obywatelom, których tradycje, wolności i bezpieczeństwo należy chronić w pierwszym rzędzie, prowadzi samobójczą politykę otwierania granic, niszczenia i podważania chrześcijańskiej tradycji. I jeszcze jedno: Który z tych wypranych i przemielonych przez machinę politycznej poprawności liderów śmiałby wspomnieć o banalnej prawdzie: „Zachód został ocalony dzięki krwi patriotów […] każda piędź ziemi, każdy centymetr naszej cywilizacji jest tej obrony wart. Nasza walka w obronie Zachodu […] zaczyna się od naszych umysłów, naszej woli, naszych dusz"?

Dopiero w tym kontekście należy odczytywać wszystko to, co mówił o Polsce prezydent Trump: „Walczmy zatem tak jak Polacy: za rodzinę, za wolność, za kraj i za Boga". To właśnie czyni te słowa tak unikatowymi. Do tej pory w polskiej debacie dominowała pedagogika wstydu. Różni mędrkowie na wyścigi starali się przekonać, że postęp i sukces wymagają, aby Polacy porzucili swoje dziedzictwo. Zapomnieli o swoich zmarłych, wyparli się Boga, rozrzedzili i rozmyli katolicyzm, przezwyciężyli ponoć ograniczający ich patriotyzm. Prezydent USA, przywódca największego światowego imperium, nagle pokazał, że wszystko to są modne salonowe androny. „Naród" to słowo, które wciąż znaczy najwięcej. Tylko przez odniesienie się do wspólnoty narodowej, wspólnoty ducha i wartości, jednostka może prowadzić sensowne życie, a cywilizacja przetrwać.

Kilka godzin po tym, jak w Polsce radosne tłumy słuchały słów o patriotyzmie i cywilizacji Zachodu w Hamburgu, dziesiątki tysięcy niemieckich lewaków próbowały, niszcząc ulice i podpalając samochody, zaatakować Trumpa. Te dwa obrazy: z pl. Krasińskich i z Hamburga, dobrze pokazują, gdzie jest dzisiaj centrum cywilizacji, a gdzie panuje barbaria. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

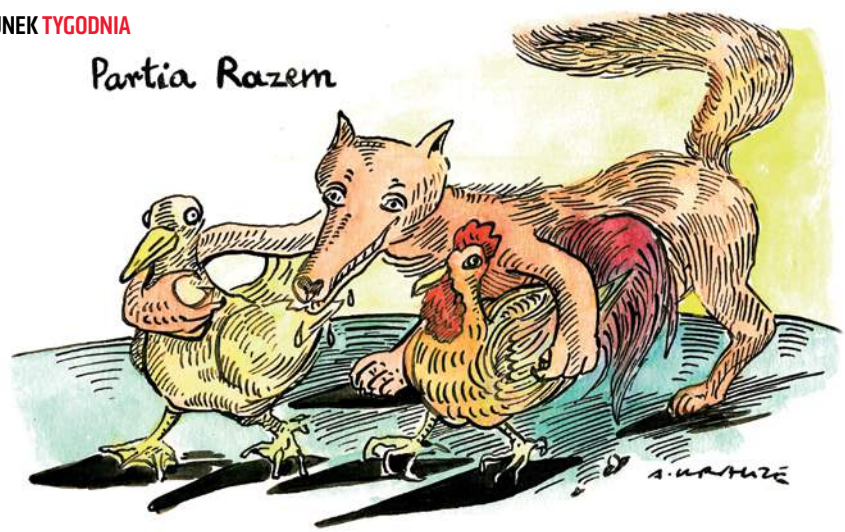

eprasa.pl 464d4774fb

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SYNDROM WYMUSZONEGO MĘCZEŃSTWA
Zwalczanie smoleńskich marszów

19 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
UBECKIE METODY OBYWATELI RP

22 FILIP MEMCHES
FRASYNIUKIZM JAK MACRONIZM

DONALD TRUMP W POLSCE

24 MARCIN MAKOWSKI
KONSERWATYWNA REWOLUCJA
Donald Trump wezwał Zachód do obrony wartości i jako przykład wskazał Polskę

26 PRZEMÓWIENIE AMERYKAŃSKIEGO PREZYDENTA NA PL. KRASIŃSKICH
TRUMP: POLSKA ZAWSZE ZWYCIĘŻY

76 ROZMOWA Z IANEM BRZEZINSKIM
RYZYKO WOJNY Z ROSJĄ JEST REALNE

79 RADOSŁAW WOJTAS
TRÓJMORZE JEST WAŻNE

KRAJ

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ŚLEDZTWO WEDŁUG PIĄTKA
Insynuacjami w Antoniego Macierewicza

33 ROZMOWA Z ADAMEM BODNAREM
„500+" JEST SUKCESEM RZĄDU

36 KAMILA BARANOWSKA
KŁAMSTWO MEDIALNE

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
OBOZOWA MAMA

KULTURA

44 ROZMOWA Z DARIUSZEM WIEROMIEJCZYKIEM
CHCĘ ROBIĆ RZECZY WAŻNE DLA POLAKÓW
Dyrektor Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego: instytucje kultury muszą być częścią polityki państwa

46 WOJCIECH ENGELKING
CZAS KOBIET

48 ROZMOWA Z AUTOREM KSIĄŻKI O KORNELU MAKUSZYŃSKIM
SKAZANY NA ZAPOMNIENIE

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 PIOTR GOCIEK
CZY UNIA WYJDZIE Z UNII?
Komu nie podoba się integracja

58 WITOLD REPETOWICZ
KATAR I TURCJA UCZĄ NAS DEMOKRACJI

62 ROZMOWA Z KATARZYNĄ LUBNAUER
HASŁO „ANTYPISU" TO ZA MAŁO

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA
MATKA AUSTRII ZE SKAZĄ
Maria Teresa Habsburg – najpotężniejsza kobieta z tego rodu cesarskich władców

68 PIOTR WŁOCZYK
ZAPOMNIANY POLSKI WALLENBERG

ŚWIAT

72 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KONIEC CHADECJI
Wojna z normalnością przybiera na sile

74 TERESA STYLIŃSKA
WĘŻE ŚWIĘTEGO PATRYKA

EKONOMIA

PRZYWILEJE TWÓRCÓW

polemika DO RZECZY

80 STEFAN SĘKOWSKI
SKOŃCZMY Z FISKALNYMI PRZYWILEJAMI

82 ŁUKASZ WARZECHA
EKWIWALENT ZA NIEDOGODNOŚCI

84 AGNIESZKA ŁAKOMA
Z USA BEZPIECZNIEJ

WAKACJE Z „DO RZECZY"

90 PIOTR SEMKA
PARYŻ
Śladami Charles'a de Gaulle'a

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (70), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 464d4774fb

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu listy różnorodne: od spraw ducha do kwestii językowych. Zapraszamy na naszą stronę: www.dorzeczy.pl, na której odnotowujemy wydarzenia dnia i publikujemy gorące komentarze.

„Egzorcyzm nad Polską i pentekostalizacja”

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł ks. Kobylińskiego o pentekostalizacji Kościoła katolickiego („Do Rzeczy” 27/2017). W artykule widzę sporo trafnych spostrzeżeń. Jednak nie jestem przekonany, dlaczego to zjawisko ma być złe. Uważam, że Kościół katolicki powinien prowadzić ewangelizację tak, by dotrzeć do współczesnego człowieka. Zamiast okopywać się doktrynalnie, lepiej mieć pozytywny program, który dotrze do ludzi.

Poza tym „Duch Święty wieje, kędy chce” i nie można wykluczyć, że działa również w Kościele zielonoświątkowym. Nie wiem, czy taka opinia zabrzmi dla księdza jak herezja.

Osobiście widzę w parafii pewną rutynę i mało prób dotarcia do ludzi z Dobrą Nowiną. Zatem trochę pentekostalizacji by się przydało, żeby pobudzić gorliwość, pogłębić wiarę. Przecież różne wspólnoty, które powstają w Kościele po Soborze Watykańskim II nazywa się „wiosną Kościoła”. Jak odróżnić działanie Ducha Świętego od protestantyzacji?

Marek Mitros, Łomianki

„Dwie dekady dolce vita”

Podzielając ocenę biznesowych działań ks. Kazimierza Sowy („Do Rzeczy” 25/2017), przedstawionych przez Piotra Semkę (będących jednak według mojej wiedzy – osoby zarządzającej w mediach katolickich w tamtym okresie – konsekwencją konfliktu wśród biskupów w sprawie radiofonii katolickiej, a nie samodzielnych decyzji księdza), muszę uzupełnić jego życiorys o niezwykły fakt. Jako osoba reprezentująca wierzyciela jednej ze spółek Radia Plus kierowanej przez ks. Sowę byłem uprawniony do przeglądania jej akt upadłościowych. Z dokumentów finansowych wynikało, że wobec utraty płynności finansowej przed świętami Bożego Narodzenia w 2005 r. ks. Sowa (razem z Tomaszem Arabskim) wypłacili pracownikom z prywatnych środków część wynagrodzeń w wysokości 100 tys. zł.

Piotr Ciompa

Makaronizmy współczesne

Mój PESEL zaczyna się od cyfry 3. Przeżyłem okupację szwabską. Przeżyłem okupację kacapską. Obie były powodem tego, że musiałem przyjąć do wiadomości znaczenie obcych mi słów, jak nie obcego języka, to nowomowy. Dzisiaj nie ma już żadnej okupacji! Pozwólcie mi więc czytać Wasze czasopismo bez zaznajamiania się, co znaczy:

(20/222) – selfie • memy • lead • brejking nius • perfect conditio • first owner, car kept in a garage • think tank • self-made man • casting • brand • Facebook • wunderkindy • Kyriad Prestige • Fussball-Weltmeisterschaft

(21/223) – pro-choice • skapowanie • na privie • najwięcej lajków • interfejs • Big Data • machine learning • start-upami • ranking

(22/224) – mailnęła • trendów • bad news • like a piece of shit • one Donald is more than enough • w tym leadzie • soft power • patchwork • selfie • upgrade'em • interfejsu • start-upowa • chipuje • scoringowa

(23/225) – „nobody's perfect” • timing • content • influencer • oldskulowo • messengerowe • car-sharing.

Henryk Pułaczewski

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: **Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje
Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż); **Karolina Olchowik** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 108 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 464d4774fb

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.
Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY

SEJM
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY:

PGNiG

PARTNER WYDARZENIA:

LOTTO

MECENAS:

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Podejrzany hołd powstaniu?

Jeśli sukces danej wizyty mierzyć liczbą komentarzy próbujących ją ośmieszyć lub umniejszyć jej znaczenie, to przyjazd do Polski Donalda Trumpa można uznać za znaczące wydarzenie.

„Miło było, ale co z tego?", „Zabrakło konkretów", „Amerykański kupiec wcisnął polskim tubylcom paciorki" – to typowy zestaw lekceważących reakcji mediów III RP. Znów dowiedzieliśmy się, że filoamerykanizm Polaków przybyłych na pl. Krasińskich to jedynie objaw „narodowych kompleksów" rozgrywanych sprytnie przez „Kargula" z Waszyngtonu. Sukces wizyty – nagranie z wystąpienia Trumpa w Warszawie cieszy się sporą popularnością w amerykańskim Internecie – zmobilizował jednak też przeciwników amerykańskiego prezydenta. I tu postanowiono zagrać kartą, która w Ameryce ma wyjątkowo silną moc rażenia. Kartą oskarżenia o antysemityzm.

Mówienie o cierpieniach Polaków uznawane jest za skrajnie prawicową propagandę

Oto amerykańska edycja tygodnika „Newsweek" zarzuciła Trumpowi, że udział w tworzeniu projektu wystąpienia prezydenta USA w Warszawie miał brać amerykański historyk polskiego pochodzenia – prof. Marek Jan Chodakiewicz. Znany historyk został opisany jako osoba z inklinacjami antysemickimi. Podstawa? Tygodnik powołał się na raport brytyjskiej organizacji Hope not Hate, która z kolei bazowała na raporcie autorstwa Rafała Pankowskiego z organizacji Nigdy Więcej, której publikacje były krytykowane za szafowanie bez umiaru zarzutem antysemityzmu.

Hope not Hate jako dowód antysemityzmu polskiego historyka cytuje takie zdania jak: „Chcemy polski katolickiej, a nie bolszewickiej" oraz „Śmierć komunie". Jako ostateczny autorytet zostaje zacytowany Jan Tomasz Gross, który określił Chodakiewicza jako „antysemitę".

Inny atak na wystąpienie Trumpa w Warszawie przyszedł ze strony izraelskiego dziennika „Haaretz". „Lider wolnego świata podpisał się pod polską prawicową narracją niewinności i bycia ofiarą przed nazistowską okupacją, w jej czasie i po niej".

Tutaj widać już wyraźnie, jak mówienie o polskich cierpieniach w czasie wojny uznawane jest nie za stwierdzenie oczywistego faktu, ale za skrajnie prawicową propagandę.

Dwa teksty i dwa problemy. Pierwszy to chęć ubrania Trumpa w kostium antysemity za pomocą ubierania polskiego historyka w kostium antysemity.

Chodakiewicz napisał wiele książek o wojennych relacjach Polaków z Żydami poza kanonem, który wyznaczać chce Jan Tomasz Gross. Jak zwykle poręczni są w takich atakach łowcy antysemitów znad Wisły, których raporty uznawane są na Zachodzie za obiektywną prawdę. Jednak ten spór, choć zbudowany na ataku na Chodakiewicza, to raczej element wojny amerykańsko-amerykańskiej.

O wiele poważniejszym problemem jest komentarz z „Haaretz". Sugeruje on, że jedyną dopuszczalną narracją o wojennych wydarzeniach w Polsce powinna być wyłącznie opowieść o Zagładzie Żydów. A każde mówienie o cierpieniach Polaków to skrajnie prawicowa propaganda.

Trump zirytował w Polsce zarówno wyznawców tezy, że jedynym badaczem mogącym wypowiadać się o tym, co zdarzyło się w Polsce w czasie wojny, jest Gross, jak i tych, którzy walczą z „mitem niewinności Polaków".

A dodatkowo ściągnął na siebie krytykę gminy żydowskiej w Warszawie za to, że nie złożył wieńców pod pomnikiem Getta osobiście, ale wysłał tam jedynie córkę Ivankę, notabene wyznawczynię judaizmu.

Zostawmy na boku ten ostatni spór. To kwestia relacji środowisk żydowskich z prezydentem USA. Znacznie bardziej niepokojąca jest zbyt mało dostrzegana w Polsce narastająca tendencja, aby mówienie o polskich ofiarach uznawać za przejaw ukrytego antysemityzmu. Tak samo jak mówienie o Polakach ratujących Żydów traktować jako zasłonę dymną mającą ukryć pamięć o „szmalcownikach".

Niedawno jedna z publicystek „Gazety Wyborczej" zapytała, czy w muzeum Ulmów – rodziny zgładzonej przez Niemców za pomoc ukrywającym się Żydom – znajdzie się informacja, kto wydał bohaterską rodzinę.

To rzadki przykład złej woli. Nikt w Polsce nie ukrywa ani nigdy nie ukrywał, że byli Polacy donoszący Niemcom. Tak jak byli Żydzi donoszący gestapo na innych Żydów. Czy zmienia to jednak coś w obowiązku wskazywania na Sprawiedliwych jako wzór do naśladowania? Tak samo chora jest logika, że mówienie o odwadze powstania warszawskiego jest skierowane przeciw pamięci o cierpieniach Żydów, a każde pochylenie się nad polską tragedią w czasie II wojny przedstawiane jest jako „prawicowa" narracja.

Nie, tak nie jest. I trzeba z takimi sądami polemizować – spokojnie, ale zdecydowanie.

Dzielenie Polaków i Żydów po ich śmierci po prostu nie przystoi powadze ich tragedii. ©℗

eprasa.pl 464d4774fb

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

FELIETON

Usunięta przeszkoda w rewolucji

Odwołanie kard. Gerharda Ludwiga Müllera z urzędu prefekta Kongregacji Nauki Wiary to ważny sygnał. Teraz nie ma już najmniejszych wątpliwości, że rewolucja doktrynalna (dla niepoznaki nazywana duszpasterską) będzie przyspieszać. Jeśli bowiem ktoś się opierał, i to zdecydowanie, liberalnej interpretacji „Amoris laetitia", jeśli ktoś jeszcze przypominał nauczanie św. Jana Pawła II zawarte w encyklice „Veritatis splendor", to był to właśnie były już prefekt Kongregacji Nauki Wiary. To on wskazywał, że ani Kościół, ani papież nie mają prawa dopuścić do komunii rozwodników w ponownych związkach. To on w wywiadach i wykładach uświadamiał, że bez nawrócenia, zadośćuczynienia i postanowienia poprawy, a także bez zmiany życia nie ma mowy o godnym przystąpieniu do komunii. Jego głos był mocny, bo wspierał go autorytet prefekta. Teraz, choć zapewne tak jak poprzedni odwołany przez Franciszka reprezentant mocnej ortodoksji kard. Raymond Burke nie będzie milczał, jego oddziaływanie wewnątrz struktur rzymskich będzie o wiele słabsze.

I nie ma wątpliwości, że o to właśnie chodziło. W oficjalnych komentarzach nikt nawet nie ukrywał, że kard. Müller został usunięty na prośbę licznych kardynałów, którym przeszkadzała jego jednoznaczność. Oczywiście nie możemy zakładać, że jego następca (a wcześniej zastępca), a jest nim jezuita abp Luis Francisco Ladaria Ferrer, pójdzie w innym kierunku czy zacznie rozmywać nauczanie Kościoła, ale sygnał został wysłany. Ci, którzy przypominają, że decentralizacja nie obejmuje doktryny, będą odwoływani. Najpierw spotkało to kard. Burke'a, teraz kard. Müllera, ale jeśli będzie trzeba, to przyjdzie czas także na następnych hierarchów, którzy nie zachwycają się procesami zapoczątkowanymi przez „Amoris laetitia" i nie uważają, że wszystko należy interpretować w duchu tego dokumentu.

Smaczku całej tej sprawie dodaje także to, że odwołanie kardynała zbiegło się w czasie z potężnym skandalem wewnątrz Kurii Rzymskiej. Osobisty sekretarz wpływowego kardynała został złapany z narkotykami i ujawnił, że używał ich podczas organizowanych przez siebie w budynkach Watykanu gejowskich orgietek. Papież miał być tym skandalem wstrząśnięty. Tyle że zamiast odwołać zwierzchnika owego księdza, odwołał kard. Müllera. Kardynał Francesco Coccopalmerio zaś, czyli właśnie ów pracujący do późnych godzin nocnych z narkomanem, seksoholikiem i homoseksualistą hierarcha, ma się świetnie. I aż trudno nie zadać pytania, czy powodem nie jest to, że wcześniej opublikował on wielki tekst uznający, iż jedyną dopuszczalną interpretacją „Amoris laetitia" jest ta liberalna. ©℗

FOT. MICHAŁ DYJUK / FORUM

ZAMIESZKI PRZED SZCZYTEM G20

Przed szczytem G20 w Hamburgu, na który z Warszawy poleciał prezydent USA, doszło do zamieszek antyglobalistów. Policja musiała prosić o wsparcie oddziały z innych części kraju. Protestanci pocięli opony w samochodzie kanadyjskiej delegacji, wybili okna w mongolskim konsulacie i dewastowali samochody policyjne oraz trafili racą w policyjny śmigłowiec. Podpalono salon Porsche, w którym spłonęło 10 aut. Do piątku rannych zostało ponad 100 policjantów, zatrzymano blisko 30 osób. ***(luz)*** ©℗

KONDOLENCJE

Szanownej Pani

Ewie Leniart

wojewodzie podkarpackiej

wyrazy najgłębszego współczucia i słowa wsparcia z powodu śmierci męża

ŚP.

Zbigniewa Nawrockiego

składa

Marek Kuchciński
Marszałek Sejmu

eprasa.pl 464d4774fb

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lekarza!

Przekaźnik jest przekazem – napisał sławny teoretyk nowoczesnych mediów. I coś w tym jest – może nie zawsze, ale czasami rzeczywiście jedyną treścią medialnego komunikatu jest ten, kto go wygłasza. Z tym że nie jest to zjawisko dobre, raczej objaw choroby.

Zasada „przekaźnik jest przekazem" niewątpliwie dotyczy wydania „Gazety Wyborczej" z 7 lipca 2017 r., które sobie zachowuję na pamiątkę jako szczególnego rodzaju kuriozum. To bardzo dobry materiał do badań nad stresem pourazowym oraz jego skutkami. O dzień wcześniejszej wizycie Donalda Trumpa w Warszawie, jego przemówieniu, szczycie Trójmorza, kontrakcie na gaz skroplony i temu podobnych niczego się z tej gazety nie dowiemy – i zresztą chyba nikt tego nie oczekiwał, od takich rzeczy są inne media. Tematem niemal całego wydania „Wyborczej" (poza wyraźnie wcześniej przygotowanym tekstem o dyskryminowaniu w polskich szpitalach „osób LGTBI" – znowu nie nadążam, co to za „I"?) jest stan ducha pracowników i współpracowników gazety.

To bardzo dobry materiał do badań nad stresem pourazowym

To nie są żadne moje złośliwości, tylko fakt. Na pierwszej stronie mamy tekst niejakiego Bartosza Wielińskiego, traktujący o tym, co odczuwał, słuchając Trumpa. Tak, proszę państwa, wysokonakładowa (jeszcze) gazeta, kiedyś uważana za poważną, głównym materiałem „jedynki" czyni dywagacje swojego pracownika: „Jestem wizytą Trumpa rozczarowany"... „najbardziej uderzyło mnie"... „opuszczałem plac Krasińskich z myślą, że...".

Chociaż trzeba przyznać, że to odczucia w rzeczy samej unikalne. Co tak rozczarowało Wielińskiego? To, że prezydent USA wskazał nie tych wrogów, których trzeba. „Ani terroryści, ani Rosjanie nie są w stanie naruszyć systemu zachodnich wartości. Zachodniej cywilizacji bardziej zagraża globalne ocieplenie, niewyobrażalne katastrofy i klęski, jakie wywoła...".

Na następnych stronach jest jeszcze lepiej. Doprawdy, trudno czytać beznarastającego przekonania, że biednym funkcjonariuszom okrągłostołowego agit-propu niebo zwaliło się na głowy i pilnie potrzebują oni fachowej opieki medycznej. Kaftanów i masek à la Hannibal Lecter też, przynajmniej dla pana Wielińskiego – ale to byłby półśrodek i działanie doraźne, a ci ludzie wymagają naprawdę profesjonalnej terapii i pielęgnacji. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zdradach

Mówią, że mąż o zdradzie żony (i odwrotnie) dowiaduje się ostatni, bo miłość zaślepia nie gorzej od ideologii. Włoski rząd sprawia wrażenie, jakby dopiero teraz się zorientował, że w kwestii migrantów zdradziły go wszystkie kochanki: Unia, Francja, Angela Merkel i organizacje pozarządowe. W ciągu dwóch dni przypłynęło 13,5 tys. migrantów. Zszokowany rząd zagroził, że nie wpuści do swoich portów statków z przybyszami pod obcą banderą.

Wstrząs był tak wielki, że spadły maski. Okadzany bez pamięci zbawca Europy Macron krzyczał, że Włochom trzeba pomóc, ale sam nie chce przyjąć ani jednego „uchodźcy ekonomicznego" z Włoch (stanowią tu 80 proc. wszystkich). Statków z migrantami też nie chce, podobnie jak Hiszpania i Malta. Na wszelki wypadek wysłał na granicę z Włochami posiłki wojskowe z psami. Austriacy wysłali wozy opancerzone.

Włosi zażądali, by statki ratownicze organizacji pozarządowych nie wpływały na wody libijskie, nie wyłączały transponderów, nie dawały przemytnikom ludzi sygnałów świetlnych, ujawniły źródła finansowania i wpuściły na pokład włoskich wojskowych. Te dezyderaty mówią wiele o tym, co naprawdę dzieje się u wybrzeży Libii, i wszystko o poziomie zaufania włoskiego rządu do pięknoduchów. Nawet euroentuzjaści zaczynają rozumieć, że Italia z problemem migrantów była i jest sama.

Włosi zrealizowali wszystkie recepty wystawione w Brukseli i teraz, poniewczasie, orientują się, że nie wypisał ich lekarz, lecz szalony, zideologizowany szarlatan albo podstępny, diaboliczny cynik. Italia stała się przechowalnią 200 tys. ludzi z Afryki, których nikt nie chce. Nawet te kraje, z których przybyli. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 464d4774fb

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Mam marzenie

Martin Luther King powiedział: „Mam marzenie" w sierpniu 1963 r. na stopniach Mauzoleum Abrahama Lincolna w Waszyngtonie. Wydawało mi się, że z kolei skala i waga mojego marzenia jest znacznie skromniejsza, niż było w przypadku Kinga, i że porównanie jest nie na miejscu, ale patrząc na komentarze, wypowiedzi i zachowania towarzyszące wizycie prezydenta Donalda Trumpa, zaczynam mieć wrażenie, że marzę o czymś równie przełomowym jak lider amerykańskich Murzynów niemal pół wieku temu.

To niedobrze, bo sprawa nie powinna być doniosła, ale całkiem normalna. Marzy mi się mianowicie, żeby istniało wśród polskich polityków ramowe porozumienie co do tego, co znaczy bycie politykiem poważnym. A bycie politykiem poważnym znaczy m.in., że można się na co dzień spierać, nawet bardzo ostro (ale też, bądźmy szczerzy, nie skrajnie głupio – choć to temat na inną historię), natomiast gdy do Polski przyjeżdża prezydent najważniejszego państwa świata, warto na moment zawrzeć rozejm, bo to jest obiektywnie ważne wydarzenie. Co do tego sporu być nie powinno, bo taki spór właśnie jest niepoważny. Owszem, można się spierać o to, jakie ta wizyta będzie mieć ostatecznie wagę i skutki, w krótkim i długim terminie, ale warto, żeby prezydenta USA – tego czy innego – posłuchali w skupieniu wszyscy politycy, którzy poważnie traktują swoje państwo, swoich wyborców i przede wszystkim samych siebie.

Zaiste nie jestem w stanie pojąć, dlaczego robi z siebie idiotę były minister finansów Jan Rostowski, twierdząc w przede dniu przyjazdu Donalda Trumpa, że jeśli nie potwierdzi on w Warszawie art. 5 traktatu waszyngtońskiego, to jego wizyta będzie tylko „polityczną szopką". Trochę bardziej rozumiem, dlaczego robią z siebie idiotów postaci takie jak posłowie z młodej frakcji PO czy Nowoczesnej. A jednak marzy mi się, żeby przez te niecałe dwa dni także oni – a w odwrotnej sytuacji politycznej politycy PiS – pomyśleli o państwie jako całości.

Powiedzą państwo – marzenia ściętej głowy? Wiem, wiem. Jednak Martinowi Lutherowi Kingowi też tak mówili. A przecież jego marzenie było trudniejsze do spełnienia.

Jednak czy na pewno? ©℗

KONDOLENCJE

Wszystko ma swój czas:
jest czas spokoju, cierpienia, bezgranicznej rozpaczy oraz czas wdzięcznej pamięci.
(Jan Paweł II)

Jerzemu Szulwicowi
i jego Bliskim

Wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Siostry

składa Michał M. Lisiecki z zespołem PMPG Polskie Media i „Do Rzeczy"

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 27 sierpnia 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 27,50 zł

2.

~~39,90 zł~~ 28,50 zł

3.

~~39,90 zł~~ 27,90 zł

4.

~~59,90 zł~~ 39,50 zł

5.

~~49,90 zł~~ 34,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 464d4774fb

EKSHIBICJONISTKA

Aktorka Katarzyna Warnke postanowiła pochwalić się na Instagramie swoją gołą pupą. Na zamieszczonym zdjęciu pręży się naga za półprzezroczystą firanką. Nie wszystkim jej fanom spodobał się ten ekshibicjonizm. Niektórzy ostro ją skrytykowali, na co celebrytka nie była chyba przygotowana. „Nie znam Pani, ale ciekawi mnie, dlaczego robi sobie Pani zdjęcia goła i je publikuje?" – zapytała jedna z fanek. Kasię najbardziej jednak chyba zabolał komentarz odnoszący się wprost do jej figury. Jeden z komentujących stwierdził, że jest „mało kobieca". Wtedy celebrytka wpadła w szał! „To po co Pan tu wypisuje te dyrdymały, tym bardziej że nie podoba się. Niech się Pawełek zajmie czymś, co mu się podoba. Dla ścisłości, nie uważam, że to fajnie robić takie uwagi. Reakcje innych Pań są wyraźne. Ja po prostu mam gdzieś Pana opinię, chciałam, żeby Pan o tym wiedział" – odpowiedziała. Nie po to przecież pani celebrytka wrzuca nagie zdjęcia do sieci, żeby ktoś wygłaszał na ich temat opinie, prawda? Logiczne przecież.

SŁAWNY I SKROMNY

Stanisław Karpiel-Bułecka to wokalista, który w show-biznesie zaistniał głównie za sprawą tego, że jest bratankiem Sebastiana Karpiela-Bułecki z Zakopower. Teraz zaczął już nawet udzielać wywiadów. W jednym z nich stwierdził skromnie, że hejtują go ci, co mu zazdroszczą. – W show-biznesie jak ktoś za dobrze wygląda, to ma jeszcze więcej hejtu. Najlepiej jakby był kulawy, ślepy, a przy tym fajnie śpiewał – stwierdził. Gdyby tak jeszcze unikał wywiadów, gdy nie ma niczego mądrego do powiedzenia. Cóż, pomarzyć zawsze można.

ŻYCIE Z PASJĄ ZAMIAST DIETY

Edyta Herbuś, jak na prawdziwą celebrytkę przystało, postanowiła zapewnić świat, że – broń Boże! – nie stosuje żadnych diet, a to, jak wygląda, jest w pełni naturalnym efektem jej pozytywnego nastawienia do świata i ludzi. Szczerze mówiąc, nie rozumiemy tego ciągłego zapewniania celebrytek, że nie stosują diet, brzydzą się odchudzaniem i stronią od medycyny estetycznej, kiedy wszyscy dookoła wiedzą i widzą, iż jest dokładnie odwrotnie. Cóż, Herbuś w każdym razie przekonuje, że jej receptą na piękno jest życie z pasją. – Aktywne życie z pasją, serdecznością do świata i ludzi, to wpływa na dobry wygląd. Kiedy dodamy to tego zdrową dietę, wszystko się zgadza – mówi Herbuś. – Nie katuję się dietami. Ciało jest piękne, kiedy jest mu przyjemnie. Nie wyobrażam sobie, że chodzenie głodnym dobrze wpływa na ciało – podkreśla. Gorzej na ciało i duszę celebrytki mogłoby wpłynąć tylko przyznanie się do tego, że jest się na diecie. Niedoczekanie!

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

FOT. PAWEŁ GROMADA

CO SIĘ MA WYDARZYĆ

Ilona Felicjańska, znana aktorka, modelka i pisarka, która ma na koncie thriller erotyczny, dwa poradniki, jak dobrze i pięknie żyć, jedną autobiografię i niezliczoną liczbę wywiadów, postanowiła znów obdarować świat swoimi refleksjami. Tym razem na temat zagrożenia terroryzmem. W jednym z niedawnych wywiadów opowiedziała, że będąc ostatnio w Nicei, gdzie rok temu doszło do zamachu terrorystycznego, niczego się nie obawiała. – Jeśli ma mnie coś spotkać, to spotka mnie bez względu na to, gdzie będę. Nie chcę funkcjonować w strachu. Kompletnie nie boję się śmierci. Idąc alejką w Nicei, nie obawiałam się, że coś się może wydarzyć. Wierzę w przeznaczenie, to, co ma się wydarzyć, to się wydarzy – stwierdziła. Po głębi myśli od razu widać, że Ilona to pisarka. Czekamy na jej książkę z aforyzmami. Będziemy szukać na półce obok Paula Coelha.

CWANY JAK MALAJKAT

Aktor Wojciech Malajkat poskarżył się, że przez wyłączenie ruchu wokół Akademii Teatralnej, której jest rektorem, nikt nie dotrze na organizowany przez niego festiwal ITSelF. Dlatego też postanowił w tej sprawie zwrócić się do samego Donalda Trumpa z prośbą o „drobną gratyfikację", która miałaby zrekompensować Malajkatowi poniesione straty. „[...] środki bezpieczeństwa, którymi objęta zostanie wówczas okolica, sprawiają, że jedyną publicznością festiwalu będą mogli zostać agenci Pańskich służb bezpieczeństwa. Gdybyśmy zostali o tym uprzedzeni, przenieślibyśmy festiwal na inny termin, ale Pańska wizyta jest dla nas zaskoczeniem" – pisze Malajkat. „Panie Prezydencie, odnosimy się z wielkim szacunkiem do celu pańskiej wizyty w Polsce, a także wysoce cenimy kulturę amerykańską. Nie oczekujemy zaś niczego więcej niż wzajemności i, być może, drobnej gratyfikacji dla naszych wysiłków kulturalnych. Czy możemy liczyć na Pańskie wsparcie?" – kończy swój list. Niestety, Trump nie odpisał. Malajkatowi odpowiedział za to portal tygodnika „Do Rzeczy", który ujawnił, że na organizację swojego festiwalu Wojciech Malajkat dostał od władz państwowych i samorządowych ponad pół miliona złotych, podczas gdy szacowane zyski ze sprzedaży biletów wyniosłyby zaledwie ok. 5 tys. zł! Myślał Malajkat, że biznes życia na Trumpie zrobi, a wyszło, jak wyszło. Tak oto został męską wersją „chytrej baby z Radomia". To chyba jedna z jego najlepszych ról! ©℗

eprasa.pl 464d4774fb

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, na przykładzie ostatnich konwencji PO i PiS widać wyraźnie, jakie priorytety społeczno-obywatelskie ma każda partia. Nieprzypadkowo bowiem Platforma spotkała się w Warszawie, a PiS urządził sobie sabat gdzieś na wsi koło Radomia xD Co to w ogóle jest za nazwa – Przysucha xD

PiS po raz kolejny pokazał, w jak wielkiej pogardzie ma elity tego kraju – mieszkańców dużych miast, wykształconych, pracujących w korpo, pijących małą kawę z papierowego kubka za 19,99 zeta. To kolejny przykład arogancji władzy.

Z kolei PO po raz kolejny okazała się partią rozsądną, partią osób aspirujących, dynamicznych i z wielkich ośrodków miejskich. Nawet hasło przewodnie konwencji PO było stargetowane idealnie pod nas: „NIEDLA PiS" – tak, iż nie mieliśmy żadnego problemu, aby je zrozumieć.

Jesteśmy pełni oburzenia na Donalda Trumpa, iż ten pokazał, w jakiej pogardzie ma Unię Europejską i zdecydował się, że pierwszym krajem w Europie, który odwiedzi, będzie ten kraj. Aż dziwne, iż zdecydował się na przylot do Warszawy, a nie na Podkarpacie.

W ten sposób Trump pokazuje, iż docenia ten kraj. Jak wiadomo, Trump jest fashystą, nienawidzi kobiet, mniejszości i osoboimigrantów. Można więc stwierdzić, iż to taki wąsaty janusz z Podkarpacia, tylko w wydaniu amerykańskim.

Na szczęście środowiska postępowo-lewicowe mają różne pomysły na to, jak pokazać temu Trumpu, iż mówią dla niego głośne: „NIEDLA". My też dołączyliśmy do tego chóru i dlatego nie przyszliśmy na spotkanie z Trumpem, a w dowód protestu przez cały okres jego pobytu w tym kraju chodziliśmy tyłem, iżby pokazać, iż Trump cofa Amerykę do średniowiecza.

Jakże inaczej niż zacofana Ameryka wyglądają nasze megaeuropejskie Niemcy! Wybaczcie to słowo „nasze" – of kors nie chcemy zawłaszczać Niemiec, trudno nam jednak pohamować entuzjazm, kiedy pomyślimy sobie, iż Niemcy postanowili zalegalizować i sformalizować związki nieheteronormatywne!

To cudowna wiadomość także dla osobouchodźców, którzy w opresyjnych warunkach kulturowych nie byli w stanie w pełni odkrywać swojej orientacji. W ten sposób niejeden Ahmed będzie mógł się wyzwolić z oków narzuconej mu społecznie heteronormatywności i odkryć nowego/nową/nowe siebie.

Bez wątpienia społeczność LGBTQWERTY w Niemczech ma szansę teraz jeszcze bardziej się rozwinąć i ubogacić kulturowo.

Okazuje się, że nawet Niemcy zostali jednak wyprzedzeni w postępie. I to przez kogo – przez Kolumbię! Z ciekawości sprawdziliśmy na mapie, gdzie Kolumbia leży – co prawda nie w Europie, ale mentalnie do niej jak najbardziej pasuje! xD

Otósh w Kolumbii trzech fallusoosobników zawarło poliamoryczny związek nieheteronormatywny. To cudowny krok naprzód w dekonstrukcji tradycyjnie pojmowanej patriarchalnej rodziny.

Zastanawiamy się, co będzie kolejne, i na ilu osobach wchodzących w skład jednego nowoczesnego małżeństwa się skończy. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 464d4774fb

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Dobry Donald z Ameryki przyleciał, powiedział i poleciał. Trzeba przyznać, że zawiesił wysoko poprzeczkę złemu rudemu Donaldowi z Brukseli. Na którego zresztą, w odróżnieniu od dobrego Donalda, wcale nie czekamy.

Trudno w to uwierzyć, ale są na świecie osoby ważniejsze od dobrego Donalda. Na przykład podczas powitania Trumpów na lotnisku najważniejsza była pani Irenka. Pani Irenka jest szefową protokołu z MSZ i zawsze wkręca się na wszystkie zdjęcia. Na powitanie Donalda wbiła się w coś bardzo zauważalnie jasnego i kręciła wokół prezydenckiej pary jak sputnik wokół Ziemi. Donald był trochę zdziwiony, ale zareagował dopiero jego osobisty fotograf, który zaczął się drzeć, żeby wyprowadzić Irenkę z kadru.

Są miejsca gorsze do pracy niż Secret Service. Na przykład Zamek Królewski w Warszawie. Do ostatniej chwili trwały gorączkowe prace nad przewieszaniem obrazów, żeby dobry Donald nie siedział pod jakąś ruską carycą albo końskim zadem. Ostatecznie za dobrym Donaldem znalazł się portret Jana III Sobieskiego. Słusznie. Sobieski też miał całkiem fajną Melanię. I bywał rubaszny jak dobry Donald. Wiemy to z listów do Marysieńki.

Apropos obrazów. Dobry Donald był niesłychanie zafascynowany „Rejtanem" pędzla Jana Matejki, a w szczególności historią Rejtana, którą opowiedział mu w języku lengłydż prezydent Andrzej Sebastian. Tak, my też widzimy pewne podobieństwa. Liczymy jednak na lepszy koniec tej historii. Trump – Rejtanem Zachodu!

Potem dobry Donald przemawiał do dobrych Polaków. I okazało się, że amerykańska ambasada jest skąpa, nie tylko jeśli chodzi o amerykańskie wizy. Tak rozprowadzała zaproszenia do loży VIP, że nie udało się jej zapełnić, choć chętnych było mnóstwo. Pamiętała za to o TW „Bolku". Wiemy nawet dlaczego. Tak się składa, że amerykański ambasador bardzo kumpluje się z Rysiem Schnepfem, byłym ambasadorem Polski w USA. Tym, który miłość do „Bolka" ma zaKODowaną w genach.

Apropos zaproszeń. To prawda, rozdawała je ambasada amerykańska, ale był wyjątek. Krwawy Antoni, hegemon wojsk koronnych, załatwił zawczasu trochę wejściówek do swojej dyspozycji i rozdawał wedle własnego rozdzielnika. Because he's the Man here. Popieramy. Nie będzie Amerykanin pluł nam w twarz. Ani w zaproszenia.

Ciekawa rzecz – Srebrny Lis Dyplomacji przed wizytą dobrego Donalda zorganizował briefing dla dziennikarzy o tej samej porze, o której dziennikarzy briefował Krzysiek Szczerski od prezydenta Andrzeja Sebastiana. Niestety, przekazy dnia nijak się nie składały: Krzysiek swoje, a Waszczu swoje. Wiemy więc już, co to jest alternatywna rzeczywistość. Jest rzeczywistość. I jest Waszczu.

Bądźmy szczerzy. Tydzień przed wizytą dobrego Donalda w Warszawie odbyła się ważniejsza impreza: wizyta PiS w Przysusze. Tam sala była pełna. Może dlatego, że to nie ambasada amerykańska rozdawała zaproszenia. No i na kongresie w Przysusze karierę robiła inna dama – nie Melania, tylko Rekonstrukcja.

Po mowie Kaczora-Dyktatora na kongresie wszyscy są przekonani, że rekonstrukcja wreszcie nadejdzie. W listopadzie. I że najbardziej zrekonstruowany będzie Andrzej Adamczyk, minister od infrastruktury. Bo za bardzo bruździ nadpremierowi Morawieckiemu, słynnemu synowi sławnego ojca. Poza tym Adamczyk przyjaźni się z premier Bełatą, a to zdaniem Kaczora-dyktatora błąd. Ciekawi nas przypadek Waszcza. On z nikim się nie przyjaźni. Może dlatego nie został jeszcze zrekonstruowany.

Brutalny atak na Adamczyka zadziwił wszystkie PiS-owskie wiewiórki, jakie znamy. Wszystko dlatego, że uważano go za nietykalnego. Dlaczego? Bo to on organizuje co miesiąc wizyty JarKacza na Wawelu. Z drugiej strony pomyślcie: czy one wyglądają na dobrze zorganizowane?

PiS znowu zwodzi Polaków. Jojo Brudziński rozpowszechnia zdjęcie z kongresu w Przysusze, na którym widać owocowego jeża i babeczki owocowe. To tylko część prawdy. Jak ustaliliśmy, podano również obiad, który był bardziej tradycyjny. Grochówka, kotlet mielony, ziemniaczki i młoda kapusta. Polska jest piękna.

Lepszy polski mielony niż unijna golonka. To znaczy golonka była niby polska, ale dofinansowana ze środków Unii Europejskiej. No i zaginęła. Całe 173 kg. Nie robimy sobie jaj, tylko relacjonujemy najnowszą aferę z Mszany, gdzie prokuratura interesuje się w związku z tym dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury i Rekreacji. Golonkowym skrytożercom mówimy zdecydowane nie!

eprasa.pl 464d4774fb

Wielką chętkę na zakłócenie kongresu PiS mieli działacze KOD, którzy tymczasem zgromadzili się w nieodległym Radomiu. Wysyłali nawet w okolice ośrodka w Przysusze swoje czujki, ale ostatecznie zrezygnowali, bo impreza była zbyt dobrze pilnowana. Pytanie: Jak w krzakach rozpoznać działacza KOD? Odpowiedź: ma 20 przypinek i śmigiełko na głowie.

Pamiętacie kłopoty z wicepremierami? Kiedy premier Bełata miała wypadek, okazało się, że wicków u niej trzech, ale nie wiadomo, który najważniejszy i który – w razie czego – ma przewodzić pracom rządu, gdy Bełata znajduje się w łożu boleści. Tutaj zaszła zmiana, bo ostatnio pisma z biura prof. Piotra Glińskiego mają nagłówek: „I wicepremier". Spróbujemy wsadzić kij w mrowisko – to który z pozostałych dwóch jest drugi, a który trzeci – Jarosław czy Mateusz? Porządek wszak musi być.

Mało kto wie, że wicepremier Gliński aktywnie zabiegał o swoją pozycję Pierwszego Wice. Jak wiecie, Bełata trafiła po wypadku na Szaserów. Traf chciał, że w tym samym czasie przebywał tam Gliński, w jakiejś swojej medycznej sprawie. Jak tylko dowiedział się o kontuzji Bełaty, natychmiast wypisał się i pognał, żeby nikt go nie uprzedził w kierowaniu rządem. Wiemy więc już, po co Bełata sformalizowała sytuację. Żeby uniknąć gorszących wyścigów.

To nie koniec jątrzących pytań, które chodzą nam po głowie. Na przykład taki prezes PiS. Ma sześciu wiceprezesów, ale który jest pierwszy, a który szósty? Sami przyznacie, że gdyby Kaczor-Dyktator zaniemógł, to jest pewna różnica, czy tymczasowym Naczelnikiem Państwa będzie Antoni Macierewicz, czy Mariusz Błaszczak.

Apropos władz PiS. Fotograf pilnie poszukiwany. Żeby bowiem odświeżyć sobie pamięć w sprawie władz partii, buszowaliśmy ostatnio po jej stronie internetowej. Są notki, funkcje i nazwiska, ale fotek brakuje. I przez to nie wiemy, jak wygląda Mateusz Morawiecki albo Marek Gróbarczyk, nie mówiąc o Krzysztofie Tchórzewskim. Jacek Żakowski na pewno już ma na ten temat jakąś bolszewicką teorię.

Dziwna impreza pod patronatem Kuchty odbyła się w Sejmie. Otwarcie wystawy „Niedokończone msze wołyńskie". Na komendę organizatorki, posłanki Barbary Dziuk, „dla upamiętnienia rzezi i zamordowanych kapłanów" zespół ludowy zaczął wywijać hołubce. Na koniec ktoś szepnął, że warto by zauważyć obecność zasłużonych dla sprawy wołyńskiej Ewy Siemaszko i dr. Leona Popka. – Jest tu jeszcze TEN DOKTOR, który chce coś powiedzieć, tylko proszę krótko. I jeszcze jest ta pani, która pisze w Internecie o wojnie na Ukrainie – skwitowała posłanka Dziuk. Panowie G. uprzejmie upraszają, by PiS przy tego typu wystawach delegował do akcji osoby odrobinę inteligentniejsze.

Na koniec o wakacjach. Wojtek Kolargol Kolarski z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana prostuje – on nie poleciał do Włoch, on pojechał samochodem. Potwierdzamy. Są nawet tacy, którzy widzieli jego auto w Wiedniu, gdzie się po drodze zatrzymał. ©℗

REKLAMA

WIELKA PIŁKA I WIELKA MIŁOŚĆ

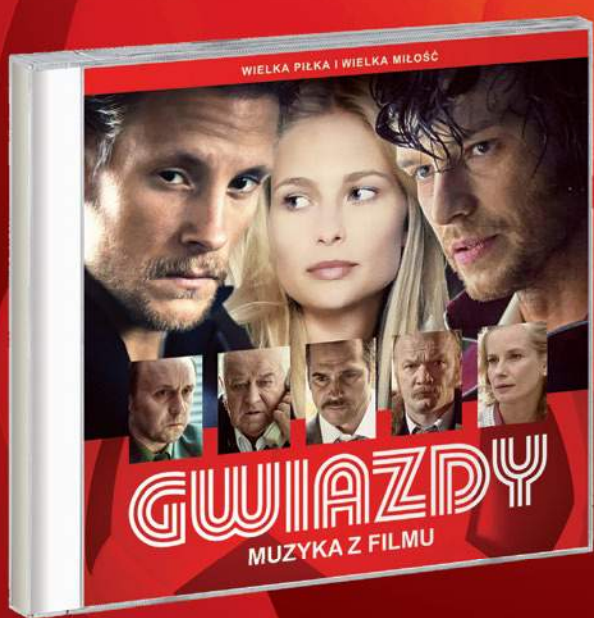

GWIAZDY
MUZYKA Z FILMU

ALBUM JUŻ W SPRZEDAŻY!

FILM POINT GROUP
KINO ŚWIAT
DEMOTYWATORY.PL
PMPG POLSKIE MEDIA SA
magic RECORDS

eprasa.pl 464d4774fb

Syndrom wymuszonego męczeństwa

FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

eprasa.pl 464d774fb

Rafał A. Ziemkiewicz

Lech Wałęsa i Władysław Frasyniuk, ruszając w protestach przeciw czczeniu ofiar katastrofy, pokazują, że nadal nie rozumieją, dlaczego ludzie odrzucili III RP

Mnie się wydawało, że ta kontrmanifestacja będzie wstrząsem" – wyznał po czerwcowej „kontrmiesięcznicy" Władysław Frasyniuk tygodnikowi „Newsweek". – „Że i Kościół się obudzi, i część PiS powie: No, ale jak to, ludzie z pierwszej »Solidarności« są wynoszeni przez policję? Liczyłem także na to, że opozycja się spotka i uzgodni, że są fundamenty, w sprawie których występujemy razem i nie walczymy o te dwa punkty procentowe, bo są zagrożone liberalna demokracja i państwo prawa. Niestety, nic takiego się nie stało… No, może gdyby zabito Frasyniuka, to wow! To by było coś super, co by mógł Władek dla nas zrobić. Wtedy byśmy sobie mocne wystąpienie w Sejmie przygotowali… Z niepokojem myślę, że będę musiał pojechać do Gdańska i poprosić Lecha, by następnego dziesiątego usiadł ze mną. Może to będzie większy wstrząs".

Trudno nie zapytać: A co zrobi Frasyniuk, jeśli wyniesienie przez policję dwóch bohaterów nie będzie wstrząsem większym niż wyniesienie jednego? Czy sugestię „może gdyby zabito Frasyniuka…" (przy okazji odnotujmy podobną jak u Wałęsy manierę mówienia o sobie w trzeciej osobie) mamy rozumieć tylko jako próbę zawstydzenia tych, którymi jego wyniesienie nie wstrząsnęło jak należy, czy jako wyraz cokolwiek patologicznych rojeń o męczeństwie, czy jako pogróżkę, że jeśli inne metody wywołania wstrząsu zawiodą, to Frasyniuk gotów jest wziąć inspirację ze sławnej powieści Konwickiego „Mała apokalipsa"?

Chociaż w innym miejscu tej samej rozmowy Frasyniuk zapewnia, że „telefon ciągle dzwoni, wszyscy są gotowi do rewolucji, dzwonią z komisji zakładowych z dawnej »Solidarności«", nie zmienia to ogólnego wrażenia, że człowiek, który zapisał się kiedyś pięknie w historii i którego nazwisko dla całego pokolenia Polaków coś znaczyło, jest dziś niezrównoważonym nerwowo, sfrustrowanym megalomanem żyjącym w świecie urojeń i nienawistnie atakującym wszystkich, i władzę, i opozycję, w gruncie rzeczy za to samo: że się z nim nie liczą tak, jak należy się liczyć z narodowym bohaterem, że jego mocne słowa czy dramatyczne gesty nie budzą oczekiwanego efektu. Jeśli komuś się roi, że może należyty „wstrząs" wywołałaby dopiero jego męczeńska śmierć, to granica między groteską a grozą wyraźnie się już w jego umyśle zaciera.

„JAK Z AURORY"

Zaciera się nie od dziś i nie tylko Frasyniukowi. Były lider dolnośląskiej Solidarności nie musiał nawet realizować swej zapowiedzi ani fatygować się do Gdańska – „Lech" sam z siebie zapowiedział, że na kolejnej antymiesięcznicy usiądzie obok, w tym samym co Frasyniuk duchu oznajmiając, że „jego obecność będzie jak wystrzał z Aurory". Jak widać, były prezydent również nie ma wątpliwości, że to, iż policja ośmieli się uprzejmie wynosić tak wielkiego bohatera z trasy smoleńskiego pochodu, musi wstrząsnąć Polską i światem, Kościołem, opinią publiczną, a nawet przynajmniej częścią działaczy i wyborców PiS.

Tymczasem, choć prawda ta nie ma dostępu do umysłów Frasyniuka i Wałęsy, przez tych, którymi chcą wstrząsać, ich zaangażowanie odbierane jest jako farsa. Po pierwsze, cokolwiek sądzi społeczeństwo o urządzanym przez zwolenników PiS każdego 10. dnia miesiąca pochodzie, nikt nie odbiera go jako zagrożenia dla swoich praw i wolności, co sugeruje swą retoryką opozycja – co najwyżej jako rzecz nie na miejscu, na którą wystarczy machnąć ręką czy ją wyszydzić. Atakowanie smoleńskiego pochodu nie jest mimo starań opozycji postrzegane jako walka o praworządność i demokrację, tylko jako złośliwość wobec Jarosława Kaczyńskiego i przejaw zapiekłej nienawiści do niego. Po drugie zaś, najwyższy diapazon propagandowych okrzyków o prześladowaniach bohaterów jest tak niewspółmierny do rzeczywistych rozmiarów policyjnej interwencji, że dysonans ten zamiast oczekiwanego „wstrząsu" powoduje śmiech i wzruszenie ramion.

Tym bardziej że byli bohaterowie Solidarności pozostają autorytetami i herosami porywającymi tłumy już tylko w przekonaniu własnym i swoich najbliższych – bo chyba nawet polityczne i medialne klaki, które się nimi posługują na zasadzie „lepszy rydz niż nic", podtrzymują ich w tym przekonaniu cynicznie. Tymczasem dla przeciętnego Polaka wiadomość, że Wałęsa albo Frasyniuk ogłoszą jakąś tam polityczną inicjatywę, ma znaczenie podobne, jakie, dajmy na to, miałaby informacja, że Seweryn Krajewski raz jeszcze zebrał historyczny skład Czerwonych Gitar i wyrusza z nim tournée po kraju. Zapewne uznano by to za rzecz wartą odnotowania w branżowych serwisach, może nawet na czołówkach, ale ryczących tłumów i rewolucji na rynku fonograficznym raczej nikt by się z tego powodu nie spodziewał.

Dlaczego? W cytowanych przed chwilą słowach Frasyniuk sam ociera się o odpowiedź. Szkoda, że nie można go zapytać, z których to konkretnie komisji zakładowych dawnej Solidarności dzwonią do niego „gotowi do rewolucji" koledzy. Jestem gotów się założyć, że padłyby nazwy zakładów, których dzisiaj już w zdecydowanej większości, albo zgoła wcale, nie ma – bo je najpierw zdusił Balcerowicz „popiwkiem", a potem Lewandowski i Wąsacz wyprzedali masę upadłościową za bezcen.

OBRZYDZONY SZYLD

Szyld „historyczny bohater Solidarności" niewiele dzisiaj znaczy przede wszystkim dlatego, że – jakkolwiek byśmy nad tym ubolewali – niewiele już znaczy szyld Solidarność. Logika „transformacji ustrojowej" zadziałała zgodnie z wymyślonym przez doradców Jaruzelskiego i Kiszczaka planem: za dopuszczenie do władzy działacze ówczesnej Solidarności zapłacili złożeniem na nią właśnie społecznych kosztów zmian, które zyski przynosiły elitom, ale dla warstw niższych oznaczały niczym niezrekompensowaną utratę bezpieczeństwa i stabilizacji. W szybkim czasie marka Solidarność została w ten sposób obrzydzona, i to na długie lata – gdy po reformie emerytalnej Buzka związek zawodowy o historycznej nazwie postanowił współtworzyć jeden z powstających OFE, z jego nazwy szybko trzeba było usunąć słowo „solidarni", gdyż nie tylko odstraszało klientów, lecz także narażało akwizytorów na agresję.

Z kolei dla tych, którym „dawna Solidarność" wciąż jest bliska, ludzie pokroju Frasyniuka i Wałęsy są tej prawdziwej Solidarności zdrajcami

eprasa.pl 464d4774fb

– wręcz symbolami zdrady w Magdalence, ludźmi, którzy dobili się znaczenia „na plecach robotników", a potem zbratali się z nomenklaturą i w zamian za pieniądze oraz stanowiska realizowali i nadal realizują jej interesy. Stąd niemal natychmiastowa reakcja na zaangażowanie Wałęsy obecnej gdańskiej Solidarności, której przewodniczący zapowiedział, że w takim razie do Warszawy przyjadą także stoczniowcy, aby go wyrzucić zamiast policji, i zabiorą ze sobą weteranów, na których swego czasu Wałęsa jako „Bolek" donosił, a których po ujawnieniu tych donosów publicznie poniżał stwierdzeniami, że „byli i są nikim". Zapowiadany przez Wałęsę „strzał z Aurory" może więc mieć zupełnie inne skutki, niż sądził.

Wałęsa i Frasyniuk swoimi zapowiedziami oraz wspólnym, pełnym patosu listem skupili ostatnio na sobie największą uwagę, ale nie są jedynymi weteranami antypeerelowskiej opozycji, których dopada dziś syndrom nienawiści do panujących porządków i wymuszonego męczeństwa. Pierwszym i chyba do dziś najbardziej znanym przypadkiem ratowania się przed frustracją i psychicznym pogubieniem, projektowaniem na współczesność przerobionego w życiu schematu, „rządzi (znowu) reżim, a ja bohatersko walczę" był nieżyjący już Kazimierz Świtoń – w PRL współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych na Śląsku, niezwykle odważny i podobnie jak Frasyniuk zadziorny w kontaktach z aparatem przemocy, który w III RP uznał, że „okupację sowiecką zastąpiła żydowska" i urządził kompromitującą akcję obstawiania krzyżami sąsiadującego z obozem Auschwitz tzw. żwirowiska. Podobieństwo jest tym większe, że zza pleców inspirował te działania dawnego bohatera antykomunistycznej opozycji człowiek o powiązaniach z PRL-owskimi służbami równie oczywistych jak dziś osoby przewijające się w tle KOD i Obywateli RP. Nie trzeba dodawać, że w środowiskach dziś szantażujących przeciwników przeszłością Frasyniuka i Wałęsy równie bohaterska przeszłość Świtonia nie stanowiła dla niego w najmniejszym stopniu okoliczności łagodzącej.

OD DEPRESJI DO AGRESJI

We wspomnianym wywiadzie Frasyniuk, pośród innych rzucanych na prawo i lewo obelg, atakuje rodziny ofiar tragedii w Smoleńsku, które jego zdaniem rozpętały „koszmar" ekshumacji, kierując się klasową pogardą: „Co to znaczy, że w trumnie mojego syna, ojca, nie może leżeć DNA stewardesy albo BOR-owca?" (co zresztą nie przeszkadza mu kreować się na obrońcę owych rodzin przed „grą zwłokami katastrofy"). Niemal słowo w słowo te same oskarżenia rzucał na rodziny ofiar Jan Rulewski, przed laty równie sławny jak Frasyniuk działacz pierwszej Solidarności, dziś senator PO. Widać wiele tego rodzaju podobieństw w zachowaniach, w retoryce – badacz, który zechciałby opisać syndrom bojowników, których dzieło życia, za jakie uważają III RP, okazało się, delikatnie mówiąc, szemrane, i muszą dziś wypierać poczucie klęski agresją, ma tu duże pole do popisu. Być może pomogłaby mu analiza opisanych m.in. w „Końcu świata szwoleżerów" Mariana Brandysa życiorysów bohaterów epopei napoleońskiej, którzy u schyłku życia stali się zajadłymi obrońcami caratu, pełnymi nienawiści do patriotycznej, powstańczej młodzieży i przeświadczenia, że bronią wolnej Polski przed nikczemnymi jakobinami.

Wałęsa i Frasyniuk nie są jedynymi weteranami antypeerelowskiej opozycji, których dopada dziś syndrom nienawiści

Nie zawsze ten syndrom wiedzie do agresji. Niektórzy byli bojownicy popadają w depresję. Tutaj „benchmarkiem" staje się Andrzej Celiński, w PRL działacz KOR, a w III RP m.in. minister kultury w rządzie Leszka Millera, którego blogowe jeremiady na stronie Polityka.pl należałoby właściwie zacytować w całości. W każdym z często zamieszczanych wpisów traktuje Celiński o nieuchronnej zgubie, zagładzie i katastrofie, ku której zmierzamy („nie ma już Polski w europejskiej szpicy!"), w każdym podobnie jak Frasyniuk ubliża nie tylko PiS-owcom i kukizowcom, lecz także własnemu obozowi („Kiedy bili w Michnika – milczeliśmy. Gdy wyśmiewali prezydencki garnitur Kuronia – rozumieliśmy ten śmiech. Kiedy chłystek oblizywał wargi, rzygając na pamięć dokonań Wałęsy – milczeliśmy. Ba! Byliśmy za! Za Instytutem Pamięci Narodowej. Za destrukcją służb wojskowego kontrwywiadu. Za zadeptaniem okrągłego stołu. Za poniżeniem Wałęsy!"), podobnie próbując ocalać w sobie wbrew wszystkiemu przekonanie o wielkości przeszłych dokonań („Ja Bogu dziękuję, że »Solidarnością« rządził Wałęsa. Nawet gdyby był »Bolkiem«. I kimkolwiek, byle nie tym, kim są ci faceci i kobiety z PiS. I Gwiazda. I Rydzyk…"). I podobnie łączy to z zaskakującymi aluzjami do spodziewanego męczeństwa, np. pointując strumień bezładnych bluzgów, oskarżeń i samooskarżeń słowami: „Żyję! Nie jestem gdzieś pod ziemią w lasku brzozowym!".

Możliwości znalezienia się pod ziemią nie traktuje chyba tylko retorycznie, skoro zapowiada emigrację – choć zdaje się, traktuje ją nie tyle jako ucieczkę przed reżimem, ile jako wymierzenie kary młodszym pokoleniom, którym rzuca w twarz oskarżenie: „Spieprzacie [tak w oryginale] wasze życie!" – oraz to, co Celiński z towarzyszami dla nich osiągnął.

Przed z górą 20 laty opublikowałem w „Rzeczpospolitej" tekst o tym, że byli działacze podziemia nie nadają się na polityków, że powinni od obywateli wolnej Polski dostać ordery, wszelkie możliwe gratyfikacje, luksusowe wille, wszystko poza możliwością sprawowania funkcji poselskich czy ministerialnych. Z ogromną wściekłością zaatakował mnie za ten tekst Stefan Niesiołowski – postrzegany wtedy jeszcze jako katolicki fundamentalista i skrajny prawicowiec – by w niedługim czasie potwierdzić swym zachowaniem wszystkie moje tezy i stać się modelowym przykładem zmiany ról z odważnego bojownika przeciwko totalitaryzmowi w groteskowego, chorego z nienawiści frustrata ze skłonnościami do zamykania się w świecie własnych urojeń.

Dzisiaj myślę, że w jednym się wówczas myliłem. Ordery i gratyfikacje na pewno się wtedy byłym bohaterom należały, ale bardziej jeszcze potrzebowali w wolnej Polsce jakichś grup wsparcia, opieki psychologicznej analogicznej do tej, jaką np. w USA otrzymują żołnierze postawieni przed wyzwaniem powrotu z misji bojowej do normalnego życia. Dzisiaj brak takiego wsparcia daje bardzo smutne i szkodliwe skutki. Szczególnie wśród tych, którzy w III RP wykorzystali swą chwalebną przeszłość do legitymizowania budowanego systemu i nie potrafią zrozumieć przyczyn, dla których system ten został przez Polaków odrzucony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, europosłem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Ubeckie metody Obywateli RP

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

eprasa.pl:464d4774fb

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jak pan prognozuje: Co wydarzy się kolejnego 10 dnia miesiąca na Krakowskim Przedmieściu? Poleje się krew?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Z pewnością to, co zawsze: nasi przeciwnicy będą wznosić obelżywe okrzyki, obrażać uczestników miesięcznicy, spróbują nas zablokować, wywołać awanturę, sprowokować siły porządkowe. Przypuszczam, że Władysław Frasyniuk nie odpuści. Lech Wałęsa nie zwykł spełniać swoich obietnic, możliwe więc, że zapowiadając swój udział w blokadzie, odgrywa tylko kolejną komedię. Jednak kto wie? Być może tym razem dotrzyma słowa. Mam jednak nadzieję, że do żadnego starcia, czy tym bardziej rozlewu krwi, nie dojdzie.

Frasyniuk żalił się w mediach, że „gdyby go zabito", politycy opozycji byliby zachwyceni, bo zyskaliby argument przeciwko PiS. Zgadza się pan z jego tezą?

Opozycja znajduje się w głębokim kryzysie po kompromitacji KOD, po uwiądzie Nowoczesnej, po żenująco słabej radzie programowej PO itd. Istotę rządów Platformy przypomniały też ostatnie posiedzenia komisji ws. Amber Gold czy reprywatyzacji. Wcześniej porażką zakończyła się okupacja Sejmu. Opozycji kończy się więc amunicja. Jej przekaz jest coraz mniej wiarygodny. Gwałtownie potrzebuje jakiegokolwiek dowodu empirycznego na poparcie swojej tezy, że w Polsce panuje dyktatura lub choćby że demokracja jest fundamentalnie zagrożona. Dowodów brak, stąd coraz bardziej rozpaczliwe próby wywołania jakiejkolwiek awantury, żeby ich dostarczyć. Nawet nie chodzi o to, by udowodnić coś polskiej opinii publicznej, choć i na krajowym rynku potrzebna jest mobilizacja tracących zapał fanatyków antypisowskiego populizmu. Chodzi przede wszystkim o zaangażowanie zagranicy w wewnątrzpolski spór, o zdarzenie, które przebiłoby się na czołówki doniesień medialnych. Wiadomo, że wszelkie unijne procedury przeciwko Polsce skończyły się niczym, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Timmermans z wyraźną ulgą pozbył się zadania sprawdzania praworządności w naszym kraju i scedował je na Radę Europejską, gdzie zemrze to śmiercią naturalną. Już tylko od czasu do czasu któryś z wyższych urzędników UE dla porządku pomrukuje z niezadowoleniem. Rozpoczęto wprawdzie procedurę przeciw Polsce w sprawie relokacji uchodźców, ale miną lata, zanim zapadnie jakakolwiek decyzja w tej sprawie. Dlatego też na tę chwilę upadły nadzieje totalnej opozycji na to, że oburzona Unia ukarze Polskę dotkliwymi sankcjami i spowoduje, iż serca Polaków zwrócą się w stronę PO czy Nowoczesnej. W dodatku kontekst międzynarodowy staje się dla opozycji niesprzyjający – Unia i zarządzające nią kraje mają zbyt wiele problemów, nawet niezmordowany Parlament Europejski nie zapowiada kolejnej debaty na temat sytuacji w Polsce. A wizyta prezydenta Trumpa w czasie spotkania prezydentów krajów Trójmorza sprawia, że tezy o izolacji Polski pod rządami PiS wyglądają po prostu niepoważne. To wszystko ujawnia nie tylko słabość, lecz także wręcz nicość „totalnej opozycji".

Na scenę weszli radykałowie. Pańscy koledzy z Parlamentu Europejskiego nie pytają, „dlaczego wynieśliście tego bohatera Frasyniuka"?

Nie. Ten przekaz jest kompletnie nieskuteczny. Przede wszystkim „polska dyktatura" przestała być tematem, który porusza uczucia Zachodu. Temat się wyczerpał, przestał „kręcić", spowszedniał. Opozycja padła ofiarą własnego sukcesu oczerniania Polski. Gdy jeszcze KOD protestował w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, a kobiety zbierały się w czarnych marszach, było jakieś poruszenie… Teraz scena wyniesienia Frasyniuka nie działa już na stępione zmysły odbiorców. Raczej może budzić zdziwienie, dlaczego traktuje się go tak łagodnie, skoro w Polsce jest jak w Turcji czy Rosji.

Wałęsa byłby świetnym pomnikiem tylko wtedy, gdyby był niemy. Gdy otwiera usta, zachwyt zamienia się w konsternację

Jednak przecież zachodnie media pisały o Frasyniuku, pojawiały się nawet błędne informacje o jego aresztowaniu…

To były w większości suche informacje, które nie odbiły się żadnym echem w kręgach politycznych. Bardzo mi przykro, ale niemal nikt już na tzw. Zachodzie nie pamięta, kto to jest Frasyniuk. To zupełnie nieznana postać. Oczywiście nadal ukazują się i będą ukazywać artykuły atakujące polski rząd, ale piszą ciągle ci sami autorzy. Gdybyśmy policzyli dziennikarzy, którzy w swoich tekstach w coraz bardziej rozpaczliwy sposób próbują budować złą atmosferę wokół Polski, wyszłoby ok. 15–20 nazwisk, dobrze już nam znanych. Ciekawy jest ich skład społeczny i narodowy. Przeważają Niemcy, wielu ma polskie pochodzenie czy związki z Polską. Są to ludzie wychowani na „Gazecie Wyborczej" i podobnych polskich mediach, ogarnięci poczuciem misji, często leczący swoje kompleksy, a stosunek do Polski mają protekcjonalnie „gospodarski". Tych kilkunastu dziennikarzy, stronników „totalnej opozycji", wciąż wzywa instytucje unijne i rządy swoich krajów do jakichś sankcji, ale jest to głos wołającego na pustyni, choć wspólnym trudem udało im się przekonać sporą część zachodniej opinii publicznej, że w Polsce panuje półdyktatura. Ten karykaturalny obraz naszego kraju niestety się utrwalił, lecz także spowszedniał i jest coraz bardziej traktowany jako status quo, z którym trzeba się pogodzić. Coraz częściej pojawiają się głosy typu, że wobec Polski – tak jak wobec Turcji czy Węgier – trzeba przecież prowadzić „pragmatyczną Realpolitik". Stąd tęsknota za jakimiś „wstrząsającymi wydarzeniami".

Potrzebują krwi?

Nie bądźmy o nich aż tak złego zdania. Powiedzmy, że potrzebują wykreować jakieś wydarzenie, które by poruszyło światem…

Być może światem wstrząsnęłoby wyniesienie Wałęsy. Nad Wisłą jest już skompromitowany, ale na Zachodzie to wciąż legenda…

Samo wyniesienie Wałęsy to mało. Parę zdjęć, głosów oburzenia i tyle. Wystarczy na parę dni. W dodatku Wałęsa byłby świetnym pomnikiem tylko wtedy, gdyby był niemy.

Zachód go nie słucha, tylko się nim zachwyca z uwagi na przeszłość.

Nikt się nim nie zachwyca, bo gdy otwiera usta, zachwyt zamienia się w konsternację. Widziałem występ Wałęsy przed paru laty w telewizji niemieckiej. Tłumacze bardzo się starali, żeby z jego nieartykułowanego słowotoku skonstruować jakiś sensowny przekaz. Każdy poważniejszy polityk wie, że Wałęsa jest człowiekiem nieobliczalnym, że jest to postać niepoważna, istotna jako symbol i przypomnienie, ale kłopotliwa i nieco kompromitująca.

Frasyniuk ostatnio bardzo się starał sprowokować policję do użycia siły. Może Wałęsie to się uda i komuś puszczą nerwy…

eprasa.pl 464d4774fb

Policjantom nie mogą puścić nerwy, to oczywiste. Natomiast uważam za słuszną koncepcję, by to nie policjanci, ale stoczniowcy czy górnicy, a więc koledzy robotnicy, delikatnie przenieśli Wałęsę w miejsce, w którym nie będzie przeszkadzał uczestnikom marszu. On wie, że nie spotka go ciepłe przyjęcie Polaków. Wie, co ludzie o nim sądzą. Najlepiej jednak po prostu go zignorować. Dopóki oni nie odwołują się do przemocy fizycznej, dopóty należy ich traktować łagodnie i z pobłażaniem, bo każdy poważny incydent byłby na rękę naszym przeciwnikom.

To by dało paliwo opozycji?

Myślę, że są sfrustrowani, bo prowokacje się nie udają. Nie udało się to w styczniu w Sejmie. Tylko przez chwilę, gdy Niemcy przeforsowały Tuska na drugą kadencję szefa Rady Europejskiej, opozycji wydawało się, że łapie wiatr w żagle. Jednak to był jedyny ich sukces w ostatnich miesiącach. Od wielu miesięcy mamy do czynienia z postępującym kryzysem „opozycji totalnej". Nieprzypadkowo w „Gazecie Wyborczej" ukazał się niedawno płaczliwy tekst o tym, że opozycja nie ma przywódcy, że do tej roli nie nadają się ani Frasyniuk, ani Tusk, ani nawet Biedroń, zawiedli Schetyna, Petru, skompromitował się Kijowski. Dlatego także następuje radykalizacja protestów. KOD deklarował się jeszcze jako ruch w pewnym sensie apolityczny, w pokojowy sposób broniący demokracji. Obywatele RP to w porównaniu z KOD hardcore'owa organizacja, agresywna i chamska. Obywateli RP można porównać jedynie z bojówkami spod krzyża na Krakowskim Przedmieściu, a metod, którymi się posługują, nie waham się nazwać ubeckimi.

Jak dotąd pokojowe manifestacje opozycji nie urzekły Polaków. Może chamstwo poskutkuje?

Wręcz przeciwnie: przyspieszy degradację opozycji totalnej. W demokracji takie awantury się zdarzają, wystarczy popatrzeć, jak skrajni lewacy zachowują się na ulicach zachodnich miast. W Polsce jednak antypisowscy radykałowie są nieliczni i słabi. Problem w tym, że nie możemy sobie pozwolić na zastosowanie mocniejszych środków wobec agresywnych zachowań, choć stosowanie takich środków jest zupełnie normalne w świecie zachodnim, na ulicach Paryża, Berlina, Madrytu czy Rzymu. W Rotterdamie policja użyła nawet psów, by rozpędzić tłum protestujących Turków. Naszym przeciwnikom chodzi jednak właśnie o obraz ostrej policyjnej interwencji. Zdjęcia od razu znalazłyby się na czołówkach „The Washington Post", „Süddeutsche Zeitung" i „The Economist" jako dowód, że w Polsce rzeczywiście panuje dyktatura.

Po zatrzymaniu Frasyniuka „Newsweek" z nadzieją pisał o „powrocie wojownika". Nie ma żadnych szans na Majdan w Warszawie?

Polacy nie mają żadnego powodu do radykalnego, masowego wystąpienia, do Majdanu. Okładka „Newsweeka" to raczej wyraz desperacji, przyznania się do klęski. Pierwsze pokojowe manifestacje KOD zdawały się mieć w sobie jeszcze jakąś autentyczność. Niektórzy Polacy byli zaniepokojeni rządami PiS, i mieli do tego prawo. To normalne w demokracji – demonstrować inne poglądy. Jednak rozsądny człowiek nie uwierzy w radykalne hasła niemające nic wspólnego z rzeczywistością, nie rzuci na szalę swojego życia dla jakiejś absurdalnie wyostrzonej definicji sytuacji, po prostu nie ma takiej potrzeby – nie są w Polsce zagrożone żadne fundamentalne wartości. A na dodatek szybko spadają maski przywódców opozycji totalnej. Liderzy KOD od samego początku sprawiali wrażenie ludzi nastawionych raczej na karierę niż na walkę. Z perspektywy czasu widać, że porównania z KOR były po prostu śmieszne. Polacy wiedzą, co sądzić o Petru, Kijowskim czy Schetynie. To żałośni pozerzy, a nie obrońcy demokracji. Czasem twierdzi się, że opozycja, wychodząc na ulicę, robi to samo co PiS przed dojściem do władzy. Jest jednak zasadnicza różnica: naszym pozbawionym wsparcia z zewnątrz, całkowicie przemilczanym na Zachodzie protestom przeciwko rządom Tuska towarzyszyła myśl polityczna. Można było się z nami nie zgadzać, ale wykonaliśmy pracę programową, tworzyliśmy własną wizję zmian w Polsce. A czy dziś z ust przywódców opozycji totalnej padła choć jedna propozycja dotycząca przyszłości naszego kraju? Grzegorz Schetyna potrafi tylko jedno – napuszczać Polaków na PiS, robi to od 10 lat. Ich narracja jest pozbawiona treści ideowych i programów, opiera się wyłącznie na hejcie, który co prawda pobudza na chwilę pewne środowiska, ale szybko się wyczerpuje. Z początku opozycja liczyła na przechwycenie wyborców centrowych i mobilizowanie pasywnych. Jednak podejmowane agresywne działania zniechęcą do nich każdego, kto zachowuje zdrowy rozsądek. Pozostaną z nimi wyłącznie fanatycy.

Opozycja zawsze mówiła, że walczy z PiS w obronie prawa. Tymczasem Frasyniuk kpił ze spisującego jego dane młodego policjanta, podawał mu fałszywe nazwisko, oznajmił, że „ma w dupie prawo". Elita bojowników o praworządność jest ponad prawem?

Pan redaktor ciągle odwołuje się do Frasyniuka, ale ja bym go zostawił w spokoju. To był kiedyś dzielny człowiek, który odegrał ważną rolę w polskiej historii, ale jakoś nie potrafił odnaleźć się w demokracji, zmalał, skarlał, zapewne był intelektualnie nieprzygotowany na świat trochę bardziej złożony niż rzeczywistość PRL. Spuśćmy na niego zasłonę miłosierdzia, także ze względu na jego zasługi jako wybitnego działacza Solidarności.

Wydarzenia na Krakowskim Przedmieściu rzucają nowe światło na nowelizację ustawy o zgromadzeniach?

Wszędzie na świecie rozdziela się demonstracje. To niezbędne.

Jednak zapis o cyklicznych demonstracjach ogranicza wolność zgromadzeń...

Miesięcznice odbywają się od wielu lat. Gdy PiS był w opozycji, nikomu to nie przeszkadzało, nie było tak wściekłych ataków. Nic nie stoi na przeszkodzie, by Obywatele RP mogli w innym czasie, w innym miejscu, choćby i sto metrów dalej również wyrażać swoje, pożal się Boże, poglądy, a raczej dawać upust swojej niezbyt chwalebnej naturze. My, jako obywatele RP, mamy takie same prawa jak Obywatele RP. Naruszanie praw obywatelskich to nie tylko fizyczne blokowanie, lecz także zagłuszanie czy krzyki zakłócające legalną manifestację.

Skąd taka niechęć akurat do tematu Smoleńska? Skąd niezwyczajna w polskiej tradycji agresja wobec człowieka, który odwiedza grób swojego brata?

10 kwietnia był początkiem końca III RP. Jej dnem, jej ostateczną kompromitacją. Ta tragedia pokazała prawdziwe oblicze ludzi, który byli wtedy u władzy i popierających ją pseudoelit. Oni chcieliby wręcz zakazać mówienia o Smoleńsku. Mają słuszne poczucie, że Smoleńsk to ich hańba, dlatego chcieliby jak najszybciej o niej zapomnieć. Walczą z pamięcią o tej tragedii, bo to właśnie z tej pamięci rodzi się nowa Rzeczpospolita, której oni nienawidzą. Jestem jednak przekonany, że ta pamięć będzie trwała, że z perspektywy czasu będziemy widzieć coraz jaśniej i że za jakiś czas nikt już nie będzie pamiętać o tych, którzy siadając na bruku w złej sprawie, w istocie sięgnęli bruku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Filip Memches

Frasyniukizm jak macronizm

Retoryką, którą proponuje Władysław Frasyniuk, nie pozyska się w Polsce sympatii wyborców

FOT. MACIEK MARKOWSKI/FORUM

Władysław Frasyniuk wyraził niedawno gotowość powrotu do wielkiej polityki, choć nie w roli, w której bywa już obsadzany, czyli przywódcy opozycji. I przy okazji oznajmił: „Polsce jest potrzebna partia socjalliberalna, która odwołuje się do wolności – obywatelskich i gospodarczych" – powiedział „Newsweekowi".

Były przewodniczący Unii Wolności, a potem Partii Demokratycznej, pozazdrościł Emmanuelowi Macronowi. To właśnie w przypadku francuskiego polityka zadziałał efekt nowości. Macron – mimo że był ministrem gospodarki, przemysłu i cyfryzacji w rządzie Manuela Vallsa, a wcześniej pracował w bankowości inwestycyjnej w ramach Rothschild & Cie – zaprezentował się w wyścigu do Pałacu Elizejskiego jako ktoś spoza politycznego establishmentu.

Zarówno nowy prezydent Francji, jak i Frasyniuk stawiają następującą diagnozę: w świecie narasta bunt społeczeństw przeciwko liberalnej demokracji, czego przejawem jest zdobywanie władzy przez populistów. W tej sytuacji, jeśli chodzi o efekt nowości, trzeba przelicytować siły antysystemowe i zaprezentować się jako świeży – socjalliberalny – powiew w polityce.

Nic dziwnego, że Frasyniuk – człowiek establishmentu III RP – w innej niedawnej rozmowie, z „Tygodnikiem Powszechnym" narzekał nie tylko na Prawo i Sprawiedliwość. Za populizm dostało się niemal wszystkim największym graczom polskiej polityki ostatnich 20 lat: Akcji Wyborczej Solidarność, Leszkowi Millerowi i Platformie Obywatelskiej.

NOWA PARTIA?

W ten sposób były szef UW i PD kreuje siebie na kogoś, kto jest nieskażony grzechami krytykowanych przez siebie formacji i ma moralny mandat do podpowiadania opozycji, jak skutecznie przeciwstawić się PiS. A wobec klęski wizerunkowej Komitetu Obrony Demokracji najbardziej wrogie ugrupowaniu rządzącemu środowiska znalazły się w bardzo trudnym położeniu.

Dlatego Frasyniuk zachęca je do powołania nowej partii, w której znaleźliby się – jak możemy przeczytać w jego rozmowie z „Newsweekiem" – politycy zarówno PO (Rafał Trzaskowski, Joanna Mucha, Borys Budka), jak i Nowoczesnej (Katarzyna Lubnauer, Joanna Scheuring-Wielgus). Były przewodniczący Unii Wolności i Partii Demokratycznej wymienia też jako potencjalnych członków tej formacji ludzi lewicy: Barbarę Nowacką i Roberta Biedronia. Nie szczędzi natomiast gorzkich słów Grzegorzowi Schetynie. Zarzuca mu autorytaryzm w kierowaniu Platformą Obywatelską oraz „przyklejenie się" do Jarosława Kaczyńskiego w celu odbierania głosów PiS.

W wizji Frasyniuka PO okazuje się zła, bo jest – tak jak Prawo i Sprawiedliwość – ugrupowaniem prawicowym. I, owszem, trudno się nie zgodzić z tym, że w Platformie można znaleźć elementy konserwatywne. Tyle że przede wszystkim cechuje ją konformizm. Świadczą o tym m.in. podyktowane sondażami jej żenujące wolty w sprawie przyjmowania w Polsce uchodźców z Bliskiego Wschodu. Tymczasem partia socjalliberalna, która się marzy

eprasa.pl 464d4774fb

Frasyniukowi, będzie konserwatyzmu pozbawiona.

LIBERAŁ INTEGRALNY

Jeśli jednak przeanalizujemy wypowiedzi tego polityka, to wówczas się okaże, że nie mamy do czynienia z socjalliberałem, czyli człowiekiem pochylającym się z troską nad społecznymi kosztami polskiej transformacji ustrojowej. Kim zatem jest Frasyniuk? To liberał integralny.

W liberalizmie integralnym podmiotem polityki jest jednostka, a nie wspólnota. Frasyniuk to rzecznik politycznego i ekonomicznego indywidualizmu. A mówiąc o „wolnościach – obywatelskich i gospodarczych", sformułował swój cel polemicznie. Chce powołania formacji będącej w wymiarze programowym oraz światopoglądowym całkowitym zaprzeczeniem PiS. Tyle że dla Prawa i Sprawiedliwości wspólnota narodowa stanowi jedną z naczelnych wartości politycznych.

Na gruncie liberalizmu integralnego w warunkach polskich jednostka ma być wyemancypowana od źródeł jej aktualnych i potencjalnych zniewoleń: rodziny, Kościoła katolickiego, narodu, wreszcie państwa realizującego zasadę solidarności społecznej. Od początku III RP nie brakowało polityków, którym się wydawało, że powstanie w Polsce ugrupowania liberalnego jest koniecznością, ponieważ rodzącej się w bolączkach transformacji ustrojowej klasie średniej potrzebna będzie partia reprezentująca interesy tej warstwy społecznej.

Pomińmy tu środowiska usiłujące łączyć liberalizm ekonomiczny z konserwatyzmem politycznym oraz kulturowym. Przyjrzyjmy się natomiast tym, które zamierzały swój przekaz adresować do Polaków niechętnych obecności Kościoła w życiu publicznym i zarazem opowiadających się za urynkowieniem mechanizmów gospodarczych oraz rozwojem sektora prywatnego. Towarzyszyło temu określone wyobrażenie klasy średniej jako warstwy społecznej obyczajowo wyzwolonej (warto to przypomnieć, kiedy niedawnoWładysław Frasyniuk na łamach „Newsweeka" mówił, że nie jest dla niego problemem romans Ryszarda Petru) i równocześnie gardzącej modelem państwa opiekuńczego.

Pierwszymi takimi formacjami były działające na początku lat 90. Kongres Liberalno-Demokratyczny i w mniejszym stopniu Unia Demokratyczna. Wśród ich aspirujących do klasy średniej wyborców znaleźli się ludzie, w których oczach „modernizacja Polski" i „społeczeństwo obywatelskie" stanowiły swoiste polityczne fetysze.

W roku 1994 KLD i UD połączyły się i utworzyły Unię Wolności. Pod przywództwem Leszka Balcerowicza stała się ona ugrupowaniem, którego oblicze kształtowali zimni, bezideowi technokraci. Nie było też w UW za dużo przestrzeni dla antyklerykalizmu, skoro rolę autorytetów odgrywali w niej Tadeusz Mazowiecki i Hanna Suchocka – politycy dbający o swoje dobre relacje z hierarchią kościelną.

W roku 2001 Unię Wolności opuściła znacząca część jej członków – niegdyś działaczy KLD, z Donaldem Tuskiem na czele. Razem z grupą polityków, którzy odeszli z AWS, utworzyli PO. Znamienne, że Tusk i inni jego koledzy porzucili liberalizm integralny: nabrali respektu do tradycyjnych wartości, a kiedy w roku 2007 doszli do władzy, okazało się, że głęboko zrewidowali swoje poglądy gospodarcze, czemu dali wyraz, renacjonalizując system ubezpieczeń społecznych.

Takiej klasy średniej, do której adresowany był liberalizm pogardy lat 90., po prostu nie ma i nie było

Polscy liberałowie integralni długo nie mieli swojej partii w mainstreamie. Aż nadszedł 10 kwietnia 2010 r. Emocje, które podzieliły Polaków po katastrofie smoleńskiej, skłoniły ówczesnego prominentnego posła Platformy Janusza Palikota do odejścia z tej formacji i założenia własnego ugrupowania firmowanego jego nazwiskiem. Ruch Palikota przez pierwszy rok swojej działalności postulował liberalizm w każdej dziedzinie życia, by potem w sprawach ekonomicznych skręcić w kierunku socjalistycznym.

NOWOCZESNA JAK EN MARCHE!

Dzisiaj liberalizm integralny na polskiej scenie politycznej to domena Nowoczesnej. Partia ta należy w Europie do tej samej międzynarodówki co En Marche! – formacja Emmanuela Macrona.

Można się zatem zastanawiać, czym miałoby być nowe ugrupowanie socjalliberalne, na którego utworzenie czeka Władysław Frasyniuk, skoro już takie w Polsce działa. W rozmowie z „Newsweekiem" były szef UW i PD swoje zastrzeżenia wobec Petru artykułuje wprost: „Jako ekonomista powinien być przeciwwagą dla Mateusza Morawieckiego i codziennie go punktować. Gdybym miał takiego słabego przeciwnika, codziennie wychodziłbym na ring".

Może jednak Frasyniuk po prostu zatęsknił za inteligenckim etosem Unii Demokratycznej, którego niewątpliwie brakuje Nowoczesnej? Na łamach „Newsweeka" zaapelował bowiem: „Zróbcie partię w oparciu o wartości, a nie sondaże".

Kłopot w tym, że takie apele nic nie dadzą. Najlepiej świadczy o tym sposób, w jaki Frasyniuk wypowiada się na temat Polaków, którzy okazali się za mało przedsiębiorczy, by czerpać korzyści z transformacji ustrojowej. To narracja szydząca z takich ludzi. Znana jest ona z publicystyki uprawianej na łamach „Gazety Wyborczej" przez Witolda Gadomskiego i Wojciecha Maziarskiego. To liberalizm pogardy.

W rozmowie z „Newsweekiem" Frasyniuk narzeka na „500+" i oświadcza, że dzieci beneficjentów tego programu będą chciały uciekać z Polski, żeby nie spłacać długu zaciągniętego przez PiS na rzecz ich rodziców. W rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym" polityk, snując rozważania nad skalą lenistwa wśród Polaków i równocześnie odprawiając rytuał uznania pomocy społecznej za coś potrzebnego, bez zahamowań przytacza zaś powiedzenie: „Czemuś biedny? Boś głupi".

Tyle że w obecnej Polsce taką retoryką i takimi argumentami nie pozyska się znaczącego poparcia społecznego. Takiej klasy średniej, do której adresowany był liberalizm pogardy lat 90., po prostu nie ma i nie było.

Większość Polaków uczestniczących w wyborach już – zdaje się – ma świadomość, że polityka etosowa rozmija się z wybujałym indywidualizmem zwróconym przeciwko rodzinie, Kościołowi i narodowi. Frasyniuk, choć imponuje warszawce, nie jest trendsetterem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą Polskiego Radia 24.

eprasa.pl 464d4774fb

Konserwatywna rewolucja

Donald Trump wezwał Zachód do obrony wartości i jako przykład wskazał Polskę

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

eprasa.pl 464d4774fb

Marcin Makowski

Gdy Europa podzielona była żelazną kurtyną, 2 czerwca 1982 r. Ronald Reagan w przemówieniu skierowanym do brytyjskiego parlamentu powiedział: „Polska nie leży na Wschodzie czy Zachodzie. Polska znajduje się w samym centrum cywilizacji europejskiej". 6 lipca 2017 r. te słowa wzmocnił i skierował do całego świata z Warszawy Donald Trump. – Polska jest geograficznym sercem Europy, ale – co jeszcze ważniejsze – w Polakach postrzegamy duszę Europy – stwierdził w prawdopodobnie najbardziej propolskim przemówieniu wygłoszonym przez prezydenta Stanów Zjednoczonych.

ZWROT KU WARTOŚCIOM

W czasach, w których musimy walczyć o własną przeszłość, gdy oskarża się nas o współudział w zbrodni Holokaustu, a winą za rozpętanie II wojny światowej obarcza się bezpaństwowych nazistów, Donald Trump udzielił darmowej lekcji historii wartej setki milionów dolarów. Mówił o Koperniku, Chopinie, Janie Pawle II. Z detalami podkreślał dramat powstania warszawskiego, brutalność niemieckiego oraz sowieckiego okupanta i heroizm tych, którzy „dla Amerykanów stali się symbolem nadziei od zarania dziejów". Chociaż słowa te można uznać za typowy dla przemówień wiecowych przejaw kurtuazji wobec gospodarza, zysk z ich wygłoszenia jest już zupełnie realny. Wiele osób być może po raz pierwszy dowiedziało się, że Warszawa to miasto dwóch powstań – tego w getcie i na ulicach miasta ponad rok później. Trump nie ograniczył się jednak do retrospektywy, ale wyprowadził z niej pozytywny manifest ideowego odrodzenia cywilizacji europejskiej.

To właśnie ten element programowy, skierowany jako przesłanie do całego Starego Kontynentu, wybrzmiał najmocniej w relacjach zagranicznych mediów. „Trump w Polsce zapytał, czy Zachód ma siłę, aby przetrwać" – pisał „The New York Times". „Trump w Polsce: »Nasze wartości przetrwają«" – podsumował „The Hill", a „The Washington Post" dodał: „Trump pyta, czy Zachód zachował wolę przetrwania". W jaki sposób ową wolę utrzymać? Według Trumpa klucz do sukcesu stanowią: powrót do tożsamości chrześcijańskiej, promowanie rodziny, silna i gotowa do obrony armia, twarda postawa wobec radykalizmów oraz terroryzmu. Wszystkie te postulaty nie przez przypadek padły w Polsce na podatny grunt, zapewniając Trumpowi obiecywane przez ministra Waszczykowskiego w Waszyngtonie wiwatujące tłumy, które skontrastowane z lewicowymi bojówkami walczącymi w tym samym dniu na ulicach Hamburga przed szczytem G20 wyglądały jak obrazki z innego świata. Tego, który – jak podkreślał Trump – ma być drogowskazem dla reszty stojącej na rozdrożu Europy.

Wizja konserwatywnej rewolucji niewątpliwie przysporzy rządowi Prawa i Sprawiedliwości politycznej amunicji w wewnątrzpolskich sporach. Wizyta prezydenta USA na pewno wzmocniła też nasz kraj na europejskiej politycznej arenie.

Warto też pamiętać, że wizycie Trumpa towarzyszyło spotkanie Trójmorza. Z praktycznego punktu widzenia i po doświadczeniach z Grupą Wyszehradzką trudno oczekiwać, że powstanie silny związek państw mogący mówić jednym głosem. Bezpieczeństwo i gospodarka bywają jednak bardzo silnym spoiwem.

Projekt Trójmorza zyskał w ubiegłym tygodniu wstępny kształt. Wraz z dostawą amerykańskiego LNG, interkonektorami gazowymi mającymi przeciąć Europę Środkową od Świnoujścia do Chorwacji i wyspy Krk oraz obietnicą inwestycji w projekty infrastrukturalne Trójmorze – korzystne gospodarczo dla USA – ma do obsłużenia konkretne interesy związane z zabezpieczeniem energetycznym poprzez dywersyfikację dostawców. W sytuacji monopolu Rosji oraz podkreślenia w przemówieniu na pl. Krasińskich destabilizujących region zapędów Putina po raz pierwszy od dekad Polska staje przed realną szansą uniezależnienia się od Gazpromu. Jak zapewniał Krzysztof Szczerski, a za nim powtórzył Mateusz Morawiecki – Ameryka twardo sprzeciwiła się idei budowy gazociągu Nord Stream II, jednocześnie wyrażając otwartość na negocjacje w sprawie cen dostarczanego gazu. Wraz z perspektywą budowy rurociągu Baltic Pipe oraz dostawami skroplonego gazu z Kataru Polska staje przed historyczną szansą zakręcenia rosyjskiego kurka, w czym USA wyraźnie chcą pomóc.

Nawet przy założeniu (otwarcie stawianym przez niektórych publicystów), że ze strony Ameryki mieliśmy do czynienia z pragmatyczną grą obliczoną na osłabienie Berlina, z którym Waszyngton coraz częściej wchodzi na kurs kolizyjny, cóż z tego? Czy w ten sposób dajemy się Trumpowi „wykorzystać"? Czy Polska nie ma prawa do inicjowania własnych kierunków geopolitycznych, a dominacja Niemiec i Francji musi być wpisana w traktaty unijne złotymi zgłoskami? Nawet jeśli prezydent USA mówił to, co w tej chwili chcieliśmy usłyszeć, przywódcy cywilizowanego świata nie ustawiają się przecież w kolejce, aby prawić polskiemu rządowi pochlebstwa. Na to też trzeba zapracować, a później to umiejętnie i skrupulatnie wykorzystać.

Warszawa po raz pierwszy od dawna udowodniła, że również potrafi grać w tę grę, dbać o pozycję w regionie i zaproponować sąsiadom koncepcję współpracy, która będzie trwalsza niż kadencja tego czy innego prezydenta. Do tej pory po prostu nam to nie wychodziło, za sukces natomiast uznawano „game changery" w stylu apelu Radosława Sikorskiego do Angeli Merkel, aby pewniej chwyciła stery Europy.

PIĄTY PARAGRAF

Pobyt Donalda Trumpa w Polsce to jednak dyskusje nie tylko o historii i bezpieczeństwie energetycznym, lecz także o uzupełniającym je bezpieczeństwie militarnym. Minister obrony narodowej Antoni Macierewicz ogłosił 6 lipca decyzję o zakupie systemu antyrakietowego Patriot w najnowszej konfiguracji. Prezydent Andrzej Duda podczas briefingu prasowego w Pałacu Królewskim pokreślił, że rozmowy za zamkniętymi drzwiami dotyczyły również flanki wschodniej NATO, ćwiczeń Zapad 2017 na Białorusi, sytuacji na Ukrainie oraz kontraktów związanych z ogólną modernizacją polskiej armii. Natomiast sam Donald Trump na pl. Krasińskich jasno potwierdził zobowiązania wynikające z art. 5 paktu północnoatlantyckiego oraz kolejny raz zaakcentował konieczność przeznaczania 2 proc. PKB na obronność przez wszystkich członków sojuszu. W zestawieniu z niestabilną sytuacją na Bliskim Wschodzie oraz w Korei Północnej amerykański prezydent uznał taki obrót spraw za dziejową konieczność.

Teraz od polskiej dyplomacji będzie zależało, czy korzyści wizerunkowe po wizycie Trumpa uda się przełożyć na korzystne kontrakty i długotrwały wzrost pozycji w Europie Środkowej. Skoro nawet Donald Tusk uznał 6 lipca za „sukces rządu" i „porażkę opozycji". Pora, aby go przekuć na coś więcej – na sukces Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ian Brzezinski o ryzyku wojny z Rosją – strona 76;
Efekty szczytu Trójmorza – strona 79.

eprasa.pl 464d4774fb

Trump: Polska zawsze zwycięży

Przybywamy do waszego kraju, aby przekazać bardzo ważną wiadomość: Ameryka kocha Polskę i Polaków. Dziękujemy! Polacy nie tylko znacząco wzbogacili ten region, lecz także Amerykanie polskiego pochodzenia wzbogacili Stany Zjednoczone i byłem naprawdę dumny z tego, że zyskałem ich poparcie w wyborach 2016 r.

To ogromny zaszczyt, że mogę stać w tym mieście, pod pomnikiem Powstania Warszawskiego, i zwrócić się do narodu polskiego, którego tak wiele pokoleń marzyło o Polsce bezpiecznej, silnej i wolnej. Prezydent Duda i wasza wspaniała pierwsza dama, Agata, zgotowali nam niezwykle ciepłe i miłe powitanie, z którego Polska jest znana na całym świecie. Szczerze, naprawdę szczerze, dziękuję im obojgu oraz – również szczególnie – dziękuję pani premier Szydło. Miło nam także, że dołączył do nas dzisiaj były prezydent Lech Wałęsa, znany przywódca Solidarności. Dziękuję!

W imieniu wszystkich Amerykanów chciałbym również podziękować całemu narodowi polskiemu za gościnność okazaną naszym żołnierzom w waszym kraju. Ci żołnierze są nie tylko bohaterskimi obrońcami wolności, lecz także są symbolem zaangażowania Ameryki w zapewnienie wam bezpieczeństwa i miejsca w silnej oraz demokratycznej Europie. Jesteśmy dumni, że są tutaj z nami na placu żołnierze amerykańscy, polscy, brytyjscy i rumuńscy. Dziękuję! Świetna robota.

Wraz z prezydentem Dudą wracamy właśnie z niezwykle udanego spotkania z przywódcami biorącymi udział w szczycie inicjatywy Trójmorza. Mieszkańcy tego wspaniałego regionu: Ameryka dąży do wzmacniania współpracy z wami. Cieszymy się z pogłębiania więzi ekonomicznych i handlowych z waszymi rozwijającymi się gospodarkami. Jesteśmy zaangażowani w zapewnienie wam dostępu do alternatywnych źródeł energii, aby Polska i kraje z nią sąsiadujące nigdy więcej nie stały się zakładnikiem jedynego dostawcy energii. Panie prezydencie, gratuluję panu, a także pani prezydent Chorwacji przewodzenia tej historycznej inicjatywie Trójmorza. Dziękuję!

To moja pierwsza wizyta w Europie Środkowej jako prezydenta i jestem zachwycony, że odbywa się ona właśnie tutaj, w tym pięknym kraju. Polska sta-

eprasa.pl 464d4774fb

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

nowi geograficzne serce Europy, ale – co ważniejsze – w polskim narodzie widać duszę Europy. Wasz naród jest wielki, ponieważ wasz duch jest wielki i silny. Przez 200 lat Polska była ofiarą nieustannych i brutalnych napaści. Jednak choć Polskę można było najechać i okupować, a nawet wymazać z mapy jej granice, to nigdy nie można było wymazać jej z historii ani z waszych serc. W tych ciemnych czasach utraciliście waszą ziemię, ale nigdy nie straciliście waszej dumy. Z prawdziwym podziwem mogę więc dziś powiedzieć, że od wsi i miasteczek do katedr i placów wielkich miast Polska żyje, Polska kwitnie, Polska triumfuje. Mimo że podejmowano wiele prób, aby was zmienić, stosowano ucisk, niszczono, przetrwaliście i zwyciężyliście. Jesteście dumnym narodem Kopernika, Chopina, św. Jana Pawła II.

Polska to ojczyzna wielkich bohaterów. Jesteście narodem, który zna prawdziwą wartość tego, czego bronicie. Triumf polskiego ducha na przestrzeni wieków, ciężkich doświadczeń, daje nam wszystkim nadzieję na przyszłość, w której dobro zwycięża zło, a pokój wygrywa z wojną.

Od początku istnienia narodu amerykańskiego Polska, polscy bohaterowie i amerykańscy patrioci walczyli ramię w ramię w naszej wojnie o niepodległość i wielu późniejszych. Nasi żołnierze wciąż służą razem w Afganistanie i w Iraku, walcząc z wrogami cywilizacji.

Jako Ameryka nigdy nie zrezygnowaliśmy z wolności i niepodległości jako prawa i przeznaczenia polskiego narodu i nigdy, przenigdy tego nie zrobimy. Oba nasze kraje łączy szczególna więź ukształtowana poprzez nasze wyjątkowe dzieje i charaktery naszych narodów. To wspólnota, która istnieje jedynie między ludźmi, którzy walczyli, przelewali krew i oddawali życie za wolność. Symbole tej przyjaźni widać w naszej stolicy. Zaledwie kilka kroków od Białego Domu postawiliśmy pomniki upamiętniające postacie o takich nazwiskach jak Pułaski i Kościuszko. Podobnie jest w Warszawie, gdzie tablice z nazwami ulic upamiętniają Jerzego Waszyngtona i gdzie stoi pomnik jednego z największych światowych bohaterów, Ronalda Reagana.

Jestem więc tutaj dzisiaj nie tylko po to, aby odwiedzić starego sojusznika, lecz także by wskazać go jako przykład dla innych, którzy pragną wolności i którzy chcą oraz pragną znaleźć odwagę i wolę obrony naszej cywilizacji. Historia Polski to historia narodu, który nigdy nie stracił nadziei, nigdy nie dał się złamać i nigdy, przenigdy nie zapomniał o swojej tożsamości. To naród o ponadtysiącletniej historii. Granice waszego państwa wymazano z map na ponad 100 lat – i zaledwie wiek temu granice te zostały przywrócone.

W 1920 r., podczas Cudu nad Wisłą, Polska zatrzymała sowiecką armię dążącą do podboju Europy. 19 lat później, w 1939 r., znów zostaliście najechani – tym razem przez nazistowskie Niemcy od zachodu, a od wschodu przez Związek Sowiecki. Pod podwójną okupacją Polacy wycierpieli rzeczy, których nie da się opisać: masakrę w Lesie Katyńskim, okupację, Holokaust, warszawskie getto i powstanie w getcie, zniszczenie tej pięknej stolicy i zagładę niemal jednej piątej polskiego narodu.

Tętniąca życiem społeczność żydowska – największa w Europie – została zredukowana niemal do zera za sprawą systematycznych mordów dokonywanych przez nazistów na milionach żydowskich obywateli Polski, wraz niezliczoną liczbą innych ofiar, które pochłonęła brutalna okupacja.

Latem 1944 r. nazistowska i sowiecka armia szykowały się do stoczenia straszliwej i krwawej bitwy właśnie tutaj, w Warszawie. I chociaż Polakom zgotowano wówczas piekło na ziemi, to obywatele Polski powstali, aby bronić swej ojczyzny. Jestem wielce zaszczycony, że dziś obok mnie są tutaj weterani i bohaterowie powstania warszawskiego. Cóż za wspaniały duch! Chylimy czoła przed waszym poświęceniem i przyrzekamy zawsze pamiętać o waszej walce o Polskę i wolność. Dziękuję! Pomnik ten przypomina nam, że w desperackiej walce przeciw uciskowi zginęło ponad 150 tys. Polaków.

Po drugiej stronie Wisły armia sowiecka zatrzymała się i czekała. I przyglądała się, jak naziści bezlitośnie zrównują miasto z ziemią, w brutalny sposób mordując mężczyzn, kobiety i dzieci. Próbowali na zawsze zniszczyć ten naród, łamiąc w nim wolę przetrwania. W charakterze Polaków są jednak odwaga oraz siła, których nikt nie jest w stanie zniszczyć. Polski męczennik bp Michał Kozal dobrze to powiedział: „Od przegranej orężnej bardziej przeraża upadek ducha u ludzi".

Przez cztery dekady komunistycznych rządów Polska i inne zniewolone narody Europy opierały się brutalnej kampanii, której celem było zniszczenie wolności, waszej wiary, waszych praw, waszej historii, waszej tożsamości – samej istoty waszej kultury i człowieczeństwa. A jednak przez cały ten czas nigdy nie straciliście ducha. Wasi prześladowcy próbowali was złamać, ale Polski nie da się złamać.

I wtedy nadszedł dzień 2 czerwca 1979 r. Gdy na pl. Zwycięstwa na pierwszą mszę z papieżem Polakiem przyszło milion Polaków – tego dnia każdy komunista w Warszawie musiał zdawać sobie sprawę, że ten opresyjny system wkrótce się załamie. Musieli to zrozumieć dokładnie w chwili, gdy podczas kazania papieża Jana Pawła II milion polskich mężczyzn, kobiet i dzieci nagle zaczęło wspólnie się modlić. Nie prosili o bogactwo ani o przywileje. Zamiast tego milion Polaków wyśpiewał trzy proste słowa: „My chcemy Boga".

eprasa.pl 464d4774fb

Za pomocą tych słów Polacy przywołali obietnicę lepszej przyszłości. Na nowo odnaleźli w sobie odwagę, aby przeciwstawić się swym prześladowcom. I odnaleźli słowa, za pomocą których oznajmili, że Polska znów będzie Polską. Kiedy stoję tu dzisiaj przed tym niesamowitym tłumem, przed tym przepełnionym wiarą narodem, wciąż słychać echo tamtych głosów. Ich przekaz jest dziś niezwykle prawdziwy. Naród polski, naród amerykański oraz narody Europy wciąż wołają: „My chcemy Boga".

Wraz z papieżem Janem Pawłem II Polacy umocnili swoją tożsamość jako naród oddany Bogu. I za sprawą tej potężnej deklaracji, kim jesteście, zrozumieliście, co należy czynić i jak należy żyć. Solidarnie wystąpiliście przeciwko uciskowi, przeciw bezprawnej tajnej policji oraz przeciwko okrutnemu i niegodziwemu systemowi, który zubażał wasze miasta i wasze dusze. I wygraliście. Polska zwyciężyła. Polska zawsze zwycięży.

W swej zwycięskiej walce z komunizmem wspierał was silny sojusz wolnych narodów na Zachodzie, które przeciwstawiły się tyranii. A obecnie jako jeden z najbardziej oddanych członków NATO Polska powróciła na swoje miejsce jako wiodący europejski naród, który jest silny, niepodzielny i wolny. Silna Polska jest błogosławieństwem dla narodów Europy i one o tym wiedzą. Silna Europa jest zaś błogosławieństwem dla Zachodu i dla świata.

Sto lat po przystąpieniu amerykańskich sił do I wojny światowej transatlantycka więź pomiędzy Stanami Zjednoczonymi oraz Europą jest pod wieloma względami mocniejsza niż kiedykolwiek. Nad tym kontynentem nie unosi się już widmo komunizmu. Jednak dziś na Zachodzie wciąż stoimy w obliczu poważnych zagrożeń dla naszego bezpieczeństwa i dla naszego stylu życia. Sami widzicie, co się dzieje na świecie. To są realne zagrożenia. Stawimy im czoła i na pewno wygramy. Te zagrożenia jednak istnieją.

Mamy do czynienia z inną ideologią, taką, która dąży do eksportu na cały świat terroryzmu i ekstremizmu. Ameryka i Europa padały ofiarą jednego ataku terrorystów za drugim. Doprowadzimy do tego, że ich więcej nie będzie. Podczas historycznego spotkania w Arabii Saudyjskiej wezwałem przywódców ponad 50 krajów muzułmańskich, aby połączyli siły i wykorzenili to zagrożenie dla całej ludzkości.

Należy zewrzeć szyki przeciw wspólnym wrogom, aby pozbawić ich terytorium, źródeł pieniędzy, sieci powiązań oraz wszelkich form wsparcia ideologicznego, jakie mogą mieć. I wprawdzie zawsze będziemy witać nowych obywateli, którzy podzielają nasze wartości i kochają nasze narody, nasze granice zawsze muszą być zamknięte dla wszelkich przejawów terroryzmu i ekstremizmu.

Prowadzimy stanowczą walkę z radykalnym terroryzmem islamskim. I zwyciężymy. Nie możemy zaakceptować tych, którzy odrzucają nasze wartości i posługują się nienawiścią, aby usprawiedliwić użycie przemocy wobec niewinnych osób.

Dzisiaj Zachód staje również w obliczu sił, które próbują testować naszą wolę, podkopać naszą pewność siebie i zagrozić naszym interesom. Aby móc przeciwstawić się nowym formom agresji, w tym propagandzie, przestępczości finansowej oraz cyberatakom, musimy tak przystosować nasz sojusz, aby mógł on skutecznie działać na nowych obszarach i na nowych polach bitewnych.

Silna Polska jest błogosławieństwem dla narodów Europy. Silna Europa jest zaś błogosławieństwem dla Zachodu i dla świata

Wzywamy Rosję, aby przestała dążyć do destabilizacji Ukrainy i innych krajów i aby wstrzymała swoje wsparcie dla wrogich reżimów, w tym Syrii i Iranu, i by zamiast tego przyłączyła się do wspólnoty odpowiedzialnych narodów, walczących przeciwko wspólnym wrogom i w obronie cywilizacji jako takiej.

I w końcu, po obu stronach Atlantyku, nasi obywatele mierzą się z jeszcze jednym zagrożeniem – zagrożeniem, z którym możemy sobie w zupełności poradzić. Dla niektórych jest ono niewidoczne, ale dla Polaków – znajome. Chodzi o stały rozrost rządowej biurokracji, która wyciąga z ludzi wolę działania i bogactwo. Zachód osiągnął sukces nie dzięki robocie papierkowej i regulacjom, ale dlatego że ludzie mogli podążać za swoimi marzeniami i spełniać swoje powołanie.

Amerykanie, Polacy i narody europejskie cenią sobie indywidualną wolność oraz suwerenność. Musimy współpracować, aby przeciwstawić się siłom, niezależnie od tego, czy pochodzą z wewnątrz czy z zewnątrz, z Południa czy ze Wschodu, które z czasem grożą podważeniem tych wartości i zerwaniem więzów kulturowych, zniszczeniem wiary oraz tradycji, które sprawiają, że jesteśmy, kim jesteśmy. Jeśli się im nie przeciwstawimy, to te siły podkopią naszą odwagę, nadwątlą naszego ducha i osłabią naszą wolę niezbędną do obrony siebie i naszych społeczeństw.

Na podstawie lekcji, które nasi przeciwnicy i wrogowie odebrali w Polsce, wiemy, że również te siły będą skazane na porażkę, jeśli będziemy tego chcieli. A my naprawdę chcemy, by upadły. Są skazane na porażkę nie tylko dlatego, że nasz sojusz jest silny, lecz także dlatego, że nasze kraje są prężne, a nasza potęga nie ma sobie równych. To wszystko prawda. Nasi wrogowie są jednak skazani na porażkę również dlatego, że nigdy nie zapomnimy, kim jesteśmy. A skoro nie zapomnimy, to nikt nie może nas pokonać.

Amerykanie nigdy nie zapomną. Narody europejskie nigdy nie zapomną. Jesteśmy najmocniejszą i najwspanialszą wspólnotą narodów, jaką znał świat. Komponujemy symfonie. Promujemy innowacje. Czcimy naszych starożytnych bohaterów, pielęgnujemy ponadczasowe tradycje oraz zwyczaje i zawsze szukamy, i odkrywamy nowe możliwości. Nagradzamy za błyskotliwość. Dążymy do doskonałości i miłujemy inspirujące dzieła sztuki, które oddają cześć Bogu. Cenimy rządy prawa i bronimy wolności słowa oraz wyrażania poglądów.

Wspieramy kobiety jako filary naszego społeczeństwa i naszego sukcesu. A w centrum naszego życia stawiamy wiarę i rodzinę, a nie rządy i biurokrację. Debatujemy nad wszystkim i wszystko kwestionujemy. Pragniemy poznać wszystko, aby móc lepiej poznać siebie.

Przede wszystkim jednak cenimy godność każdej ludzkiej istoty, chronimy prawa każdego człowieka i podzielamy nadzieję, aby każdy mógł żyć wolno. Tacy jesteśmy. Takie są bezcenne więzy, które nas łączą jako narody, jako sojuszników i jako cywilizację.

To, co mamy, to, co odziedziczyliśmy po naszych przodkach, nie istniało w takim stopniu nigdy wcześniej. Jeśli więc nie uda nam się tego obronić, to nie za-

eprasa.pl 464d4774fb

istnieje to nigdy ponownie. Nie możemy więc przegrać.

Ta wspaniała międzynarodowa społeczność ma jeszcze jeden element, który ją łączy: to naród, a nie najmożniejsi, zawsze stanowił podwaliny naszej wolności i kamień węgielny naszej obrony.

To naród jest fundamentem tutaj – w Polsce, tu – w Warszawie, i od samego początku jej istnienia stanowił fundament Ameryki.

Nie po to obywatele naszych państw wspólnie walczyli o wolność, nie po to wspólnie przetrwali dramaty, nie po to wspólnie stawiali opór złu, żeby teraz zaprzepaścić tę wolność przez brak poczucia dumy i wiary w nasze wartości. Nigdy się nie cofniemy.

Tak długo, jak długo pamiętamy o historii, będziemy wiedzieć, jak zbudować naszą przyszłość. Amerykanie wiedzą, że silny sojusz wolnych, suwerennych i niezależnych narodów to najlepszy sposób na obronę naszych wolności i naszych interesów. To dlatego moja administracja domaga się, aby wszyscy członkowie NATO wywiązywali się w pełni i sprawiedliwie ze swoich zobowiązań finansowych. Ta uporczywość już zaowocowała miliardami dolarów, które zaczęły płynąć do NATO. Ludzie są zszokowani, ale moim zdaniem te miliardy inaczej nie napłynęłyby tak szybko.

Tym, którzy krytykują nasze twarde stanowisko, chciałbym przypomnieć, że Stany Zjednoczone zademonstrowały nie tylko słowami, lecz przede wszystkim swoimi czynami swoje nieugięte poparcie dla art. 5, dla wielostronnego zobowiązania obronnego. Łatwo jest mówić, ale to czyny się liczą. Dla własnego dobra – i wszyscy to wiedzą – Europa musi zrobić więcej. Musi pokazać, że wierzy w swoją przyszłość, inwestując swoje pieniądze w jej zabezpieczenie.

Właśnie dlatego oklaskujemy Polskę za decyzję o zakupie od USA sprawdzonych w warunkach bojowych systemów obrony powietrznej i przeciwrakietowej Patriot. Najlepszych na całym świecie. Również właśnie dlatego tak cenimy naród polski, który jako jeden z nielicznych w NATO spełnia normę inwestycji we wspólną obronność. Dziękuję, Polsko. Muszę powiedzieć, że wzór do naśladowania, który stanowisz dla innych krajów członkowskich NATO, jest naprawdę imponujący.

Musimy pamiętać, że nasza obronność to nie tylko zobowiązania finansowe – to także zaangażowanie woli. Polskie doświadczenia uczą nas, że obrona Zachodu nie zależy ostatecznie od pieniędzy, a od woli przetrwania narodu. I tu pojawia się zasadnicze pytanie naszych czasów: Czy Zachód ma wolę przetrwać? Czy wystarczająco wierzymy w nasze wartości, aby bronić ich za wszelką cenę? Czy mamy wystarczająco dużo szacunku do naszych obywateli, aby bronić naszych granic? Czy mamy odwagę, aby zachować naszą cywilizację w obliczu tych, którzy chcieliby ją sobie podporządkować i ją unicestwić?

Możemy mieć najpotężniejsze gospodarki świata i najlepszą broń, ale jeśli zabraknie silnej rodziny i solidnego systemu wartości, to będziemy słabi i nie przetrwamy. Jeśli ktoś zapomniał o kluczowym znaczeniu tych wartości, to zachęcam do odwiedzenia kraju, który nigdy o nich nie zapomniał – niech przyjadą do Polski. Niech przyjadą tu, do Warszawy, i niech poznają historię powstania warszawskiego. Niech poznają historię Al. Jerozolimskich. W sierpniu 1944 r., tak jak obecnie, Al. Jerozolimskie były jedną z głównych arterii przecinających miasto ze wschodu na zachód. Kontrola nad tą drogą miała kluczowe znaczenie dla obu stron bitwy o Warszawę. Niemiecka armia chciała ją przejąć jako najkrótszą drogę przemieszczania oddziałów na front. A dla członków polskiej Armii Krajowej możliwość przedostawania się na północ i na południe przez tę ulicę miała zasadnicze znaczenie dla utrzymania Śródmieścia, a tym samym od zniszczenia samego powstania.

Zasadnicze pytanie naszych czasów brzmi: Czy Zachód ma wolę przetrwać?

Noc w noc, pod ciężkim ogniem z broni maszynowej, Polacy znosili worki z piaskiem, aby bronić swojego wąskiego przejścia przez Al. Jerozolimskie. Dzień w dzień wróg je niszczył. Wtedy Polacy robili okopy, a potem wznieśli barykadę. W ten sposób bohaterscy powstańcy zaczęli przekraczać tę ulicę.

Ten wąski pasaż zadecydował o kontynuacji powstania. Mieszkańcy i powstańcy, ryzykując życie, biegli tym wąskim przejściem, by nieść pomoc swojemu miastu. „To było zaledwie kilka metrów – wspominała młoda Polka o imieniu Greta. – Ten śmiertelnie niebezpieczny fragment ulicy przesiąknięty był krwią posłańców, łączniczek i kurierów".

Nazistowscy snajperzy brali ich na cel. Żołnierze wroga palili każdy budynek, a kiedy atakowali barykadę, wykorzystywali Polaków jako żywe tarcze dla swoich czołgów. Wróg nie ustawał w ataku na maleńki przyczółek cywilizacji, a Polacy nigdy nie ustawali w jego obronie.

Przesmyk przez Al. Jerozolimskie wymagał ciągłej obrony, napraw i umocnień. Jednak wola obrońców, nawet w obliczu śmierci, była niezachwiana; przejście istniało do ostatnich dni powstania. Nigdy nie zostało zapomniane, dzięki Polakom było zawsze dostępne.

Pamięć o ofiarach powstania warszawskiego woła do nas przez dekady, a wspomnienia o obrońcach przejścia przez Al. Jerozolimskie należą do najbardziej żywych. Ci bohaterowie przypominają nam, że Zachód został ocalony dzięki krwi patriotów, że każde pokolenie ma w tej obronie do odegrania swoją rolę. I że każda piędź ziemi, każdy centymetr naszej cywilizacji jest tej obrony wart. Nasza walka w obronie Zachodu nie zaczyna się na polu bitwy – zaczyna się od naszych umysłów, naszej woli, naszych dusz.

Dzisiaj więzy spajające naszą cywilizację mają znaczenie niemniejsze – i wymagają nie mniej zaciekłej obrony niż ta piędź ziemi, na której skupiała się nadzieja Polski na istnienie. Nasza wolność, nasza cywilizacja i nasze przetrwanie zależą od tych właśnie więzi historii, kultury i pamięci.

I dziś, tak jak zawsze, Polska jest w naszych sercach, podczas gdy jej naród toczy tę walkę. I tak jak Polski nie da się złamać, tak oświadczam dzisiaj całemu światu, że Zachodu nigdy, przenigdy nie uda się złamać. Nasze wartości zwyciężą. Nasze narody będą prosperować. Nasza cywilizacja zatriumfuje. Walczmy zatem razem tak jak Polacy: za rodzinę, za wolność, za kraj i za Boga.

Dziękuję wam. Niech Bóg was błogosławi. Nie Bóg błogosławi naszych sojuszników. I niech Bóg błogosławi Stany Zjednoczone. Dziękuję. Niech Bóg was błogosławi. Dziękuję bardzo. ***tłum. jap***

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Śledztwo według Piątka

Wojciech Wybranowski

Rzekomo demaskatorskiej książki Tomasza Piątka o Antonim Macierewiczu nie chciały wydać duże wydawnictwa. Nie myliły się w ocenie

Sednem tej książki, jej najważniejszą treścią są powiązania między Antonim Macierewiczem i jego środowiskiem a globalnym gangsterem i finansistą Siemonem Mogilewiczem, powszechnie uważanym za mózg rosyjskiej mafii" – pisze w swojej książce pt. „Macierewicz i jego tajemnice" Tomasz Piątek, pisarz i były publicysta „Krytyki Politycznej" (wyrzucony stamtąd po tym, jak okazało się, że pisał do reklamujących się w „Do Rzeczy" przedsiębiorców donosy, kuriozalnie oskarżając nas o prorosyjskie sympatie i związki z Władimirem Putinem). Na ponad 200 stronach Piątek usiłuje przekonać czytelnika, że istnieją związki Macierewicza z rosyjskim gangsterem ukraińskiego pochodzenia, a tym samym z GRU i Władimirem Putinem.

– To jakaś horrendalna bzdura – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Jan Olszewski. Były premier, który doprowadził do wyprowadzenia wojsk rosyjskich z Polski, poznał Antoniego Macierewicza jeszcze w czasach głębokiego PRL. – Nigdy, przez te wszystkie lata nie zetknąłem się z ani jedną sytuacją, która mogłaby choćby poszlakowo wskazywać na jakiekolwiek powiązania, układy Macierewicza z Rosją, rosyjskimi służbami czy Moskwą. Na użytek polityczny można każdego próbować umoczyć we wszystko, ale akurat takie sugestie wobec niego są śmieszne – podkreśla.

Książka Piątka taka właśnie jest – śmieszna i straszna. Nie sposób odmówić mu literackiego talentu, ale już metodologia badawcza i sposób, w jaki współpracownik „Gazety Wyborczej" przedstawia swoje teorie, budzi śmiech.

eprasa.pl 464d4774fb

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

Chociaż książka reklamowana jest jako „śledcza", to jest w zasadzie zbiorem przepisanych po swojemu, ale dawno znanych artykułów z polskich i zagranicznych mediów. Autor dodaje do nich jednak nowość – dobudowuje absurdalne tezy.

Przykłady? Na prawie dwóch stronach Piątek opisuje rzekome biznesowe związki Macierewicza z Robertem Luśnią, zarejestrowanym jako TW „SB". Przekonuje, jakoby Macierewicz miał dać pieniądze Luśni na przejęcie firmy Herbapol Lublin. I po tych dwóch stronach opisywania „dealu", w sposób, który ma utwierdzać czytelnika w przekonaniu, że ów „układ" rzeczywiście miał miejsce, Piątek wtrąca: „W żaden bezpośredni sposób nie udało mi się potwierdzić informacji, jakoby Macierewicz dał pieniądze Luśni na wykupienie udziałów w Herbapolu Lublin".

RĘKOPIS DO KOSZA

Niestety, choć dzieło Piątka zawiera takie kwiatki, stało się już poważnym narzędziem politycznej walki z ministrem obrony narodowej.

– To są bardzo poważne zarzuty. Domagam się odpowiedzi i wyjaśnienia, jakie są powiązania Macierewicza z mafią rosyjską. Będę o to wnioskował – grzmiał w programie „Onet rano" poseł PO Tomasz Cimoszewicz, syn Włodzimierza Cimoszewicza, działacza PZPR.

Cimoszewicz junior powołał się na „sensacyjne" ustalenia Piątka. Jego dzieło wykorzystali też inni politycy PO, by dyskredytować Macierewicza, m.in. były szef resortu sprawiedliwości Borys Budka. Nie inaczej dzieje się w periodykach i portalach blisko związanych z największą partią opozycyjną, od dawna zaangażowanych w wojnę z Macierewiczem i partią rządzącą. „Dziennikarz »GW« ujawnia, że Macierewicz ma powiązania z Rosją, Putinem, a nawet z moskiewską mafią" – tak książkę Piątka reklamował tygodnik „Newsweek". „To wywoła skandal, z którego PiS nie wyjdzie bez szwanku. Powstała książka o powiązaniach Antoniego Macierewicza z Rosją" – cieszył się lewicowy portal NaTemat związany z Tomaszem Lisem, a Jacek Żakowski pisał na łamach „GW", że to dzieło „podsumowujące znane i ujawniające nowe agenturalno-putinowsko-mafijne powiązania ministra obrony".

Tymczasem niewiele brakowało, by „śledcze" dzieło nie ujrzało światła dziennego. Jak ustaliliśmy, propozycję publikacji odrzuciły wcześniej główne wydawnictwa w Polsce. Już to nie stawia książki w korzystnym świetle. – Duże wydawnictwa cechuje pewien konserwatyzm, obawiają się takich publikacji – przekonuje Marcin Celiński, z kwartalnika „Liberté!", gorący sympatyk opozycji i uczestnik marszów KOD, który ostatecznie zdecydował się wydać „Macierewicza i jego tajemnice"

Aby książka pojawiła się na rynku, Celiński założył wspólnie z Piątkiem maleńkie wydawnictwo Arbitror z kapitałem zakładowym w wysokości 5 tys. zł. Celiński został prezesem, a Piątkowi powierzył funkcję członka zarządu. Z wydaniem publikacji spieszono się tak bardzo, że pierwsze egzemplarze się ukazały i zorganizowano promocję, jeszcze zanim wydawnictwo Arbitror w ogóle zostało zarejestrowane w KRS.

Z enuncjacjami Piątka zapoznał się już minister Piotr Naimski, były szef UOP, przed laty współzałożyciel KOR, któremu w publikacji również poświęcono sporo miejsca. W rozmowie z „Do Rzeczy" mówi z żalem, że pieniądze, które wydał na zakup tej książki, „wyrzucił w błoto". – To jakiś wymysł chorego umysłu Tomasza Piątka, który nie mając pojęcia o tym, o czym pisze, z fragmentów dokumentów, których nie rozumie, tworzy jakieś dziwne asocjacje. Idąc tą drogą, można by utworzyć powiązania między nim a Mieszkiem I – komentuje Naimski.

JAK PIĄTEK ŚWIAT WYJAŚNIAŁ

Powiązań z pierwszym władcą Polski co prawda Piątek u Macierewicza się nie doszukiwał, natomiast do książki dołączył mapy, które mają ilustrować rzekome związki szefa MON z Siemonem Mogilewiczem, a tym samym z GRU. I znów jest śmiesznie.

Z mapy Piątka wynika, że „związek" Macierewicza z GRU wywodzi się od Edmunda Jannigera – młodzieńca, który jako 20-letni student Uniwersytetu Rudgers w New Jersey był przez krótki czas doradcą ministra. Co według Piątka łączy Macierewicza i młodziaka z Putinem? Na uczelni, na której Janniger studiował, a jego ojciec również wykłada, utworzenie katedry bankowości zasponsorował – co na Zachodzie nie jest rzeczą wyjątkową – Thomas A. Renyi, absolwent tegoż uniwersytetu i przez długi czas członek władz BONY (Bank of New York). Za jego kadencji w 1999 r. w Stanach wybuchł skandal, bo okazało się, że w nowojorskim banku przez długie lata wyprano miliardy dolarów rosyjskich prominentów związanych z moskiewską mafią. Sęk w tym, że sprawa dotyczyła zdarzeń, do których doszło, zanim Renyi zaczął pracę w BONY, a Janniger, o którym ów bankowiec pewnie nigdy nie słyszał, jeszcze się nie urodził. Piątek fakty ignoruje i prowadzi prostą linię powiązań od Jannigera przez uniwersytet do Renyiego i BONY do Mogilewicza, a od niego do GRU i Putina. Na tym nie koniec. Z tym jednym z najważniejszych amerykańskich banków współpracował też były senator USA Alfonse D'Amato – również z racji swoich obowiązków (był przewodniczą-

eprasa.pl 464d4774fb

cym Komisji Bankowej Senatu Stanów Zjednoczonych) – amerykański lobbysta, który miał pomagać ludziom Macierewicza w przygotowaniu szczytu NATO w Warszawie. Wniosek? Macierewicz jest w cieniu rosyjskich służb i ma związki z gangsterami i Putinem. Świat przestawiany w książce Piątka jest nieskomplikowany i urojony.

Marian Piłka, zasłużony działacz opozycji antykomunistycznej, później prezes ZChN, poznał Antoniego Macierewicza w latach 70. ubiegłego wieku. Nie należą dziś do bliskich przyjaciół ani współpracowników, ale gdy rozmawiam z nim o „powiązaniach" Macierewicza z rosyjską mafią i GRU, które kreśli Piątek, Piłka chwyta się za głowę. – To w Związku Sowieckim Stalin dorabiał swoim konkurentom rzekome powiązania z „imperialistami". I tu widzę podobną skłonność w stosunku do Macierewicza. Można się z kimś nie zgadzać, ale to nie oznacza negowania zasług i szczerości intencji – mówi Piłka.

ODGRZEWANE KOTLETY

Sporo uwagi Tomasz Piątek poświęca związkom Macierewicza z Robertem Luśnią, byłym działaczem antykomunistycznego Ruchu Młodej Polski w okresie PRL, później posłem Ruchu Katolicko-Narodowego. Sąd Lustracyjny w 2005 r. uznał, że Luśnia w latach 1983–1988 był tajnym współpracownikiem „SB" o pseudonimie Nonparel

– Luśnia był młodym, bardzo uczynnym człowiekiem. Robił na wszystkich bardzo dobre wrażenie, darzyliśmy go zaufaniem. Nikt, także Macierewicz, nie miał żadnej wiedzy o tym, że współpracował z SB – opowiada „Do Rzeczy" prof. Wojciech Fałkowski, wiceminister obrony narodowej, współorganizator pomocy robotnikom w Czerwcu 76'. – Daję głowę i swój honor, że Macierewicz żadnych związków z rosyjskimi służbami nie miał – podkreśla.

Gdy Sąd Lustracyjny uznał Luśnię za tajnego współpracownika SB, został on natychmiast wyrzucony z ugrupowania. Od tego czasu nie ma żadnych dowodów na to, by utrzymywał jakikolwiek kontakt z Macierewiczem. – Nawet nie wiem, jak skomentować taką argumentację, że skoro opozycjonista był inwigilowany, a w jego otoczeniu SB pozyskała jego dobrego znajomego, to ten inwigilowany miał, bo taki ciąg myślowy prezentuje ów pan Piątek, związki z GRU – mówi Jan Olszewski. – Dla nas wszystkich sprawa Luśni była bardzo bolesna. Macierewicz zareagował tu szybko i zdecydowanie – dodaje.

Sprawę Luśni media ujawniły i opisały 12 lat temu. Piątek powielił w swojej książce stare materiały prasowe, przekonując – choć nie przedstawił na to żadnych dowodów – jakoby Macierewicz wiedział o esbeckich powiązaniach Luśni i przez lata go krył, wykorzystując stanowisko szefa MSW.

Dlaczego? Równanie ułożone przez Piątka może zadziwić. Oficerem prowadzącym TW „Nonparol" był oficer SB Józef Nadworski. Piątek przekonuje, że to bliski znajomy Marka Zielińskiego, również związanego z SB i szpiega GRU. Zieliński został zatrzymany w 1993 r. za szpiegostwo i skazany na siedem lat więzienia. Równanie? Macierewicz plus Luśnia plus Zieliński plus Nadworski równa się GRU, czyli Kreml.

– Każdy opozycjonista był inwigilowany, więc wielu znajomych potem okazało się donosicielami, ale wyciąganie w ten sposób jakichś tez o związkach z Moskwą jest groteskowe. W ten sposób każdego można połączyć ze wszystkim – komentuje Marian Piłka.

„ŚLEDCZY" IGNORANT

Jeśli książka Piątka ma jakiś walor, to może taki, że momentami bywa śmieszna. Jak wtedy, gdy próbując udowadniać „rosyjskie związki" Macierewicza, opisuje działalność Andrieja Skocza, miliardera zaangażowanego w działalność putinowskiej Jednej Rosji, kojarzonego z mafią sołncewską. W 2011 r. Fundacja Pokolenie, której założycielem jest Skocz, stworzyła patriotyczno-wojskowe stowarzyszenie Pokolenie. Młodzi Rosjanie, którzy angażują się w jego działalność, część przeszkolenia przechodzą w GRU. Piątek puentuje: „Jak widać, mamy do czynienia z czymś bardzo podobnym do Obrony Terytorialnej ministra Antoniego Macierewicza. I znów mamy do czynienia z GRU".

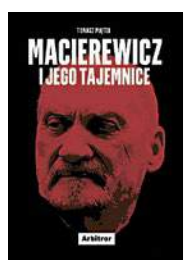

TOMASZ PIĄTEK „MACIEREWICZ I JEGO TAJEMNICE" ARBITROR 2017

– Wojska Obrony Terytorialnej nie są wynalazkiem ani Antoniego Macierewicza, ani GRU. Obecnie taki rodzaj wojsk odnajdujemy w strukturach obronnych takich krajów jak USA, Szwajcaria, Szwecja, Litwa, Łotwa, Estonia, Austria, Wielka Brytania i inne – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Stanisław Drosio, prezes stowarzyszenia ObronaNarodowa.pl. – Zatem wniosek wysnuty przez autora jest kompletnie oderwany od realiów współczesnej teorii wojskowości oraz podstawowych zasad, jakie powinny kierować budową strategicznej odporności kraju – podkreśla i dodaje, że jeśli cała książka jest oparta na takich podstawach jak część dotycząca WOT, to „trudno traktować ją poważnie".

Trudno poważnie traktować też samego Piątka, który w programie internetowym „Rozmowy o polityce" dziennika „Rzeczpospolita", prezentując się jako „dziennikarz śledczy", opowiadał: – Nikt do mnie nie strzeli, nie zabije mnie żaden tajemniczy samochód ani tajemnicza choroba, bo ci panowie związani z otoczeniem Macierewicza, rosyjskie służby i rosyjscy gangsterzy, o których piszę, już się chyba nauczyli, że mogą zabić każdego w Rosji, ale już poza nią, na przykład na Ukrainie – nie.

To akurat obnaża ignorancję, jeśli chodzi o temat jego książki, czyli rosyjskie służby. Wystarczy przypomnieć choćby tajemniczą śmierć Aleksandra Pierieplicznego, współpracownika szwajcarskiej prokuratury, wiedzącego o przestępczych powiązaniach zaplecza Putina (w 2012 r. zmarł w tajemniczych okolicznościach w Londynie), czy Matthew Punchera, eksperta badającego śmierć Litwinienki, który miał w ubiegłym roku sam zadźgać się nożem w swoim domu w Oksfordzie. W obu przypadkach zachodzą podejrzenia, że ich śmierć była realizacją kremlowskiego zlecenia.

PUENTĘ NAPISAŁO ŻYCIE

W czwartek MON poinformowało o podpisaniu porozumienia, na mocy którego rząd amerykański zgodził się na sprzedaż Polsce systemu rakiet Patriot, ważnego dla stworzenia w Polsce skutecznego systemu obrony powietrznej.

„Macierewicz podpisuje te umowy z jankesami, przerzuca wojsko na wschód, idzie po ponad 2 proc PKB na wojsko na złość Piątkowi" – skomentował na Twitterze żartobliwie Michał Majewski, były dziennikarz śledczy. I dodał, że stawianie tezy, iż Macierewicz to człowiek GRU, jest klimatem z domu wariatów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Z Adamem Bodnarem, rzecznikiem praw obywatelskich
rozmawia Łukasz Warzecha

„500+" jest sukcesem rządu

ŁUKASZ WARZECHA: Poda się pan do dymisji w związku z wypowiedzią o odpowiedzialności narodu polskiego za Holokaust?

ADAM BODNAR: Nie widzę powodu. Wydałem oświadczenie w tej sprawie od razu, gdy zorientowałem się, że moje słowa mogły zostać niewłaściwie zinterpretowane.

Napisał pan, że przeprasza za formę, a nie za treść. Czyli za co właściwie?

Użyte przeze mnie słowo „naród" było zbyt dużym i niewłaściwym kwantyfikatorem. Z rozmowy wynikało jednak jasno, że chodziło mi o jednostki – obywateli polskich, którzy także mieli swój udział w tym, że Holokaust był możliwy. Nawet jeśli było ich stosunkowo niewielu.

Nawet gdyby tak to ująć, czy to uczciwe postawienie sprawy, jeśli porównamy postawę Polaków z innymi nacjami?

Jestem pełen szacunku dla postawy Polaków. I dumny z tego, że – w przeciwieństwie do wielu innych państw – Polskie Państwo Podziemne nigdy nie kolaborowało z okupantem i nie godziło się na donosicielstwo. Armia Krajowa wykonywała wyroki na szmalcownikach. Także wielu naszych rodaków pomagało Żydom w okresie Holokaustu, narażając często własne życie. Nie widzę jednak powodu, żeby nie mówić też – oczywiście we właściwych proporcjach – o tych, którzy zachowywali się niegodnie.

Nie sądzi pan, że tą wypowiedzią nadużył pan zaufania części obywateli, których również powinien pan reprezentować?

Błędy są nie do uniknięcia, także w służbie publicznej. Ważne jest, żeby je dostrzec, przeprosić i wyciągnąć wnioski. Ja to zrobiłem. Z szacunku dla obywateli. Natomiast ONR złożył na mnie doniesienie za „znieważenie narodu polskiego". To bez sensu wobec osoby, która ma w sobie tyle patriotyzmu i podziwu dla tego narodu.

Ma pan immunitet, nic panu nie grozi. Zawsze jednak może się pan go zrzec.

Może być pan pewny, że w każdej sytuacji zachowam się godnie. Dla mnie jednak najważniejsza jest obrona praw obywateli, które – przyzna pan – są często ograniczane bądź lekceważone.

Na stronie internetowej RPO pojawiła się informacja, że zamierza pan zbadać zdarzenia, które stały się udziałem wycieczki niemieckich muzułmanów po Polsce. Wokół tej sprawy jest jednak mnóstwo kontrowersji, a informacje przekazane przez policję i obsługę synagogi zaprzeczają wersji, jaką znamy z „Gazety Wyborczej". Nie za wcześnie na interwencję RPO?

Takie sprawy podejmujemy „z urzędu". Nie wydajemy werdyktu, staramy się ustalić fakty i ocenić działanie odpowiednich instytucji publicznych.

Zgadza się pan z opinią, że w Polsce alarmująco narasta ksenofobia i niechęć wobec muzułmanów?

Zadaje pan pytanie z gatunku: „Czy Polacy są narodem tolerancyjnym?". Można odpowiedzieć: „tak", „nie", ale zawsze to będzie generalizacja. Dlatego staram się patrzeć na to przede wszystkim przez konkretne przypadki, a także statystki i tendencje. Często spotykam się z osobami, które padają ofiarami przemocy ze względu na swój wygląd czy pochodzenie. I muszę panu powiedzieć, że gdy pracowałem w Fundacji Helsińskiej, było mniej przypadków bezpośredniej agresji fizycznej. Teraz jest tego naprawdę sporo i niepokojąco ta liczba rośnie.

Czy przypadkiem nie zalicza pan do przypadków rasizmu zwykłych chuligańskich lub bandyckich ekscesów, których ofiarą mógł paść każdy – także stuprocentowy biały Polak? To stara metoda między innymi zawodowych antyfaszystów: podciągnąć pod przejawy faszyzmu wszystko, co się da, i w ten sposób uzasadnić swoje funkcjonowanie. Jeśli bowiem skończy się faszyzm, to skończą się granty, fundusze, zaproszenia i wyjazdy.

Jeśli motywacją działania sprawcy jest kolor skóry, pochodzenie etniczne czy wyznanie, to mamy do czynienia z przestępstwem ujętym w Kodeksie karnym w artykule 119. Rzecznik Praw Obywatelskich to organ powołany do stania na straży równości, więc absolutnie muszę takie sprawy badać. Oczywiście weryfikujemy medialne doniesienia. Przypomina mi się historia ze Szczecina: w listopadzie 2015 r. dzieci miały pobić tam swojego kolegę, krzycząc na niego: „uchodźca". Działo się to po pierwszych demonstracjach przeciwko przyjmowaniu uchodźców. Sprawdziliśmy sytuację na miejscu i okazało się, że była to tylko niewinna zabawa. Niestety, były też przypadki, kiedy po zbadaniu sprawy rzeczywistość okazała się bardziej tragiczna, niż informowały media.

Co wrażliwość rzecznika na kwestie równości i mowy nienawiści podpowiada panu w sprawie „Klątwy"?

Nie widziałem tego przedstawienia i niespecjalnie mam ochotę je oglądać. Granica między tym, co jest wolnością twórczości artystycznej, a obrazą uczuć religijnych jest trudna do precyzyjnego ustalenia. Miewamy tu konflikt wartości. Na razie obserwujemy poczynania prokuratury. Nie wykluczam, że w pewnym momencie również zajmę stanowisko jako RPO.

Dziwne. Tam, gdzie w grę wchodzą potencjalne motywacje rasistowskie, podejmuje pan działania od razu, a tutaj, gdzie prowokacyjny spektakl celowo obraża ogromną grupę ludzi, nic pan nie robi.

Powtarzam: działa prokuratura, ja nie mogę jej zastępować. Warto też zauważyć, że trochę czym innym jest relacja między wolnością sztuki a obrazą uczuć religijnych, a czym innym relacja między

eprasa.pl 464d4774fb

mową nienawiści – uregulowaną ściśle w Kodeksie karnym na podstawie artykułów 119, 256 i 257 – a wolnością słowa.

Pamięta pan człowieka motyla, który obtańcowywał procesję Bożego Ciała w Łodzi, kpiąc z jednego z najważniejszych świąt w Kościele? Zareagowałby Pan?

Nie ma wątpliwości, że uroczystości o charakterze religijnym powinny odbywać się bez przeszkód. Tak samo twierdzę, że przestrzeń świątyni to sfera pełnego sacrum.

Włączył się pan po stronie skarżących w sprawę łódzkiego drukarza, który odmówił wydrukowania banneru dla stowarzyszenia LGBT. Nie miał do tego prawa? Przecież w grę wchodziło jego sumienie.

Z punktu widzenia RPO była to typowa sprawa, w której odmówiono bezzasadnie usługi publicznie dostępnej. Jest na to przepis w Kodeksie wykroczeń. Mieliśmy kilka takich spraw dotyczących głównie osób z niepełnosprawnościami. Sąd prawomocnym wyrokiem potwierdził, że doszło do naruszenia przepisów, a jednocześnie odstąpił od wymierzenia kary.

Wyobraźmy sobie odwrotną sytuację: do drukarza o jednoznacznie lewicowych poglądach przychodzą chłopcy z ONR i chcą wydrukować banner. Drukarz odmawia. Ujmie się pan za ONR-owcami?

Gdyby na plakacie nie było wezwań do działań o charakterze rasistowskim ani do przemocy, a jedynie – tak jak w przypadku łódzkiego drukarza – nazwa organizacji, jej adres i logo, to tak, zachowałbym się dokładnie tak samo. Drukarz nie miałby prawa odmówić wykonania usługi. ONR jest legalnie działającą organizacją.

Jakie jest pana stanowisko w sprawie klauzuli sumienia? Istnieje w przypadku lekarzy, ale czy powinna istnieć w przypadku innych zawodów? Co z farmaceutami, którzy nie chcieliby sprzedawać na przykład środków wczesnoporonnych?

Moim zdaniem nie ma dziś podstawy prawnej do stosowania przez farmaceutów klauzuli sumienia.

A gdyby taka podstawa miała powstać i gdyby pojawiła się odpowiednia ustawa, to skorzystałby pan z przysługującego panu środka i skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego?

Trudne pytanie, bo jak pan świetnie wie, z Trybunałem mamy wszyscy problem.

Nie o tym mówię. Załóżmy, że mamy inny Trybunał.

Nie możemy abstrahować od aktualnej sytuacji dotyczącej niezależności Trybunału.

Trybunał nie jest niezależny? Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

Przede wszystkim w składzie Trybunału jest trzech legalnie powołanych sędziów, którzy nie mogą orzekać w niektórych ważnych ustrojowo sprawach, ponieważ na rozpoznanie czeka wniosek kwestionujący ich powołanie przed sześciu laty. Po drugie, są trzy osoby pełniące urząd sędziów TK, co do których są duże wątpliwości, czy zostali powołani zgodnie z prawem. Moim zdaniem te trzy osoby nie mają statusu sędziów.

Zgoda, jest prawne zamieszanie wokół TK, ale w jaki sposób ma to dowodzić, że Trybunał nie jest niezależny? Bardziej niezależny był Trybunał pod kierownictwem prof. Rzeplińskiego?

Na to wygląda.

I słuchając wypowiedzi Andrzeja Rzeplińskiego, naprawdę pan w to wierzy?

Nie chcę wchodzić w ocenę wypowiedzi prof. Rzeplińskiego. Uważam tylko, że w tamtym składzie sędziowie zostali wybrani w sposób dający gwarancję niezależności. Chociaż miałem krytyczny stosunek do niektórych orzeczeń TK. Warto przypomnieć, że TK nie uznał np. za niekonstytucyjne przepisów dotyczących przejęcia środków z OFE, pomimo wniosku mojej poprzedniczki na urzędzie RPO.

Gdy ubiegał się pan o urząd rzecznika, zapewniał pan, że zostawi swoje poglądy za drzwiami. Nie mam wrażenia, że tak się stało.

Zapewniałem, że będę starał się zachować bezstronność. I tak postępuję. Walczę z przypadkami łamania praw obywateli, ale i dostrzegam to, co tym prawom służy. Na przykład program „500+" był bardzo dobrym pomysłem i jest sukcesem rządu. Podobnie jak polityka mieszkaniowa – wreszcie są plany budowy tanich mieszkań, w tym socjalnych.

Skoro, jak pan mówi, stara się pan zostawiać swoje lewicowe poglądy poza biurem, to dlaczego w 2016 r. włączył się pan po stronie organizacji LGBT w proces, który o naruszenie dóbr osobistych wytoczył im dr Paul Cameron, znany krytyk tych środowisk?

Ponieważ uważam, że organizacje nie powinny być szykanowane za swoje poglądy. W tym przypadku organizacje LGBT starały się zbadać, jakie jest naukowe przygotowanie dr. Camerona do głoszenia stawianych przez niego tez. W swoich komentarzach nazywały go różnie, ale w granicach wolności słowa.

Byłbym w stanie zrozumieć pańską decyzję, gdyby była mowa o procesie karnym. Wsparł pan jednak pozwanych w procesie cywilnym. Włączy się pan w każdy tego typu proces, gdy pozwani będą bliscy panu ideowo?

Zdarza mi się włączać w różne procesy cywilne. Na przykład na poziomie drugiej instancji włączyliśmy się w proces, który Karol Tendera wytoczył niemieckiej telewizji ZDF za użycie określenia „polskie obozy zagłady". I bardzo pomogliśmy w wygraniu tej sprawy.

FOT. DAREK GOLIK/WPROST/FORUM

eprasa.pl 464d4774fb

Przyglądamy się teraz także procesom cywilnym wytaczanym działaczom organizacji ekologicznych i być może do tych procesów przystąpimy.

Jak wyważyć wolność słowa i poprawność polityczną, której przestrzegania chce lewica?

Przede wszystkim powinniśmy egzekwować prawo, które już istnieje, a bywa z tym problem. Natomiast jestem zwolennikiem poszerzenia zakresu przestępstw dotyczących mowy nienawiści o orientację seksualną i tożsamość płciową. Przy czym chodzi o skrajne zachowania i wypowiedzi, takie jak „pedały do gazu", a nie naturalne niejako wątki debaty publicznej dotyczące np. dyskusji o małżeństwach homoseksualnych.

I wtedy niech ktoś powie w ramach debaty, że jego zdaniem homoseksualizm jest zboczeniem albo chorobą. Organizacje LGBT składałyby doniesienia na potęgę.

Możliwe. Mają takie samo prawo do ochrony swojej godności jak i inne grupy. Ponadto liczyłbym tutaj na wrażliwość i rozsądek prokuratury i sądów.

Śmiałe stwierdzenie, zwłaszcza że mamy kryzys wymiaru sprawiedliwości, prawda?

Można tak powiedzieć.

Sami sędziowie sobie na niego zapracowali – m.in. przez to, że skutecznie przekonali ludzi, iż nie ponoszą za swoje działania żadnej odpowiedzialności.

To mit. Sędziowie mają całkiem nieźle funkcjonujący system odpowiedzialności dyscyplinarnej, nawet na poziomie statystycznym działający zdecydowanie lepiej niż np. system odpowiedzialności dyscyplinarnej prokuratorów.

Jeśli nawet tak jest, to sędziowie nie zadbali o to, żeby odpowiednio informować o tym opinię publiczną.

To akurat prawda.

Jak podobały się panu słowa sędzi Kamińskiej o nadzwyczajnej kaście ludzi?

Mam wrażenie, że problemem był tu dobór słów. Pani sędzia nie miała nic złego na myśli, chciała tylko podkreślić, że aby osiągnąć status sędziego, trzeba wielu lat edukacji.

Dorobił pan do aroganckiej wypowiedzi niezłą teorię.

Do zawodu sędziego naprawdę dochodzi się latami: studia prawnicze, aplikacja, w starym systemie asesura i dopiero nominacja na sędziego.

Czy to dobrze, że sędziowie nie podlegają żadnej zewnętrznej ocenie?

To kolejny mit. Po pierwsze – istnieje nadzór instancyjny…

…czyli wewnętrzny nadzór w ramach korporacji.

To jest merytoryczny nadzór nad jakością rozstrzygnięć. Po drugie – jest nadzór sędziów wizytatorów.

Takich jak sędzia, która przeklejała ceny przewodników, żeby zaoszczędzić kilkanaście złotych. Ona była właśnie wizytatorem.

Nie wolno oceniać całej grupy zawodowej na podstawie jednostkowych zachowań. Dotyczy to sędziów, dziennikarzy i każdego innego środowiska. Wracając do mechanizmów kontroli – trzeci z nich to odpowiedzialność przed opinią publiczną.

Zachowajmy minimum powagi: kiedy sędziowie zareagowali na krytykę opinii publicznej inaczej niż w stylu sędzi Gersdorf, czyli oburzeniem i pogardą dla plebsu, który nic nie rozumie?

Są inicjatywy takie jak Fundacja Court Watch [w tygodniku „Do Rzeczy" publikowaliśmy rozmowę z prezesem Fundacji Court Watch Polska Bartoszem Pilitowskim – przyp. Ł.W.], która zajmuje się obserwacją rozpraw. Są media, których komentarze mają znaczenie. Organizacje pozarządowe zaledwie kilka lat temu doprowadziły do tego, że wszystkie wyroki są zawieszone w sieci. Presja na sędziów naprawdę przynosi rezultaty. Natomiast zgadzam się, że sędziowie robią zbyt mało, żeby istotę swojej pracy wyjaśnić społeczeństwu. Dlatego gdy jestem zapraszany na spotkania stowarzyszeń sędziowskich, tłumaczę wytrwale, że nie chodzi o to, aby teraz wyłącznie bronić „oblężonej twierdzy", lecz także wyjść do ludzi, opowiedzieć o swojej pracy, wyjaśnić obywatelom, dlaczego tak ważna dla ich bezpieczeństwa, praw i wolności jest niezawisłość sędziów i niezależność sądów. Jak to się przekłada na ich codzienne życie.

I jaka jest odpowiedź?

Mam wrażenie, że większość sędziów to rozumie. Pozostaje tylko problem, jak lepiej zorganizować to środowisko i zachęcić do aktywności, szczególnie teraz, kiedy istnieje nacisk na ograniczenie niezależności sądów.

Jak się panu podobało zachowanie prawników podczas ich kongresu, gdy wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł przypomniał, że środowisko nigdy nie oczyściło się po komunizmie? Część obecnych demonstracyjnie wyszła.

Minister Warchoł – który zresztą jest wciąż pracownikiem Biura Rzecznika Praw Obywatelskich, obecnie na urlopie bezpłatnym – powinien wiedzieć, że ma przed sobą głównie ludzi, którzy z przełomem 1989 r. mają pokoleniowo niewiele wspólnego. Zdobyli swoje sędziowskie szlify w późniejszych latach. Jestem więc w stanie zrozumieć ich irytację, gdy usłyszeli od swojego rówieśnika, że należą do grupy, która powinna się rozliczyć. Ja w każdym razie byłem na sali cały czas, widocznie mam większą tolerancję na niezręczne wypowiedzi.

Kto z dotychczasowych rzeczników praw obywatelskich jest pańskim wzorem?

Do każdego z dotychczasowych rzeczników odnoszę się z najwyższym szacunkiem. Uważam, że ten urząd miał wyjątkowe szczęście do ludzi mądrych, kompetentnych i odważnych. Począwszy od prof. Ewy Łętowskiej.

Pamięta pan, że powołał ją na to stanowisko gen. Jaruzelski i miała być dla późnego PRL listkiem figowym?

Jednak to ona faktycznie stworzyła ten urząd i zbudowała jego autorytet. Miała dwie wspaniałe zdolności: tłumaczenie ludziom prostym językiem skomplikowanych problemów prawnych oraz umiejętność poszukiwania rozwiązań prawnych dla skomplikowanych zagadnień.

To bardzo piękne, ale prof. Łętowska była rzecznikiem w czasie, gdy jeszcze skrycie mordowano ludzi, tak jak księży Niedzielaka czy Suchowolca. Co zrobiła, żeby wyjaśnić te sprawy? Nic.

Wiązanie z tą sprawą świeżo powołanego wówczas rzecznika praw obywatelskich jest chyba grubym nadużyciem. Jak pan wie, tych zbrodni nie wyjaśniono do dziś, mimo wysiłków podejmowanych przez wiele instytucji państwa w różnych okresach politycznych po 1989 r. Nie traćmy jednak nadziei, dopóki pamiętamy o bohaterach i ofiarach tamtego czasu, dopóty jest szansa na poznanie prawdy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Dyskusja na temat wolności prasy w Polsce z udziałem autorki raportu Freedom House – Annabelle Chapman (trzecia od lewej) FOT. GALLO IMAGES/GETTY IMAGES

Kłamstwo medialne

Kamila Baranowska

Trudno poważnie traktować raporty organizacji pozarządowych alarmujących, że w Polsce trwa zamach na media, bo więcej w nich publicystyki niż faktów. Zagraniczni dziennikarze biorą je jednak na serio

Media znów obiegła informacja o kolejnym „druzgocącym dla Polski" raporcie na temat stanu wolności słowa. Opublikowała go amerykańska organizacja pozarządowa Freedom House, która zajmuje się walką o prawa człowieka, wolność i demokrację. Autorką jest Annabelle Chapman, amerykańska korespondentka w Warszawie, pisząca m.in. dla „The Economist".

O tym, jaka będzie wymowa całości, dowiadujemy się już we wstępie pochodzącym od zlecającego raport Freedom House. „Zgodnie z opisem Annabelle Chapman na stronach tego raportu Polska w ostatnim czasie stała się istotnym polem bitwy liderów o skłonnościach autorytarnych, którzy chcą uzyskać kontrolę nad dyskursem politycznym oraz zniszczyć pluralizm mediów – czytamy. – W przeciwieństwie do krajów, w których reżimy autorytarne okrzepły, obecni liderzy Polski nie zdołali przekształcić krajobrazu medialnego oraz uzyskać kontroli nad przekazem swoich działań. Kilka lat zajęło Hugonowi Chávezowi, Viktorowi Orbánowi czy Recepowi Tayyipowi Erdoğanowi zniszczenie niezależności mediów w Wenezueli, na Węgrzech i w Turcji. Tym samym jest jeszcze czas, by Polska zmieniła kierunek, w którym zmierza".

PRZYKŁADY BEZ KONTEKSTU

Na czym polega niszczenie pluralizmu mediów w Polsce? Przykłady podawane w raporcie to te same, które od wielu miesięcy wałkują polska opozycja i media otwarcie niechętne rządowi. Opisywane wydarzenia i decyzje są w nich całkowicie pozbawione kontekstu, który w większości przypadków zaburzałby dobrze brzmiącą tezę o rzekomym upadku wolności słowa i zagrożeniu demokracji.

Z analizy dowiadujemy się, że wkrótce po wygranych wyborach PiS dokonał przejęcia mediów publicznych za pomocą tzw. małej ustawy medialnej i mianował własnych prezesów radia i telewizji. Autorka przyznaje nawet, że w poprzednich latach partie rządzące robiły podobnie, jednak zaraz zastrzega: „Te zmiany idą o wiele dalej niż w przypadku poprzednich rządów, które próbowały sobie zapewnić przychylność mediów publicznych". Niestety, nie rozwija, w czym owe zmiany idą dalej. A nie rozwija, bo to teza nieprawdziwa. Przejmując media publiczne, PiS nie zrobił niczego nadzwyczajnego, czego wcześniej nie robiły partie wygrywające wybory. Można się na to oburzyć, można wskazać słabość polskiego prawa w tym zakresie, wytknąć brak woli politycznej kolejnych ekip. Tylko że raport cały ten kontekst pomija. Czytelnik się nie dowie, że każda większość parlamentarna dokonywała zmian w ustawie medialnej, by wstawić własnych ludzi do TVP i Polskiego Radia. Nie dowie się też, że nie tylko obecny prezes TVP jest politykiem, bo z nadania Platformy także zarządzali nią politycy, którzy wcześniej byli na stanowiskach w rządzie (prezes Juliusz Braun i wiceprezes Marian Zalewski). Autorka raportu wspomina za to, że KRRiT nie tylko dzisiaj jest upolityczniona. Jako dowód podaje fakt, że wcześniej, w 2005 r., upolitycznił ją PiS i próbowała to zrobić Platforma w 2008 r., ale nieskutecznie, bo została zablokowana przez ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Ani słowa o tym, co działo się w KRRiT i mediach publicznych przed rokiem 2005, za czasów choćby SLD (a byłoby o czym pisać!) i ani słowa o tym, że w 2010 r., tuż po katastrofie smoleńskiej, jedną z pierwszych decyzji Bronisława Komorowskiego (jeszcze jako p.o. prezydent) była wymiana członków Krajowej Rady. Skuteczna.

Trudno posądzać autorkę raportu o brak wiedzy. Annabelle Chapman, przygotowując raport, spotkała się m.in. z Wiktorem Świetlikiem, szefem Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. – Jesienią 2016 r. rozmawialiśmy jakieś dwie godziny – mówi „Do Rzeczy" Świetlik, obecnie dyrektor radiowej Trójki. – Wiedziałem, że pisze raport dla Freedom House i dużo jej opowiadałem o kontekście i specyfice funkcjonowania mediów publicznych, a także o rynku medialnym w Polsce. Mówiłem o upolitycznieniu mediów publicznych jako permanentnym problemie, z którym się zmagamy od lat. Opowiadałem, jak poprzednie władze traktowały media prywatne, np. o akcji ABW w tygodniku „Wprost" czy podsłuchiwaniu dziennikarzy. Niestety, widzę, że nic z tego, o czym rozmawialiśmy, nie znalazło się w raporcie. Ze smutkiem stwierdzam, że po prostu nie pasowało do tezy, która z góry została przyjęta – dodaje Świetlik.

A teza miała się sprowadzać m.in. do stwierdzeń takich jak to, że „próby przejęcia mediów są ze strony PiS częścią

eprasa.pl 464d4774fb

szerszego planu osłabiania mechanizmów kontrolnych, które są gwarancją demokracji w Polsce".

Jako przykład na osłabianie mechanizmów kontrolnych wymienia się w raporcie np. to, że szef PiS Jarosław Kaczyński nie chce udzielać wywiadów „Newsweekowi", „Polityce" ani „Gazecie Wyborczej" i udziela ich wyłącznie konserwatywnym tygodnikom. Jednak rozmowy z Kaczyńskim ukazują się także w „Rzeczpospolitej" i Onecie. W raporcie nie ma też informacji, komu wywiadów udzielał Donald Tusk, a komu takich rozmów odmawiał. Zwłaszcza że sporo miejsca raport poświęca wątkowi głębokich podziałów politycznych, które przekładają się także na podziały w mediach. A już całkiem kuriozalnie brzmi zarzut, że „niewielka Telewizja Trwam ma dostęp do rozmów z ważnymi politykami PiS, co pozwala im docierać do swoich zwolenników, w tym także tych starszych, mieszkających poza dużymi miastami". Jasne, przecież politycy nie powinni chcieć ani móc docierać do swojego elektoratu wszelkimi dostępnymi kanałami.

TE PIENIĄDZE...

Dowodem na to, w jak kiepskiej kondycji jest dziś w Polsce wolność słowa, ma być dystrybucja reklam spółek Skarbu Państwa. „Odkąd PiS objął władzę, nastąpiło przesunięcie, jeśli chodzi o kupowanie reklam i ogłoszeń w kierunku mediów prawicowych, a najbardziej jest to widoczne w tygodnikach" – czytamy w raporcie. Podobnie jest w przypadku telewizji, ale „szczególnie dramatyczną sytuację ma »Gazeta Wyborcza«". Chapman dodaje, że co prawda to część dłuższego i większego procesu, ale za chwilę wrzuca informację, że „GW" musiała zwolnić aż 190 osób, w tym nawet korespondenta w Brukseli. Powołuje się przy tym na słowa Jarosława Kurskiego, że nawet jeśli PiS nie będzie cenzurował dziennika, to zechce go „wykończyć ekonomicznie". I znów zabrakło w tym wszystkim refleksji, że skoro obecny rząd przekierowuje strumień pieniędzy na tytuły konserwatywne, to znaczy, że do tej pory lał się on wyłącznie w stronę tytułów liberalnych. Wówczas jednak nikt się nie oburzał. Nie było raportów piętnujących rząd Tuska za tę nierównowagę, nikt nie protestował, że Platforma chce w ten sposób „wykończyć ekonomicznie" konserwatywne media.

To nie koniec. PiS chce „wykończyć" prywatne media także innymi sposobami. „Są sygnały, że rząd próbuje ograniczyć dystrybucję krytycznych tytułów". Jakie to sygnały? Czytelnicy tych tytułów mają donosić, że trudno jest je znaleźć na stacjach Orlen. Źródłem tej informacji – czego dowiadujemy się z przypisów – jest komentarz Tomasza Lisa, szefa „Newsweeka" dla portalu Wirtualnemedia. Komentarz! Nie fakty!

Nie mogło oczywiście zabraknąć wątku repolonizacji. Ta oczywiście jest zła i stanowi zagrożenie dla wolności mediów. Na próżno w raporcie szukać wzmianki o tym, że przepisy antykoncentracyjne obowiązują w większości krajów europejskich i Polska jest na ich tle wyjątkiem. Trudno też powiedzieć, na jakiej podstawie autorka raportu dochodzi do wniosku, że przepisy antykoncentracyjne najmocniej uderzą w wydawcę „Gazety Wyborczej", polską spółkę Agora, skoro mają one dotyczyć głównie obecności kapitału zagranicznego.

Do tego dochodzi jeszcze autocenzura dziennikarzy i to nie tylko tych pracujących w mediach publicznych, którzy boją się utraty pracy, lecz także tych z mediów prywatnych. „Efektem konfliktu rządu z krytycznymi mediami jest fakt, że autocenzura wzrosła również między dziennikarzami, pracującymi w mediach prywatnych, sprzyjających opozycji" – pisze Chapman. O tak, autocenzurę dziennikarzy mediów prywatnych widać jak na dłoni za każdym razem, gdy otworzy się „Gazetę Wyborczą" czy „Newsweek". O portalach internetowych nie wspominając.

ZAGRANICZNE WRAŻENIA

Raport Freedom House nie różni się zbytnio od dotychczas publikowanych raportów, analiz, listów otwartych, w których ostrzegano, jak bardzo zagrożona jest w Polsce wolność słowa. A było ich całkiem sporo – publikowali je m.in. Reporterzy bez Granic i Stowarzyszenie Dziennikarzy Europejskich. Ostatnio głośno było o raporcie przygotowanym przez Reuters Institute for The Study of Journalism „Digital News Report". Była w nim jak zwykle mowa o podporządkowaniu mediów publicznych rządowi, ale nowością było nazwanie programów informacyjnych państwowych stacji „fabrykami fake newsów" i teza, że najpopularniejszym źródłem informacji jest dla Polaków TVN. Autorem raportu był Grzegorz Piechota, były wieloletni dziennikarz „Gazety Wyborczej".

Można odnieść wrażenie, że w Polsce opinia publiczna zdążyła się na takie alarmistyczne raporty uodpornić, przyjmując, że są wygodnym instrumentem w bieżącej walce politycznej. Jednak dla zachodnich mediów i dziennikarzy, którzy niewiele wiedzą o Polsce, wszelkie tego typu analizy, firmowane marką, bądź co bądź, poważnych organizacji, stanowią ważne źródło wiedzy. „Czy tak wiele instytucji może się mylić?" – pytają zagraniczni dziennikarze. I trudno im wytłumaczyć, że może.

Potwierdza to Antoni Pawluszek, który od 2013 r. kieruje amsterdamskim biurem Polskiej Organizacji Turystycznej i na co dzień spotyka się z tamtejszymi dziennikarzami. – W Holandii wiedza o sytuacji mediów w Polsce jest bardzo powierzchowna i w dużej mierze bazuje na dość histerycznym przekazie opozycji. Raporty takie jak ten liberalnego Freedom House stanowią tylko potwierdzenie tezy o tym, że wolność mediów w Polsce jest zagrożona – przyznaje. – To, co mnie zaskoczyło, to przede wszystkim bardzo niski poziom wiedzy dziennikarzy piszących o Polsce. Z tekstów czołowych dzienników wynika, że zło w polskich mediach rozpoczęło się wraz z dojściem do władzy formacji Jarosława Kaczyńskiego. Holenderscy dziennikarze są absolutnie przekonani, że podczas rządów PO media publiczne były niezależne i całkowicie odseparowane od władzy.

Jak temu przeciwdziałać? Pawluszek uważa, że należy prostować wszystkie przekłamania i pokazywać kontekst wydarzeń, ale także dyskutować z zagranicznymi mediami, nawet wiedząc, że nie zawsze przyniesie to skutek (jak w przypadku raportu Freedom House). – Musimy uwolnić się od przeświadczenia, że zachodnioeuropejskie media są do nas wrogo nastawione i nic nie można z tym zrobić – wskazuje. – Bardzo często zachodni dziennikarze nie mają złej woli, tylko po prostu przyjmują narrację upowszechnianą przez korespondentów mieszkających w Warszawie, którzy często nie wychodzą poza towarzyski krąg dziennikarzy o poglądach zbliżonych do swoich. Gdy obserwuję ich aktywność na Twitterze, zaskakuje mnie, jak mało polskich dziennikarzy z nimi polemizuje.

Pawluszek dziwi się też bierności SDP. – Dlaczego nie prowadzi strony internetowej w języku angielskim, gdzie można byłoby np. opublikować merytoryczną polemikę z kuriozalnym raportem Freedom House? – pyta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

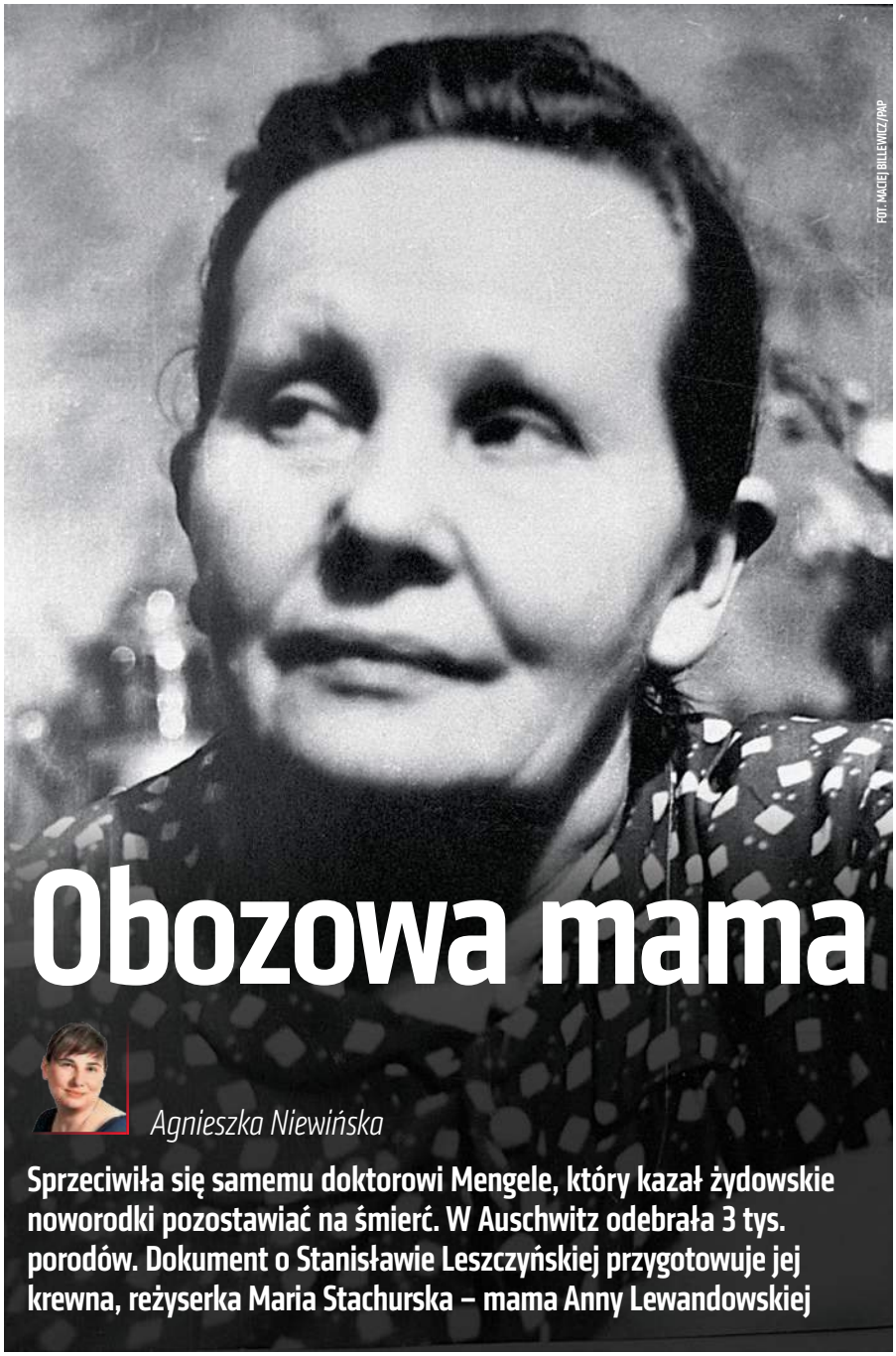

FOT. MACIEJ BILLEWICZ/PAP

Obozowa mama

Agnieszka Niewińska

Sprzeciwiła się samemu doktorowi Mengele, który kazał żydowskie noworodki pozostawiać na śmierć. W Auschwitz odebrała 3 tys. porodów. Dokument o Stanisławie Leszczyńskiej przygotowuje jej krewna, reżyserka Maria Stachurska – mama Anny Lewandowskiej

Stanisława Leszczyńska w gronie współpracownic FOT. ARCHIDIECEZJA ŁÓDZKA

Jako dorastająca nastolatka zapamiętałam ją jako surową, wymagającą. Nawet trochę się jej bałam, ale kiedy byłam małą dziewczynką, widziałam ją jako osobę ciepłą, dobrotliwą, z delikatnym zaledwie uśmieszkiem. Nie była kimś, kto śmieje się do rozpuku. Dzisiaj, gdy po latach coraz więcej wiem o jej przeżyciach wojennych, mam świadomość, że nie mogła być inna. Człowiek, który przechodzi takie piekło, jakie ona przeszła, zmienia się na zawsze. Gdyby była roześmianą, wesołą, rozkoszną babcią, byłoby to nieprawdziwe – tak swoją krewną Stanisławę Leszczyńską, położną, która w obozie Auschwitz-Birkenau w skrajnie trudnych warunkach przyjęła 3 tys. porodów, nie tracąc żadnego dziecka ani żadnej matki, wspomina Maria Stachurska, reżyserka filmu „Położna".

Często bywała w domu Stanisławy Leszczyńskiej, bo dużo czasu spędzała ze swoimi kuzynkami, wnuczkami Leszczyńskiej. – One były trzy, a ja byłam taką czwartą siostrzyczką – opowiada „Do Rzeczy" Stachurska. I dodaje, że w rodzinie o przeżyciach wojennych babci Leszczyńskiej się nie rozmawiało. – Oczywiście wiadomo było, że przeszła obóz, że odbierała porody. Na potrzeby izby lekarskiej napisała przecież „Raport położnej z Oświęcimia", na którego kanwie powstało „Oratorium oświęcimskie". Jednak nie było rozmów o wojnie, wspominania tamtego czasu. Gdy po latach rozmawiałam z kuzynem, najstarszym wnukiem Stanisławy, on przyznał, że zapamiętał tylko jedną sytuację. W święta babcia poprosiła, by zagrał na fortepianie kolędę. Wybrał „Cichą noc". Babcia zamilkła i poprosiła, by zaintonował inną. „Babciu, źle zagrałem? Nie podoba Ci się?" – dopytywał. „Nie, tylko to śpiewali Niemcy podczas wojny" – odpowiedziała.

LUDZKI OBOWIĄZEK

Stanisława Leszczyńska urodziła się w Łodzi w 1896 r., wychowywała się na łódzkich Bałutach. W 1908 r. w poszukiwaniu lepszego życia z rodzicami wyemigrowali do Brazylii, ale po dwóch latach wrócili do kraju. – Nie dlatego, że coś im tam nie wyszło. Wrócili, bo nie mogli sobie poradzić z rozłąką z ojczyzną, bardzo tęsknili za Polską – mówi Stachurska.

Po wybuchu I wojny światowej Stanisława pracowała w Komitecie Niesienia Pomocy Biednym, w niepodległej Polsce – już jako żona Bronisława Leszczyńskiego – ukończyła warszawską szkołę położniczą

eprasa.pl 464d4774fb

przy ul. Karowej i zaczęła przyjmować porody. Sama doczekała się czworga dzieci. Wojna zastała Leszczyńskich w Łodzi i tak jak przed jej wybuchem Stanisława stale biegała do porodów. Odbierała je w rodzinach polskich, żydowskich, a także niemieckich. Leszczyńscy byli zaangażowani w konspirację, w pomoc gettu. Mąż Leszczyńskiej, z zawodu zecer, drukował fałszywe dokumenty, rodzina dostarczała także żywność i leki wegetującym w getcie. Bronisław z synami należeli do Narodowych Sił Zbrojnych. W lutym 1943 r. do ich mieszkania wkroczyło gestapo. Stanisława z córką Sylwią trafiły do Auschwitz, synowie do Mauthausen-Gusen. W czasie aresztowania zdążyła zabrać dokument poświadczający uprawnienia położnej. Jako więzień Auschwitz przez dwa lata przyjmowała porody, choć praca za obozowymi drutami nie przypominała tej, do której przywykła.

Do 1943 r. kobiety, które znalazły się w obozie i były w ciąży, uznawano za zbędne, niezdolne do pracy. Zabijano je w komorze gazowej lub zastrzykiem fenolu w serce. Jeśli jakiemuś dziecku udało się przyjść na świat, to spotykał je taki sam los. W pierwszej połowie 1943 r. zaprzestano zabijania kobiet w ciąży, bo Niemcom brakowało rąk do pracy. W dalszym ciągu zabijano jednak noworodki.

Kiedy w maju 1943 r. do odbierania porodów dopuszczono Leszczyńską, Niemcy nie nakazywali już zabijania noworodków poza tymi pochodzenia żydowskiego. „Położna Stanisława Leszczyńska z Łodzi otrzymała polecenie, aby dzieciom żydowskim nie odcinała pępowiny i razem z łożyskiem wyrzucała je do kubła. Powiedziała nam jednak, że jest katoliczką i nie będzie mordowała dzieci, że wykona to, co jest jej ludzkim obowiązkiem" – relacjonowała współwięźniarka Maria Slisz-Oyrzyńska. Leszczyńska przeciwstawiła się w tej sprawie samemu doktorowi Mengele, choć wiedziała, że może ją spotkać śmierć. – Mengele, strasznie wzburzony, powtarzał: „Rozkaz jest rozkazem", ale nie zdecydował się na nic więcej – opowiadał kilkanaście lat temu tygodnikowi „Niedziela" nieżyjący już syn Leszczyńskiej, Bronisław. – Mama opowiadała często: „Odwracał wówczas swoją twarz, bał spojrzeć się w moje oczy. Słuchał moich słów w obronie życia, które przysięgał jako lekarz w przysiędze Hipokratesa: »Zawsze bronić i nigdy nie zabijać«".

Stanisława noworodki żydowskie przyjmowała na świat jak wszystkie inne. Odcinała pępowinę i kładła maleństwo obok matki. Żydówkom zabraniano karmienia dzieci, więc umierały śmiercią głodową. Gdy była taka możliwość, Leszczyńska starała się je ocalić. – Zdarzało się, że dziecko urodzone przez matkę, która nie była Żydówką, umierało z głodu czy wycieńczenia. Wówczas takiej matce oddawała pod opiekę dziecko żydowskie, tak aby Niemcy się nie zorientowali. Możliwe, że właśnie w ten sposób niektóre z tych dzieci zostały ocalone – opowiada Stachurska. – Z opowieści wuja Bronisława, a także relacji współwięźniarki wynika, że opracowała też system znaczenia dzieci, które Niemcy wybrali do wynarodowienia, a także noworodków żydowskich. Znaczyła je nierzucającym się w oczy tatuażem. Pokazywała je matkom, tak by w przyszłości miały one możliwość odnalezienia własnych dzieci – dodaje.

PORÓD NA ZGLISZCZACH

Nie tylko bestialstwo esesmanów i nieludzkie eksperymenty medyczne były zagrożeniem dla nowo narodzonych. W obozie nie było warunków do tego,

REKLAMA

CHRIS BOTTI
KONCERTY
5 września 2017
Hala Torwar Warszawa
6 września 2017
Hala Stulecia Wrocław
7 września 2017
Arena Azoty Szczecin
BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

Prestige MJM
REGENT WARSAW HOTEL
RADIO WROCŁAW
ram
wprost
DO RZECZY
GAZETA BANKOWA
T3
Multikino
WP
cgm.pl
DlaWas.info
jazz Soul.pl
GOLD HITS
STRÖER
VIXON
empik

eprasa.pl 464d4774fb

żeby przyjmować maleństwa na świat. Kobiety były wycieńczone z powodu głodu i pracy ponad siły. Położne nie miały wody, środków opatrunkowych, pościeli, miejsca dla rodzących, żywności, pieluszek, w które można by owinąć noworodka. „W tych warunkach dola położnic była opłakana, a rola położnej niezwykle trudna – pisała Leszczyńska w sporządzonym po wojnie raporcie. – Wzdłuż baraku ciągnął się piec w kształcie kanału, zbudowany z cegieł, z paleniskiem na krańcach. Służył on jako jedyne miejsce odbywania porodów […]. Trzydzieści koi wydzielonych najbliżej pieca stanowiło tzw. sztubę położniczą. W bloku panowały ogólnie: zakażenia, smród i pełno było wszelkiego rodzaju robactwa. Roiło się od szczurów, które odgryzały nosy, uszy, palce czy pięty opadłym z sił i niemogącym się poruszać ciężko chorym kobietom".

NIEODKRYTA BOHATERKA

Leszczyńska modliła się, biegnąc do każdego porodu. Każdy rozpoczynała, czyniąc znak krzyża. – Dom, w którym się wychowała, był bardzo religijny. Małą Stasię często można było znaleźć przed obrazem Matki Bożej w kościele przy ul. Zgierskiej w Łodzi. Miała szczególne nabożeństwo do Maryi. Wzywana do rodzącej modliła się słowami: „Maryjo, choćby w jednym pantofelku, spiesz z pomocą, przybywaj". A wzięło się to stąd, że sama wzywana w nocy do porodu po ciemku szukała butów. Po wojnie mówiła, że dzięki Maryi wszystkie jej dzieci wróciły do domu po wojnie, bo ona nigdy nie straciła żadnego dziecka – opowiada Stachurska. I dodaje: – W obozie chrzciła wszystkie nowo narodzone dzieci i tego uczyła inne kobiety, które pomagały jej przy porodach.

„Byłe więźniarki z personelu lekarsko-pielęgniarskiego, zatrudnione w tym samym co ona baraku, zgodnie stwierdzają, iż nie miała ona ani jednego przypadku krwotoku czy zakażenia połogowego" – pisze Helena Kubicka w publikacji „Kobiety ciężarne i dzieci urodzone w KL Auschwitz". „Nie było na sztubie położniczej przypadku śmiertelnego ani wśród rodzących kobiet, ani wśród noworodków. Leszczyńska była niezwykle pracowita, spokojna, życzliwa, serdeczna i chętna do niesienia pomocy, przy tym głęboko wierząca i skromna. Była opanowana w każdej sytuacji. Rodzące kobiety bezgranicznie jej ufały i czuły się pod jej opieką bezpieczne. Nazywały ją swoją »mamą« obozową".

Z rodzącymi w Auschwitz została do końca. Bronisław Leszczyński opowiedział o ostatnim porodzie. – 25 stycznia 1945 r. Niemcy zaczęli podpalać niektóre bloki, m.in. ten, w którym odbierała poród – opisywał. – Od płonących desek musiała stale odsuwać rodzącą. W końcu chwyciła koc, owinęła w niego noworodka razem z matką i wyniosła na śnieg – dodał.

W przyjęciu tego porodu pomagała Leszczyńskiej córka Sylwia, okrutnie doświadczona w Auschwitz przeżyła eksperymenty medyczne, jakie wykonywał na niej Mengele i których poważne konsekwencje odczuwała do końca życia. Leszczyńska nie ubolewała jednak nad losem. Syn Bronisław wspominał dziennikarza, który w rozmowie z Leszczyńską współczuł jej tego, że znalazła się w Auschwitz. – Proszę mi nie współczuć, bo ja

Maria Stachurska, reżyserka filmu „Położna", z córką Anną Lewandowską FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

codziennie Bogu dziękuję, że mogłam być w Oświęcimiu – odpowiedziała.

Po wojnie Stanisława Leszczyńska wróciła do Łodzi i w dalszym ciągu wykonywała zawód położnej. Zmarła w 1974 r. w opinii świętości. Jej pogrzeb zgromadził tłumy. Przyszły także dzieci, przy których narodzinach w Auschwitz była Stanisława.

W 1992 r. rozpoczął się proces beatyfikacyjny Stanisławy Leszczyńskiej. Zakończyła się jego część informacyjna, a Leszczyńska nosi miano Sługi Bożej.

Imię Stanisławy Leszczyńskiej noszą szkoły położnicze, nadano je także kilku ulicom. Jej wizerunek znalazł się na Kielichu Życia i Przemiany Narodu, który w 1982 r. pielęgniarki złożyły na Jasnej Górze jako wotum. I choć stale rośnie zainteresowanie dziejami najnowszymi, to historia Stanisławy Leszczyńskiej wciąż znana jest niewielu. – Sama się zastanawiam, dlaczego do tej pory nie mogła się przebić – przyznaje Stachurska. – Myślę jednak, że właśnie teraz jest ten moment. W dzisiejszych czasach warto pokazać osobę, która broniła życia, nawet w sytuacji beznadziejnej – dodaje.

Po śmierci najstarszego syna Stanisławy Leszczyńskiej Maria Stachurska dostała jego notatki, wspomnienia. – Bliskie mi osoby uznały, że moim obowiązkiem jest zrobienie rzetelnego filmu. Zaczęłam więc jeździć po Polsce, zbierać świadectwa, kontaktować się z kobietami, które rodziły dzieci w Birkenau. Wszystko robiłam na własną rękę, aż w końcu namówiono mnie, bym złożyła wniosek do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Ku mojej radości scenariusz został przyjęty – opowiada reżyserka. Dokument współfinansowany jest przez PISF i powstaje w koprodukcji z TVP1, Narodowym Centrum Kultury, EC1 Łódź – Miasto Kultury. Głównym producentem jest SQUARE Film Studio.

Sprawą filmu zaczęły się interesować media, bo krewna Leszczyńskiej – Maria Stachurska – jest mamą Anny Lewandowskiej, sportsmenki i trenerki fitness. I choć Anna Lewandowska nie mogła poznać zmarłej w 1974 r. Stanisławy Leszczyńskiej, to wydaje się, że ma podobną pasję. – Kiedy patrzę na to, jak Ania zaangażowała się w porady kobietom w ciąży, mam wrażenie, że to właśnie łączy ją z ciocią Stasią – mówi Stachurska. Kiedy o jej filmie zaczęły pisać kolorowe magazyny i plotkarskie portale, zgodziła się udzielić wywiadu „Gościowi Niedzielnemu". – Przyniósł on bardzo dobre owoce. W tej chwili zgłaszają się do mnie ze swoimi świadectwami ludzie, którzy modlili się przez wstawiennictwo Stanisławy Leszczyńskiej. Taką osobą jest pani doktor z Poznania, która była świadkiem narodzin zdrowych dzieci w sytuacji, kiedy z medycznego punktu widzenia one nie miały szansy się urodzić zdrowe – mówi.

Premiera filmu „Położna" odbędzie się najprawdopodobniej w marcu 2018 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przy przygotowaniu artykułu korzystałam ze świadectw zamieszczonych w publikacji autorstwa Heleny Kubicy „Kobiety ciężarne i dzieci urodzone w KL Auschwitz" wydanej przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau.

eprasa.pl 464d4774fb

PRAWDZIWA HISTORIA

KULISY WIELKIEGO BIZNESU W POLSCE

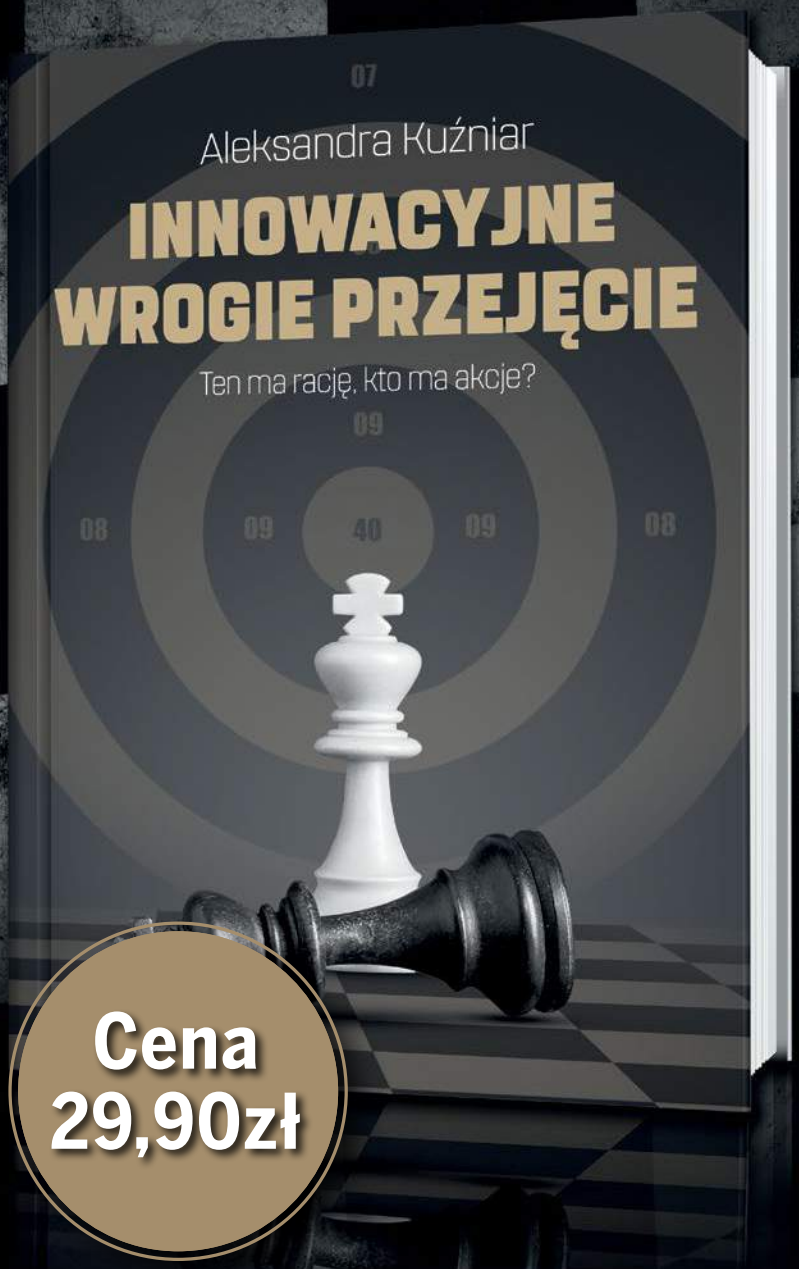

Cena 29,90zł

ZACZYNA SIĘ ZAZWYCZAJ OD PLOTKI...

Wrogie przejęcia to na Zachodzie często stosowany sposób na skokowy rozwój firmy lub dobranie się do majątku rywala...

W Polsce w ostatnich latach liczba takich operacji zaczęła szybko rosnąć. Czy w naszym kraju zdarzają się historie godne Gordona Gekko, bohatera filmu „Wall Street" ? Zdarzają się, a niektóre próby przejęcia spółek są gotowym scenariuszem na dobry film, który z chęcią obejrzy nie tylko świat finansjery...

ZAMÓW TERAZ: WWW.INNOWACYJNEWROGIEPRZEJECIE.PL

20 lat minęło...

Dwie dekady obecności na Giełdzie Papierów Wartościowych zmieniły polskie przedsiębiorstwo górnicze w nowoczesny i zarazem odpowiedzialny koncern o globalnym zasięgu

Pierwszym krokiem miedziowej spółki w drodze na warszawski parkiet było przekształcenie przedsiębiorstwa państwowego – Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi – w jednoosobową spółkę Skarbu Państwa o nowoczesnej nazwie KGHM Polska Miedź SA. Jak każdy podmiot pretendujący do miana spółki giełdowej KGHM musiał spełnić liczne warunki dopuszczenia akcji do obrotu, w tym m.in. przygotowanie i publikację profesjonalnych sprawozdań finansowych z trzech lat obrotowych poprzedzających debiut. Ten odbył się 10 lipca 1997 r. Do obrotu publicznego trafiło 65,7 mln akcji, czyli nieco ponad 30 proc. walorów spółki. 30 mln akcji (15 proc.) trafiło w ręce pracowników firmy. Akcje pracownikom firma przekazała bezpłatnie. Inwestorzy indywidualni mogli je zakupić w cenie 19 zł za sztukę, a inwestorzy instytucjonalni po 21 zł za akcję. Każdy, kto wówczas zainwestował w walory miedziowej spółki, szybko na tym zyskał. W dniu debiutu kurs akcji sięgnął 23,5 zł. Inwestorzy indywidualni od razu zyskali prawie jedną czwartą względem ceny nabycia. W szczytowym momencie akcje KGHM kosztowały ponad 150 zł za sztukę. W ciągu 20 lat obecności na warszawskim parkiecie wartość miedziowego koncernu (kapitalizacja spółki) zwiększyła się kilkukrotnie, jednocześnie spółka konsekwentnie dzieliła się zyskami ze swoimi akcjonariuszami.

Prezes KGHM Polska Miedź Radosław Domagalski-Łabędzki nie ma wątpliwości, że dwie dekady obecności na GPW potwierdzają i umacniają stabilną pozycję spółki. – Jesteśmy jedną z największych spółek giełdowych. Jesteśmy strategicznym podmiotem na gospodarczej mapie Polski oraz liczącym się w świecie producentem miedzi i srebra. GPW stawia swoim emitentom wysokie wymagania dotyczące standardów zarządzania. Staramy się im sprostać i je doskonalić, a niektóre wprowadzaliśmy, zanim stały się obligatoryjne. Przykładów nie brakuje, dość wymienić zasady społecznej odpowiedzialność biznesu, które w KGHM były realizowane na długo, nim stały się one wymogiem – podkreślił prezes miedziowego giganta.

RESPECT DLA OTOCZENIA

Nie dziwi zatem, że spółka miedziowa nie poprzestała jedynie na głównym parkiecie. Od 2009 r. jest uczestnikiem RESPECT Index, który obejmuje swoim portfelem spółki z warszawskiego parkietu działające zgodnie z najwyższymi standardami społecznej odpowiedzialności biznesu. Debiut na indeksie RESPECT jest efektem wieloletniej strategii spółki. – Od lat zajmujemy czołowe miejsce w ramach prestiżowego RESPECT Index, pierwszego w Europie Środkowo-

eprasa.pl 464d4774fb

KGHM Polska Miedź SA jest jednym z największych płatników podatków w Polsce. Tylko w 2016 r. spółka odprowadziła ok. 750 mln zł podatku CIT oraz blisko 1,5 mld zł podatku od wydobycia kopalin. W sumie w minionym roku miedziowy koncern tytułem podatków oraz różnych opłat wypłacił 3,7 mld zł. Oprócz obligatoryjnych danin spółka wypłaciła 40 mln zł na wsparcie szczytnych akcji, sponsoring etc. Na wysokość tej kwoty duży wpływ ma odpowiedzialna społecznie polityka prowadzona przez spółkę.

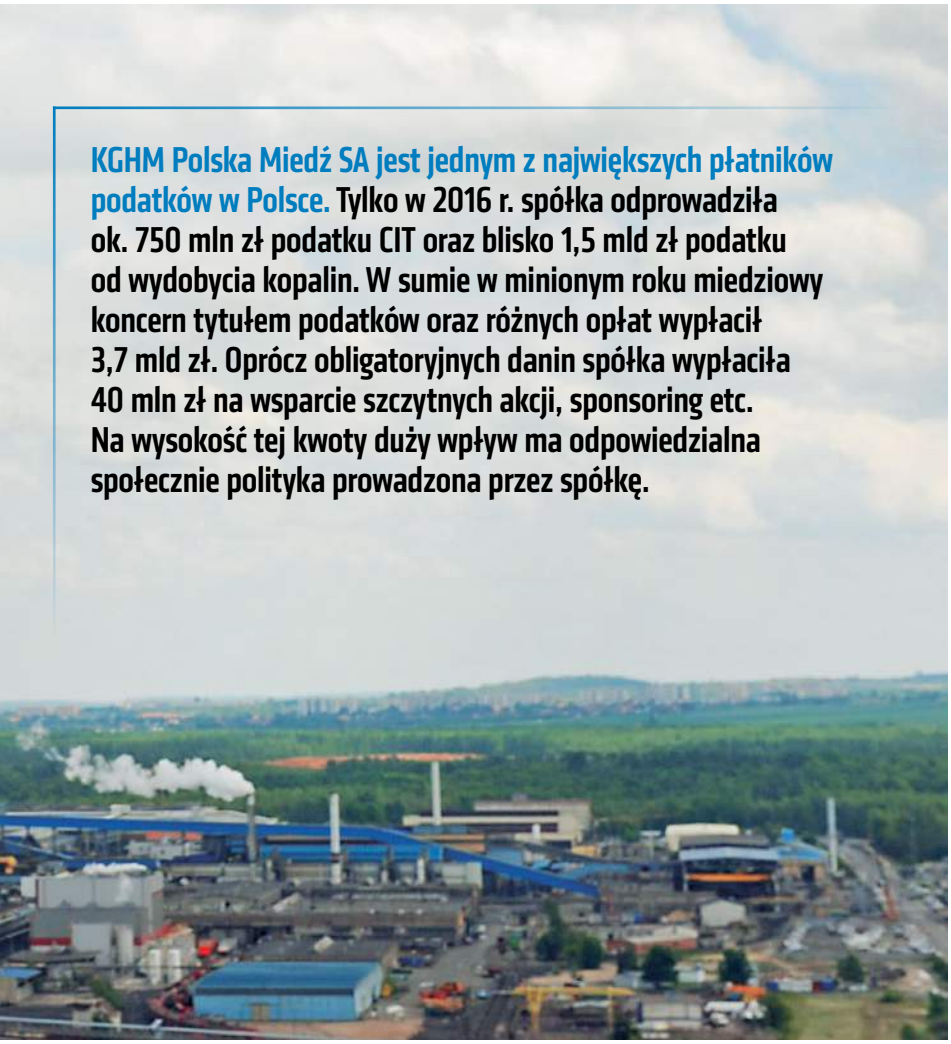

FOT. ARCHIWUM KGHM

-Wschodniej indeksu spółek społecznie odpowiedzialnych – dodaje prezes Domagalski-Łabędzki. – Ta ciągła obecność jest efektem świadomych i odpowiedzialnych działań spółki na rzecz środowiska, ładu korporacyjnego, relacji społecznych oraz pracowniczych. Obecność na RESPECT Index to zaszczyt i prestiż. Czujemy dumę z osiągnięć, a także odpowiedzialność za dalszy ambitny i rozważny rozwój Grupy Kapitałowej KGHM Polska Miedź SA. Oby nasze notowania na GPW w następnych dziesięcioleciach ten rozwój potwierdziły – skwitował prezes Domagalski-Łabędzki.

Trzeba podkreślić, że poprzeczka dla odpowiedzialności w branży wydobywczej zawieszona jest bardzo wysoko. Wyśrubowane normy środowiskowe krajowe i unijne wiążą się z tym, że budowa każdego zakładu górniczego jest ogromnym wyzwaniem technologicznym, wymagającym rozwiązania licznych problemów geologicznych, środowiskowych, inwestycyjnych, a także społecznych. Dlatego tak dużą wagę spółka przywiązuje do innowacji, które łagodzą niekorzystne skutki wydobycia i przetwórstwa, ważne dla środowiska naturalnego oraz okolicznych mieszkańców. O tym, że w dużej mierze się to udaje, świadczyć może powrót sokołów, które zamieszkały na terenie zakładu produkcyjnego KGHM.

KGHM Polska Miedź SA znajduje się w ścisłej czołówce globalnych producentów miedzi i srebra. Rocznie Grupa KGHM produkuje ok. 700 tys. ton miedzi i ok. 1,3 tys. ton srebra

ODPOWIEDZIALNY ROZWÓJ NA WIELU POZIOMACH

Spółka od lat uwzględnia wpływ swoich decyzji na otoczenie, w tym środowisko naturalne. Postępuje transparentnie oraz etycznie, szanując prawo i ceniąc uczciwość w relacjach z interesariuszami zarówno lokalnymi, jak i globalnymi. Miedziowy potentat stosuje procedury regulujące metody zarządzania w oparciu o prawa człowieka, w tym kwestie zdrowia i bezpieczeństwa. Dość powiedzieć, że wewnętrzne regulacje KGHM bazują na systemie ISO 26000 oraz rekomendacjach Kanadyjskiego Stowarzyszenia Górniczego.

Jednym z mocnych filarów społecznej odpowiedzialności grupy jest powołana w 2003 r. Fundacja KGHM Polska Miedź, która prowadzi działalność dobroczynną i charytatywną. Fundacja pomaga w realizacji projektów społecznie użytecznych oraz wspiera osoby, które znalazły się w trudnej sytuacji. Tylko w minionym roku fundacja przekazała 143 darowizny o wartości blisko 1 mln zł osobom fizycznym w trudnej sytuacji życiowej. Na tym nie koniec, fundacja bowiem działa w wielu obszarach, m.in. w ochronie i promocji zdrowia, profilaktyce i bezpieczeństwie. Wspiera również ochronę dziedzictwa kultury i propaguje naukę, edukację oraz aktywność fizyczną wśród najmłodszych. W tym zakresie szczególne uznanie zyskał projekt Miedziana Szkoła Matematyczna. polegający na organizacji dodatkowych zajęć dla uczniów szkół podstawowych, zrealizowany w 18 placówkach na terenie powiatów lubińskiego, głogowskiego i polkowickiego. Zajęcia dodatkowe z matematyki objęły 720 godzin lekcyjnych, w których uczestniczyło 432 uczniów. Łącznie dofinansowanie ze środków Fundacji KGHM w 2016 r. objęło 374 projekty na kwotę ponad 13 mln zł.

Nie ma wątpliwości, że odpowiedzialne działania firmy, a także wydobywane surowce sprawiają, iż świat stale się rozwija i zmienia na lepsze. Ta zmiana jest widoczna zarówno z perspektywy globalnej, jak i lokalnej. Miedź, srebro i inne metale produkowane przez KGHM zapewniają dostatek i rozwój Zagłębiu Miedziowemu, także gospodarce krajowej. Odpowiedzialne i rozważne gospodarowanie tym bogactwem, z korzyścią dla wszystkich, jest podstawą zrównoważonego działania spółki. Tak, by zawsze mieć miedź, zgodnie z przyjętą misją KGHM.

Anna Szymczak

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 464d4774fb

Chcę robić rzeczy dla Polaków

Z Dariuszem Wieromiejczykiem, dyrektorem Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego
rozmawia Łukasz Zboralski

ŁUKASZ ZBORALSKI: Jest w kraju nowa instytucja, a pan od kilku dni jest jej szefem. Jako pełnomocnik ministerstwa przygotowywał pan to połączenie Filmoteki Narodowej i Narodowego Instytutu Audiowizualnego, więc od dawna wizję pan mieć musi. Jak będzie działać FINA?

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK: Połączenie Filmoteki Narodowej z Narodowym Instytutem Audiowizualnym to szansa nie tylko na udoskonalenie ich dotychczasowej działalności, lecz także na zbudowanie nowej jakości – na stworzenie instytucji, która czerpiąc z dorobku poprzedników, zbuduje zupełnie nowy sposób upowszechniania dorobku kulturalnego.

Na czym to będzie polegało? Filmoteka zajmowała się bowiem cyfryzacją polskich skarbów filmowych, a NInA miała dość szerokie pole działań, trudne do ujęcia – bo i cyfryzację zasobów kultury, i rejestrację wydarzeń, wydawnictwo mediów, animowanie wydarzeń...

Podstawową korzyścią nowej instytucji jest to, że będzie mogła w stu procentach wykorzystać swój potencjał. Obie instytucje miały pracownie digitalizacyjne. Pracowały one w różnym rytmie, zajmowały się materiałami mniej i bardziej ważnymi, nie było to skoordynowane, bo i nie mogło być w wypadku dwóch niezależnych instytucji. Teraz możemy pracować na pełnych obrotach, w synergii, wykorzystując wszystkie możliwości techniczne. Efektywność działań digitalizacyjnych zależeć będzie tylko od możliwości zatrudnienia odpowiedniej liczby specjalistów. W prywatnych firmach tak świetnie wyposażone pracownie jak nasze pracowałyby pewnie na trzy zmiany.

I w FINA też będą?

Oczywiście nie da się zrobić tego od razu. Bo też kompetentnych pracowników w tej dziedzinie nie jest wielu. W ogóle zawody okołofilmowe, związane z konserwacją i rekonstrukcją taśmy filmowej, jej przechowywaniem, digitalizacją to umiejętności, których trzeba uczyć się przez lata, a w dzisiejszych czasach nie bardzo jest gdzie się tego nauczyć. Bardzo szanuję kompetencje pracowników Filmoteki i NInA. Mamy dziś rynek pracownika i w pozyskiwaniu fachowców będą z nami konkurować prywatne podmioty, a także publiczne – takie jak TVP. Jedno jest pewne – pracownicy obu instytucji to ich najcenniejszy skarb. Chciałbym ten potencjał wykorzystać, także budując w zespole liczne relacje mistrz – uczeń.

Jednak cyfryzacja to nie wszystko?

Nie mając odpowiednio bogatego archiwum, NInA starała się odnaleźć pewną kotwicę – szukała swojej niszy w wielu obszarach...

... chce pan powiedzieć, że przed laty stworzono instytucję, która dopiero potem szukała tego, czym ma się zajmować?

Misją NInA była też unikalna kompetencja w cyfrowej kulturze audiowizualnej. Tylko że współczesna kultura jest już cyfrowa z natury – nasza rozmowa jest zapisywana w sposób cyfrowy, każda wystawa jest fotografowana cyfrowo, muzyka jest zapisywana cyfrowo. Wobec tego instytucja, która zajmowałaby się różnorakimi aspektami kultury cyfrowej, jest trochę jak „instytut problemów współczesnej cywilizacji" – zajmuje się wszystkim. Zatem z jednej strony ten rozmach działań był imponujący i przynosił często ciekawe rezultaty, natomiast połączenie z Filmoteką daje FINA unikalne pole kompetencji. Kultura filmowa, edukacja filmowa, badania dotyczące historii filmu, archiwa – to będą nasze podstawowe zobowiązania. Połączenie instytucji pozwala nam mieć i kotwicę, i możliwość przekraczania granic.

Kultura jest w Polsce obszarem, w którym każde naruszenie status quo jest przyjmowane z niechęcią. A pan przychodzi na miejsce człowieka związanego z festiwalem Malta, na który zapraszano niedawno kontrowersyjnego reżysera. W dodatku pojawiały się oskarżenia, że łączenie instytucji ma służyć jedynie nowej władzy do wymiany kadr. Poradzi sobie pan z tym obciążeniem?

eprasa.pl 464d4774fb

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

Dariusz Wieromiejczyk FOT. ADAM STĘPIEŃ/AGENCJA GAZETA

Mam taką nadzieję. Jeśli zaś pada taki zarzut, że ta instytucja zostanie upolityczniona, to odpowiem, iż takie zarzuty stawiają głównie ludzie, którzy sami upolitycznienia nie uniknęli.

Bo NInA też wcześniej podlegała Ministerstwu Kultury?

Każda instytucja, która podlega Ministerstwu Kultury, w naturalny sposób powinna być częścią polityki kulturalnej państwa. Trudne do wyobrażenia jest to, by instytucje podlegające resortowi i przez nie finansowane miały z nim prowadzić jakąś wojnę. Tam, gdzie rodzą się ciekawe dzieła kultury, tam powinna panować swoboda wypowiedzi, pasja tworzenia. Ważną wartością w sztuce jest nowatorstwo, a tym, co zabija nawet interesującą konwersację, jest doktrynerski dydaktyzm. Jest on rzeczą nieznośną i w kinie, i w życiu codziennym.

Wobec tego zadam panu trudne pytanie: Zarejestrowałby pan cyfrowo „Klątwę" i udostępniał ten spektakl?

Żaden wniosek o cyfryzację „Klątwy" nie wpłynął. A rozważając teoretycznie – na pewno poddałbym ocenie wartość artystyczną przedstawienia. Ja tego spektaklu akurat nie widziałem. Gdyby przedstawienie mi się podobało i uznałbym, że nie obraża uczuć moich współobywateli – a ja mam dużo szacunku dla uczuć religijnych podobnie jak dla tradycji, godności drugiego człowieka – gdybym uznał, że nie destruuje podstawowych zasad cywilizacji, w której żyjemy, tobym współpracował przy produkcji czy digitalizacji takiej rzeczy. Na pewno nie kierowałbym się oceną zaangażowania politycznego twórcy.

W planach FINA jest w najbliższym czasie np. rekonstrukcja cyfrowa „Gorączki" Agnieszki Holland. Włożymy w tę pracę całe serce – bez względu na ideologiczne zaangażowanie pani reżyser.

Czyli rozumiem, że nie jest tak, iż przychodzi rządowy namiestnik i dopuszcza jeden rodzaj przedsięwzięć? Że drzwi pozostają otwarte dla wszystkich artystów? Pan sam współprodukował „Katyń" Andrzeja Wajdy...

Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś próbował wykreślić dorobek Andrzeja Wajdy z panoramy polskiej kultury filmowej. I Wajda, i Holland, i Kutz, i wielu twórców stojących po rozmaitych stronach współczesnych sporów politycznych mają w dorobku dzieła o niezaprzeczalnej wartości. Szacunek dla nich i troska o zachowanie tych dzieł to rzeczy niezwiązane z wypowiedziami jakiegoś artysty.

Wydaje mi się, że NInA nie przebiła się do masowej świadomości – że nie tak powszechnie wiadomo, iż na stronie internetowej można obejrzeć sobie filmy, spektakle teatralne. FINA to zmieni?

Myślę, że to się brało z tego, że NInA, produkując wycinki ze świata kultury, nie miała archiwum, które miałoby potencjał przyciągnięcia masowego widza. Dysponując archiwum Filmoteki Narodowej możemy to zmienić. W tym archiwum są skarby, np. fotosy gwiazd kina. Przeglądając je, myślałem, że gdy będziemy robić kampanię promocyjną nowej instytucji, to możemy to wspaniale wykorzystać w takich akcjach jak np. „wybierz najpiękniejszy filmowy pocałunek w polskim kinie" czy „wybierz najśliczniejszy uśmiech". Mamy zdjęcia Eugeniusza Bodo, Poli Negri, cudownych aktorek i wspaniałych aktorów. Za takie materiały każda agencja reklamowe dałaby fortunę, a my to mamy i jeśli ministerstwo wesprze nas środkami na prowadzoną z rozmachem kampanię, to możemy stać się miejscem bardzo widocznym w krajobrazie kultury. Po połączeniu instytucji samych sal kinowych mamy kilka – salę w NInA, kino Iluzjon, kino letnie. Możemy zrobić nawet duży festiwal filmowy. Mamy miejsce do urządzania koncertów. Potencjał jest ogromny.

NInA wspierała też produkcje filmów. I u niektórych w środowisku artystycznym rodzą się obawy, że teraz FINA będzie partycypować jedynie w patriotycznych, katolickich produkcjach...

Obawa, że film będzie katolicki, byłaby dla mnie zdumiewająca. Film katolicki może być dziełem otwierającym oczy na rzeczywistość, poruszającym i niezwykłym. Religia jest jednym z najważniejszych elementów konstytuujących cywilizację Zachodu.

Jeśli zaś chodzi o kryteria, które będą brane pod uwagę przy udziale w filmowych produkcjach, to po pierwsze film musi być dobry. Jednak to nie wszystko. Publiczne instytucje kultury nie mogą kierować się jedynie wartościami estetycznymi. Będę chciał, żeby powstawały tu filmy ważne dla Polaków, przydające nam dumy, odpowiedzialności, odwagi, budujące wspólnotę narodową. Uważam, że historia Polski jest jednym z takich tematów i że mamy w niej wiele fantastycznych rozdziałów jeszcze nieobecnych na ekranie.

To kiedy mogę umówić się na drugą rozmowę, żeby mógł się pan pochwalić efektami? Za rok?

Myślę, że za rok powinniśmy już osiągnąć bardzo wiele.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Wojciech Engelking

Czas kobiet

Film „Wonder Woman" pokazuje, że w dotychczas męskich rejonach kina to kobiety mają dziś najwięcej do powiedzenia

Jak długo obrazowi kobiet będzie brakowało siły, tak długo nawet dziewczynki nie będą chciały być dziewczynkami" – to fragment eseju opublikowanego w 1943 r. przez Williama Moultona w piśmie „The American Scholar". Moulton z wykształcenia był psychologiem społecznym, o nader – jak na jego czasy – kontrowersyjnych poglądach: ledwie dwie dekady po tym, jak kobiety zyskały w USA prawa wyborcze, sądził, że mają nad mężczyznami w każdej sferze życia przewagę. Jego liczne wypowiedzi zwróciły uwagę jednego z dyrektorów w All-American Publications – późniejszego DC Comics – który poruczył znanemu z zamiłowania do komiksów psychologowi i rysownikowi Harry'emu Peterowi zadanie stworzenia kobiecej superbohaterki. I tak, w październiku 1941 r., w ósmym numerze „All Star Comics", zadebiutowała księżniczka Diana z Temiskery, szerzej znana jako Wonder Woman. Była odpowiedzią na Supermana. Nie przybyła na ziemię z kosmosu tak jak on, ale wzięła się z zagubionej na oceanie wyspy Amazonek, którą przypadkiem odkrył amerykański lotnik Steve. Z nim księżniczka Diana ruszyła do USA, by wspomóc je w walce z nazistami (takie komiksy „ku pokrzepieniu serc" były popularne).

Ubrana w zbroję skrojoną na podobieństwo ciuchów pin-up girls, Wonder Woman szybko zdobyła popularność. Szybko zaczęła też budzić kontrowersje. Z jednej strony krytycy podkreślali, że częstotliwość, z jaką Diana jest wiązana i bita, sprawia, iż komiks przypomina erotyczną opowiastkę dla sadystów. Z drugiej pewien psychiatra nazwiskiem Fredric Wertham opublikował w 1954 r. książkę, w myśl której Wonder Woman miała być symbolem lesbijskiej nienawiści do mężczyzn. Mimo krytyki, nie licząc krótkiego okresu po zakończeniu II wojny światowej, Diana z Temiskery uczestniczyła we wszystkich ważniejszych komiksowych wydarzeniach, sta-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 464d4774fb

jąc się członkinią Ligi Sprawiedliwych (stowarzyszenia superbohaterów pod wodzą Supermana). Jej sławę ugruntował w latach 70. serial z Miss USA Lyndą Carter w głównej roli.

Wonder Woman nie była jednak jedynie najbardziej znaną komiksową bohaterką. Była i jest czymś więcej. Na okładkę wziął ją w 1971 r. feministyczny kwartalnik „Ms.", a w 2016 r. ONZ mianowało ją honorowym ambasadorem ds. równouprawnienia. Tytuł szybko straciła, bo 45 tys. internautów podpisało petycję, w której argumentowano, że jest zbyt seksowna, by go nosić. We wchodzącym na ekrany polskich kin filmie Patty Jenkins – twórczyni „Monster" z Charlize Theron – Wonder Woman z seksowności nie rezygnuje. To jednak nie dlatego film jest jednym z największych finansowych i artystycznych sukcesów kina akcji ostatnich lat.

KSIĘŻNICZKA NA WOJNIE

O tym, że Wonder Woman powinna dostać własny film, mówiło się od dawna – podczas gdy od początku lat 90. Batman doczekał się siedmiu obrazów, Superman – dwóch, a na ekranach zobaczyliśmy nawet tak pomniejszych bohaterów DC Comics jak Green Lantern, produkcję filmu o Dianie ciągle jednak przekładano.

Było jasne, że kiedyś powstanie, bo wojna, którą DC wypowiedziało Marvelowi (studiu komiksowemu, które wykreowało Avengersów i Iron Mana, a w świecie filmu zapoczątkowało modę na tworzenie cykli obrazów dziejących się w tym samym fantastycznym uniwersum), nie mogłaby się bez niej obyć. Po reakcjach na film i jego wynikach w box offisie (aktualnie „Wonder Woman" to najszybciej zarabiający w historii film nakręcony przez kobietę) wypada żałować, że nie powstał wcześniej. To, co oferowało DC Comics widzom poprzednimi produkcjami, było raczej oznaką kryzysu, w który firma wpadła po zakończeniu współpracy z Christopherem Nolanem, proponującym widzowi tak realistyczną opowieść o superbohaterach, jak tylko się dało. Efekty filmów następnych, w baśniowym entourage'u, nie powalały.

Czy film Patty Jenkins jest powrotem do realizmu? Nic bardziej mylnego. Tak jak w komiksie z lat 40. księżniczka Diana (w tej roli Izraelka Gal Gadot – była żołnierka, Miss Izraela i reprezentantka tego kraju na zawodach Miss Universe) zamieszkuje rajską wyspę Temiskirę razem z innymi Amazonkami, czyli plemieniem wojowniczek stworzonych przez Zeusa, by chronić świat przed wojną. Wojna na ukrytą przed światem wyspę jednak trafia – w postaci angielskiego lotnika Steve'a Trevora, a raczej jego rozbijającego się na plaży samolotu. Trevorowi udało się przechwycić plany broni, którą dla niemieckiego kajzera (jesteśmy w czasach I wojny, nie II – o tyle to ważne do przesłania, że choćby nie wiadomo, jak pozytywnie się ta historia skończyła, to widz wie, że za dwie dekady tak czy siak nastąpi rzeź) przygotowuje niejaki gen. Ludendorff razem ze swoją demoniczną pomocnicą chemiczką. Broń może odmienić losy świata, bo Niemcy powoli przygotowują się do kapitulacji i tylko ona pozwoli im na nowo podjąć walkę. Wraz ze Steve'em Diana wyrusza więc do Londynu, gdzie musi się zmierzyć z królewską biurokracją, a potem, w towarzystwie trzech przyjaciół Anglika, społecznych wyrzutków, do Belgii, gdzie broń – śmiercionośny gaz – jest produkowana. I okaże się, czy kobieta uratuje armię złożoną z mężczyzn.

Wonder Woman problemów nie ma żadnych. Nie dość, że nadludzko silna i inteligentna, to jeszcze piękna

Powiedzieć, że film interesująco gra stereotypami płciowymi – a to ulubione określenie niektórych krytyków – to nic nie powiedzieć. W końcu to właśnie na rajskiej wyspie bez mężczyzn, gdzie kobiety wzajemnie szkolą się na wojowniczki, małej Dianie taka nauka zostaje przez jej matkę, królową, odmówiona – nie dlatego, że jest dziewczynką, ale dlatego, że ta pragnie ją chronić. To w męskim Londynie, w wyłożonych drewnem i skórą gabinetach, do których kobiety nie mają prawa wstępu, panowie w czarnych garniturach nie chcą słyszeć o tym, że jakaś sekretna broń się pojawiła i że świat nie kończy się na prawniczych paragrafach przygotowywanej umowy pokojowej. „Wonder Woman" stereotypów nie dekonstruuje, tylko umiejętnie wymyka się tym, którzy chcieliby zaprząc ją do polityczno-obyczajowego sporu.

PACYFIZM WOJOWNICZKI

Ten się jednak, oczywiście, odezwał. Jedni starali się zapisać nową Wonder Woman do grupy wyrosłych w ostatnich latach filmowych i serialowych bohaterek, które ratują świat mimo własnych problemów, podczas gdy drudzy stękali, że to niewykonalne, bo Wonder Woman problemów nie ma żadnych. Nie dość, że nadludzko silna i inteligentna, to jeszcze piękna.

Zarzucano, że Diana w filmie Jenkins przypomina cheerleaderkę. Reżyserka zbijała te utyskiwania stwierdzeniem, że skoro męscy superbohaterowie są w kinie przerysowani, to ona nie widzi powodu, by i jej Wonder Woman nie miała posiadać długich nóg oraz włosów pięknie opadających na dekolt.

Wonder Woman w wykonaniu Gal Gadot nie jest jedną z tych postaci, od których zaroiło się w produkcjach, gdy Lena Dunham wypuściła pierwszy sezon „Girls", w którym złamała wizerunek młodej kobiety jako osoby oszałamiająco pięknej i odnoszącej sukces za sukcesem. Jest właśnie tym niezłamanym wizerunkiem i być może dlatego spodobałaby się swemu twórcy Williamowi Moultonowi, który wielokrotnie podkreślał, że komiksy służą edukowaniu społeczeństwa. Po premierze filmu amerykański Internet szturmem zdobyło nagranie, w której dotychczas grymasząca na jedzenie dziewczynka chętnie zabiera się do śniadania, bo twierdzi, że chce być tak silna jak Wonder Woman.

Dlaczego więc to – w istocie – powielenie stereotypów w filmie Patty Jenkins zagrało, a w innych obrazach ze studia DC, w których widz obserwował na ekranie pojedynek napompowanych mięśniami mężczyzn, z których jeden dodatkowo był w cywilu miliarderem, nie? Cóż, dawno temu Umberto Eco pisał, że tworząc sobie superbohatera, społeczeństwo w istocie opowiada o własnych pragnieniach i tęsknotach. Z tego wynika, że pragnieniem i tęsknotą dzisiejszego człowieka jest silna kobieta o pacyfistycznych przekonaniach, która nie chce ludzkiej wojny wygrać, ale raz na zawsze skończyć z nimi wszystkimi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Kornel Makuszyński (z prawej) z Janem Kiepurą w 1933 r. FOT. NAC

Z Mariuszem Urbankiem, autorem książki o Kornelu Makuszyńskim *rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert*

Skazany na zapomnienie

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Droga Kornela Makuszyńskiego do literatury wiodła przez dziennikarstwo.

MARIUSZ URBANEK: Tak jak niejednego literata, choćby Bolesława Prusa. Najpierw jednak, jeszcze gdy był uczniem gimnazjum (zaliczył ich trzy, gdyż „drugiego ucznia tak tępego w matematyce, chemii i fizyce jak on nikt wcześniej nie widział”), debiutował na łamach prasy wierszem. A potem, podczas studiów polonistycznych na uniwersytecie we Lwowie, pracował w redakcji „Słowa Polskiego”, dziennika związanego z Narodową Demokracją. Zrazu zamieszczał tam informacje z życia miasta, potem powierzono mu dział finansowy, ale na krótko. Powód: „Moje akcje giełdowe szalały, tańczyły i skakały jak pchły”. Zapamiętał też, że oprócz nekrologów, prognozy pogody oraz polityki, odpowiadających mniej więcej prawdzie, pozostałe artykuły w znacznym stopniu zmyślano. Kuszono czytelników wyssanymi z palca opisami egzotycznych zakamarków kuli ziemskiej, gdyż przy ówczesnej komunikacji prawie nikt nie potrafił ich zweryfikować. Szeroki rezonans wywołał więc tekst Makuszyńskiego głoszący, że Beduini jako pisanek używają jaj strusich. A także artykuł o pożarze w kopalni... brązu.

Literackim mentorem autora „Szatana z siódmej klasy” był Jan Kasprowicz?

Owszem, lecz to Leopoldowi Staffowi jako pierwszemu dał do oceny poetyckie juwenilia. Zawarli znajomość w słodkich okolicznościach. Autor „Deszczu jesiennego” pracował za młodu w cukierni prowadzonej przez swych rodziców. Makuszyński, podziwiając jego wiersze, udał się tam, ale zapomniał zabrać manuskrypt z własnym utworem. Na szczęście towarzyszący mu kolega znał ów tekst na pamięć i go wyrecytował. Władysława Reymonta poznał w Paryżu, dokąd udał się w podróż poślubną z pierwszą żoną (Emilia z Bażeńskich). Szybko się z Reymontem zaprzyjaźnili, czego dowodzi choćby często wymieniana korespondencja. Gdy twórca „Ziemi obiecanej” otrzymał Nagrodę Nobla, Makuszyński ogłosił na łamach „Wiadomości Literackich” entuzjastyczny szkic. Wychwalał laureata, w kraju dotychczas lekceważonego, ponieważ pochodził z ludu, brakowało mu wykształcenia, nie był „Żydem ani socyałem, a tylko takim wybębniali huczne peany”. Przez Reymonta poznał swą drugą małżonkę, Janinę z Gluzińskich, śpiewaczkę. Kiedyś wybrali się razem na obiad do renomowanej restauracji Wierzbickiego w Radomiu. Gdy po kieliszku armaniaku noblista szeptał do ucha żony (własnej), pytając, czy może postawić towarzystwu drugą kolejkę, choć pieniędzy miał już wtedy w bród, Makuszyński wtrącił: „Drogi przyjacielu, rycerze twego pokroju, spełniając toasty z pantofelka swej bogdanki, nie zawsze musieli pod nim siedzieć”. Zażyłość z Włodzimierzem Perzyńskim i Adolfem Nowaczyńskim wzmacniała sympatia dla endecji. Regularnie spotykali się w restauracji Astoria (Nowy Świat, róg ul. Ordynackiej), której stolikowi Makuszyński był wierny w II RP. Natomiast bliskie relacje z Jerzym Szaniawskim wynikały być może z kontrastu charakterów. Autor „Żeglarza” zawsze słuchał barwnych opowieści Makuszyńskiego, nie zabierając głosu, czym sprowokował onegdaj go do zadania pytania: „Powiedz mi, drogi Jerzy, o czym ty teraz milczysz?”.

Jak bohater pańskiej książki przeżył okupację?

Klepiąc biedę. Mieszkanie na Mokotowie zostało częściowo zniszczone we wrześniu 1939 r. Przepadło wiele rękopisów, pamiątek i cennych dzieł sztuki, które gospodarz kolekcjonował. Żył z oszczędności, wyprzedaży, czynszu z kamienicy przy ul. Wilczej (właścicielką w jednej ósmej części była małżonka pisarza), zaliczek wypłacanych przez wydawnictwo Gebethner i Wolff,

eprasa.pl 464d4774fb

z którym był związany umową cum iure exclusivo – na poczet przyszłych książek. Na początku wojny ukończył „Szaleństwa panny Ewy", następnie rozpoczął – zdaniem: „W roku 1937, kiedy nadzwyczaj obrodziły muchy, jabłka i Żydzi w Zakopanem" – „Drugie wakacje Szatana". Nie wiadomo, dlaczego przerwał pracę nad tą powieścią. Po powstaniu warszawskim został z cywilną ludnością wygnany z miasta do obozu przejściowego w Pruszkowie, skąd bydlęcym wagonem przewieziono go pod Opoczno, gdzie kilka tygodni kwaterował na wsi. Boże Narodzenie witał już w Zakopanem.

Po II wojnie światowej literacko zamilkł. Ze względów ideologicznych?

W 1946 r. wyszła jego ostatnia nowa książka pt. „List z tamtego świata". Tytuł brzmiał bardziej na czasie niźli „Tajemnicze skarby", pod którym miała ukazać się u schyłku roku 1939. Cenzura okroiła ją o fragment drugiego rozdziału, w którym pojawiał się „brodaty przybysz płomiennie rudy, odziany w bekieszę – z izraelskiego plemienia". Argumentował, że skoro Żyd może nazywać się Potocki czy Zamoyski, to dlaczego ma nie być Żyda Mościrzeckiego – jak brzmiało nazwisko bohaterów książki. Władza ludowa nakazała wykreślenie tego passusu być może dlatego, że w Urzędzie Bezpieczeństwa roiło się od osób pochodzenia żydowskiego, które zmieniły personalia na brzmiące bardziej po polsku. Kilka lat później Grzegorz Lasota, literacki dyktator doby socrealizmu, ogłosił, że Makuszyński nie dostrzegał w II RP kontrastów społecznych i kształtował swe powieści na bazie negacji walki klasowej. Opinia miała moc wyroku skazującego „podsądnego" na zapomnienie.

Stryj, Lwów, Warszawa, Zakopane. Które z tych miast było najważniejszym przystankiem w życiorysie Makuszyńskiego?

Bezspornie Lwów. Tylko jemu poświęcił tak wiele uwagi, przede wszystkim w książce „Uśmiech Lwowa", która obok „Skrzydlatego chłopca" oraz „Radosnych i smutnych" trafiła na listę PRL-owskiej cenzury. O Stryju, miejscu urodzenia i dzieciństwa, wspominał z nostalgią, lecz z rzadka. W Warszawie mieszkał przeszło ćwierć wieku, zrazu w al. Róż, po przeprowadzce przy ul. Grottgera. Stolica jest obecna w twórczości, ale na marginesie. O Przemyślu, gdzie przez rok uczył się w gimnazjum, ledwie napomykał. Drugie miejsce w hierarchii miejskiej Makuszyńskiego zajmowało Zakopane. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Ujrzawszy je, miał rzec: „Rycerz Giewont przed ułożeniem się na wiekowy sen załatwił pewną ludzką potrzebę i z tego powstało Zakopane". Potem jednak zrobił tak wiele dla – używając współczesnego języka – wypromowania miasta, że przyznano mu honorowe obywatelstwo. Mieszkanie w willi Opolanka, w której dożył kresu swych dni (spoczął na Pęksowym Brzyzku), pełni dziś funkcję muzeum, a na tatrzańskim stoku rokrocznie odbywają się zawody narciarskie dla dzieci. O Puchar Koziołka Matołka.

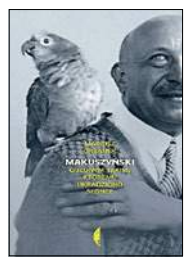

MARIUSZ URBANEK „MAKUSZYŃSKI. O JEDNYM TAKIM, KTÓREMU UKRADZIONO SŁOŃCE" CZARNE 2017

Do dziś sporo jego literackich wizytówek funkcjonuje z osobliwymi ingerencjami cenzury.

Z racji zmiany granic terytorialnych kraju – po II wojnie światowej – akcję „Szatana..." cenzura przeniosła z Wileńszczyzny pod Pułtusk. Z „Wielkiej Bramy" usunięto nazwisko twórcy Gdyni, Eugeniusza Kwiatkowskiego, oraz nazwę transatlantyku „Piłsudski". Koziołkowi Matołkowi zdjęto z głowy rogatywkę, a na obrazkach ze stolicy dosztukowano kontury Pałacu Kultury i Nauki oraz Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Raz jednak czujność cenzora zawiodła. Nie wycięto z tekstu nazwiska postaci, uratowanej przez rogatego bohatera w Afryce. A był nim Ferdynand Ossendowski. Szkoda, że wznawiając dorobek Makuszyńskiego, wydawcy kopiują edycje PRL-owskie, a nie pierwotne.

W „Radosnych i smutnych" konstatował z perspektywy Kijowa pod koniec I wojny światowej: „Kiedy rząd ukraiński się wycofał, Żydzi się cieszyli, kiedy miasto zajęli bolszewicy, byli zadowoleni, kiedy weszli Niemcy, radowali się jeszcze bardziej; był tylko jeden wyjątek; kiedy wejdą Polacy – Żydzi się nie ucieszą". Był antysemitą?

Taka ocena byłaby dlań krzywdząca. Dostrzegał żydowską odmienność. Drażniła go ekspansywność Żydów, śmieszyły gestykulacja i żargon, rozczarowywała niechęć do asymilacji, lecz żarty z Żydów – często rzucające się w oczy w jego tekstach – nie spowodowały zerwania kontaktów z wieloma ludźmi o mojżeszowym rodowodzie. Na przykład ze Słonimskim czy z Tuwimem. W porównaniu z tym, co oni pisali o Żydach, Makuszyński był łagodny.

Dlaczego kinematografię zainteresowała dopiero jego spuścizna?

Za życia do kina szczęścia nie miał. W 1913 r. reżyser Zygmunt Wesołowski napisał scenariusz na kanwie jego opowiadania. Krótkometrażowy film – rzecz jasna niemy i czarno-biały – pt. „Najmilszy ze złodziei" połączył w niepochlebnych opiniach krytykę z widownią. Po kilkunastu latach Leon Trystan (brat Adama Ważyka) usiłował przenieść na ekran inną prozę pisarza. Obrazu pt. „Strach oczu" nigdy jednak nie zrealizował. W 1939 r. Konradowi Tomowi udało się zaadaptować w doborowej obsadzie (Ćwiklińska, Węgrzyn, Kurnakowicz, Orwid) „Szatana..." – w sierpniu odbył się nawet zamknięty pokaz nie całkiem jeszcze ukończonego dzieła, lecz po wybuchu wojny taśma zaginęła. Czy bezpowrotnie? Renesans zainteresowania kina dorobkiem Makuszyńskiego nastał dopiero po odwilży. Zaowocował adaptacjami „Awantury o Basię", „Szatana..." (debiut aktorski Poli Raksy) oraz „O dwóch takich, co ukradli księżyc" – z Lechem i Jarosławem Kaczyńskimi w rolach Jacka oraz Placka. Z rozwojem telewizji pojawiły się seriale: „Szaleństwa...", „Panna z mokrą głową" oraz kolejny „Szatan...". Kilka generacji polskich dzieci oglądało na dobranoc kreskówkę z przygodami Koziołka Matołka. Nawiasem mówiąc, po wprowadzeniu stanu wojennego musiano pospiesznie wycofać z obiegu pocztówkę z uzbrojonym w karabin i umundurowanym bohaterem rodem z Pacanowa, za którym na drzewie siedziała ogromna czarna wrona. Aluzja do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego była zbyt oczywista.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mariusz Urbanek – publicysta i pisarz. Autor poczytnych biografii: Tyrmanda, Wieniawy-Długoszowskiego, Waldorffa, Broniewskiego, Brzechwy, Tuwima, „Sagi rodu Kisielewskich" oraz opowieści o lwowskiej szkole matematycznej pt. „Genialni".

eprasa.pl 464d4774fb

FOT. MATERIAŁY PROSOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Clara postanawia nie umierać

Brazylia jest kobietą i nazywa się Sonia Braga. Przeszłość ma burzliwą, przyszłość niepewną, lecz zachowała młodzieńczy temperament oraz apetyt na życie. Gdyby poddać ją testowi na wiek biologiczny (wymyślonemu gwoli dodania otuchy tetrykom po trzydziestce), z pewnością okazałoby się, że wciąż jest nastolatką.

Kraj Paula Coelha na brak popularności nie narzeka. Media regularnie i z lubością informują o karnawałowych szaleństwach, skorumpowanym futbolu, politycznych skandalach, wojnie państwa z mafią narkotykową, nieuleczalnej nędzy faweli i wyborach Miss Pupy. Braga w ojczyźnie nigdy nie przestała być gwiazdą pierwszej wielkości, jednak dopiero teraz dostała rolę uszytą na jej marę. Tytuł filmu wprowadza w błąd. To nie dom w Recife (pamiętający czasy, gdy brazylijscy piłkarze grali lepiej w reprezentacji niż w klubach) jest głównym bohaterem, lecz jego jedyna lokatorka.

Clara, właścicielka imponującej kolekcji kaset i winyli, w odróżnieniu od sąsiadów, ani myśli porzucić mieszkania z widokiem na ocean. Prośby i groźby dewelopera, który chce w tym miejscu postawić wypasiony apartamentowiec, puszcza koło uszu. Sprawa ma dodatkowy smaczek: prześladowca Clary studiował zarządzanie w Stanach Zjednoczonych i wzoruje się na tamtejszych rekinach biznesu. Emerytowana dziennikarka nie pozwoli jednak zamydlić sobie oczu (tak jak jej rodacy pozbyli się rządu, wychwalanego pod niebiosa przez jankeskie media). Kiedyś jedną nogą była już w grobie, lecz pokonała chorobę i odtąd niczego się nie boi.

Marksiści twierdzili, że nadbudowa wyrasta ze społecznej bazy. Już pierwsza scena, rozgrywająca się w 1980 r., mówi wszystko o środowisku, z którego wywodzi się Clara (a przy okazji reżyser i scenarzysta filmu, Mendonça Filho). Mieszkanie w Aquariusie należy jeszcze do cioci Lucii, obchodzącej 70. urodziny. Składający życzenia mówią, że jej życie to „idealny materiał na książkę, film i piosenkę". Jubilatka najmilej wspomina jednak rewolucję seksualną, którą praktykowała z wielkim zapałem. Zanim wzniesie toast na cześć nieżyjącego kochanka, z czułością spojrzy na komodę – niemego świadka dawnych ekscesów. Lucia i jej bliscy mają serca po lewej stronie, lecz sami należą do wyższej klasy średniej. Dlatego porównania do tragedii Jolanty Brzeskiej, które pojawiły się przed premierą filmu, są – delikatnie mówiąc – chybione. Gdyby warszawska działaczka miała pieniądze i wpływowych znajomych, żyłaby do dzisiaj, a pod jej drzwiami stałaby długa kolejka żurnalistów, polityków i skruszonych deweloperów. O przystojnych młodzieńcach nie wspominając. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. KLEBER MENDONÇA FILHO „AQUARIUS" BRAZYLIA 2016

wyst. Sonia Braga, Maeve Jinkings, Irandhir Santos

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „SPIDERMAN: HOMECOMING"

Kolejna w ostatnich latach zmiana w świecie Spidermana. Grał go Tobey Maguire, grał Andrew Garfield, teraz obdarzonym supermocami licealistą został Tom Holland. Pojawił się już na dużym ekranie w filmie „Kapitan Ameryka: Wojna bohaterów", teraz doczekał się własnego filmu, który wraca do korzeni, czyli klimatu oryginalnych komiksów, w których Spiderman był przede wszystkim niesfornym nastolatkiem. ©℗

Piotr Gociek

- *„Spiderman: Homecoming", reż. Jon Watts, wyst. Tom Holland, Robert Downey jr, USA 2017*

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- *„Czym chata bogata!" („À bras ouverts"), reż. Philippe de Chauveron, Francja 2017*
- *„Rock Dog", reż. Ash Brannon, Chiny/USA 2017*
- *„Mężczyzna imieniem Ove" („En man som heter Ove"), reż. Hannes Holm, Szwecja 2015*

eprasa.pl 464d4774fb

Cios w serce

Olli Mäki, małomówny bokser z Kokkoli, staje przed życiową szansą. Jeśli stłucze na kwaśne jabłko rywala z USA, to zostanie mistrzem świata w wadze piórkowej. Jednak 17 sierpnia 1962 r. jest dla niego ważny również z innego powodu. W trakcie przygotowań nasz pięściarz zabujał się w przedszkolance z rodzinnych stron. Trener wścieka się, widząc, że podopieczny lekceważy obowiązki wobec sponsorów i złaknionego sportowych triumfów narodu.

Film jest awizowany jako „fińska love story", lecz wydaje się, że tak naprawdę chodzi tu o coś innego. Olli oficjalnie przeszedł na zawodowstwo, tymczasem wciąż zachowuje się jak amator. Odporny na wszelkie pokusy wierzy, że do walki najlepiej przygotuje się samopas, bez pomocy sztabu szkoleniowego, zaś zbędne kilogramy zgubi w saunie. W dzisiejszym sporcie, który sprzedał duszę diabłu, na pewno by się nie odnalazł.

★★★★★★

REŻ. JUHO KUOSMANEN
„OLLI MÄKI. NAJSZCZĘŚLIWSZY DZIEŃ JEGO ŻYCIA" („HYMYILEVÄ MIES")
FINLANDIA 2016

wyst. Jarkko Lahti, Oona Airola, Eero Milonoff

Duńczycy celebrują hygge, Szwedzi – lagom. Jak Finowie nazywają styl życia gwarantujący błogostan, dalibóg nie wiem, lecz w Kokkoli najwyraźniej hołdowano mu już pół wieku temu z hakiem. Z treścią filmu dobrze koresponduje jego forma: ascetyczna, rozpięta między czernią i bielą. Czyżby Kuosmanen oglądał „Idę"? ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DOBRY ZŁY GOŚĆ

★★★★★★

SEZON 3
„BETTER CALL SAUL"
USA 2017, NETFLIX

wyst. Bob Odenkirk, Jonathan Banks, Rhea Seehorn, Michael McKean

„Better Call Saul" to opowieść o tym, co wydarzyło się przed wypadkami pokazanymi w serialu „Breaking Bad", główną postacią jest zaś Saul Goodman, prawnik, który zanim zaczął pomagać kryminalistom, był o krok od kariery w wielkiej prestiżowej kancelarii. Jego nemezis okazał się własny brat, Chuck, szkodzący mu na każdym kroku, jego oparciem – ukochana Kim, też prawniczka. Przy okazji dowiadujemy się, skąd w „Breaking Bad" wziął się król szmuglu narkotyków – pan Fring, dlaczego gangster Hector Salamanca został sparaliżowany, jak zaczęła się współpraca Goodmana z byłym policjantem (teraz „czyścicielem") Mikiem itd. Finał ostatniego sezonu wyjaśnia wiele, lecz nie wszystko. A główny materiał do przemyślenia wygląda tak: próbując naprawić skutki drobnych złych uczynków, wprawiamy w ruch wydarzenia o dalece gorszych konsekwencjach. Czyli rzecz o tym, że nie można być tylko częściowo uczciwym, tak jak nie można być częściowo w ciąży.

OD ZERA DO GANGSTERA

★★★★★★

REŻ. BEN AFFLECK
„NOCNE ŻYCIE" („LIVE BY NIGHT")
USA 2016, GALAPAGOS

wyst. Ben Affleck, Elle Fanning, Brendan Gleeson, Sienna Miller

Powieść „Nocne życie" Dennisa Lehane'a jest wielkim freskiem o epoce prohibicji, pełnym barwnych postaci i doskonałych dialogów. Ben Affleck ocalił nieco dialogów, ale reszta materiału skrócona do rozmiarów dwugodzinnego filmu robi wrażenie pobieżnego streszczenia. Historia drobnego bandyty z Bostonu, który zostaje królem półświatka na Florydzie, pozostawia więc widza obojętnym. Są dobre sceny (te, w których pojawiają się Brendan Gleeson oraz Sienna Miller), jest świetna obsada, ale cały czas nie wiem, czy to melodramat, czy gangsterska saga, czy historia o zemście, czy może przypowieść o niesprawiedliwości, zbrodni i nietolerancji, które zbudowały Amerykę. Wiele rzeczy zostało zasygnalizowanych, żadnej nie rozwinięto i tak Ben Affleck doznał swojej pierwszej porażki jako reżyser. Być może, gdyby nie uparł się, by napisać scenariusz i zagrać główną rolę, by mu się powiodło. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „BLITZKRIEG 3"

★★★★★★

Szczególnie starsi gracze z dreszczykiem emocji musieli potraktować informację o powrocie znanego i lubianego RTS osadzonego w realiach II wojny światowej. Mowa o trzeciej odsłonie cyklu „Blitzkrieg", który słynie z wielkich bitew, masy tłoczących się na mapie jednostek i rzadko przedstawianych w innych produkcjach odcinkach frontu. Nie inaczej jest tym razem, wszystko oczywiście w ładniejszej grafice, z trybem podboju na mapie taktycznej i samouczącą się SI. Na plus różnorodność jednostek, misje w Polsce, dynamizm. Na minus? Dużo błędów technicznych i nierówna kampania oraz niezbalansowany multiplayer. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Nival/Cdp.pl*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *12+*

eprasa.pl 464d4774fb

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Obłęd Wojciecha Bąka

Ciekawą książkę „Kroniki literackiej prowincji" napisał Witold Banach, pisarz, ale może przede wszystkim arcyostrowianin, organizator i dyrektor Muzeum Miasta Ostrowa. Uściślę od razu: Ostrowa Wielkopolskiego. „Kroniki…" zawierają historie prawdziwe, prawdopodobne, a nawet prawie zmyślone.

Najwięcej jest oczywiście tych pierwszych, choć może one właśnie są najbardziej zaskakujące. Jak ta o noblisście z 2003 r., południowoafrykańskim pisarzu Johnie Maxwellu Coetzeem. Jego pradziadek ze strony matki był Polakiem, pochodził spod Ostrowa. Sławny pisarz odwiedził te strony w 2006 r., co dało asumpt do napisania przez Banacha „Niespodziewanej podróży J.M. Coetzeego w głąb Czarnego-lasu", teraz stanowiącej rozdział „Kronik literackiej prowincji".

Inne historie są równie ciekawe, a niektóre nawet frapujące. Jak ta o Wojciechu Bąku, poecie przez komunę zamkniętemu – jak w Sowietach – w psychuszce. A dziś, 56 lat po jego śmierci, wciąż niedostatecznie znanemu czytelnikom i polskiej opinii publicznej. Tym cenniejsza jest walka o dobre imię autora „Brzemienia niebieskiego", od lat prowadzona przez Witolda Banacha, popularyzatora tak samego Ostrowa, jak mniej lub bardziej znanych ostrowian. Takich jak Wojciech Bąk, który tam właśnie przyszedł na świat w roku 1907.

Przed wojną uważano go za jednego z najbardziej obiecujących poetów. Otrzymał nagrodę „Wiadomości Literackich" i Złoty Wawrzyn Akademicki Polskiej Akademii Literatury. Wywieziony na roboty do Niemiec, do Cottbus, został ranny w głowę w trakcie alianckiego nalotu. To był ciężki uraz, a później – na UB i w zakładzie psychiatrycznym – bito go właśnie w to miejsce.

Swoją śmierć przeżył dużo wcześniej. W 1945 r. w Pałacu Działyńskich w Poznaniu reaktywowano „czwartki literackie". Na kwietniowym „czwartku" wspominano pisarzy, którzy zginęli w czasie wojny, m.in. Wojciecha Bąka. Na następnym, już majowym, „czwartku" poeta pojawił się osobiście.

FOT. PIOTR WIESŁAW RUDZKI

Powojenne początki były nawet zachęcające. Został zastępcą redaktora naczelnego w „Życiu Literackim", które właśnie w Poznaniu rozpoczęło swoją działalność, pod kierownictwem Jarosława Iwaszkiewicza. Gdy Iwaszkiewicz porzucił pismo, Bąk przejął jego stery, ale już wtedy i pismo, i on byli skazani na klęskę. Uznano go za szaleńca, antysemitę, homoseksualistę, a przede wszystkim za wroga politycznego i jednostkę aspołeczną. Jeszcze w 1949 r. Kościół nagrodził go – było nie było najwybitniejszego od czasów Jerzego Lieberta liryka religijnego – Nagrodą Episkopatu Polski, potem i on się od niego odwrócił, co w efekcie spowodowało konwersję Bąka, który zgłosił akces do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

Dostał zakaz druku, pozbawiono go mieszkania, zamknięto w psychuszce. Paradoksalnie utrzymywano, że w ten sposób go chroniono. Przed czym, na Boga? W 1952 r. zdesperowany wysłał list do Bieruta z prośbą o wyrażenie zgody na wyjazd do Włoch. W naiwności swojej liczył, że będzie mógł tam pisać, pracować. W liście zawarł treści i dzisiaj obrazoburcze: „Nie byłem antysemitą, czego dowodem jest postępowanie moje podczas okupacji. Nie mogę jednak być tak ślepym, by nie dostrzegać objawu niewątpliwie wyolbrzymionego poczucia solidarności żydowskiej, która w konsekwencji doprowadza do coraz to większego usuwania Polaków z kultury polskiej, już i tak wyjątkowo, jeżeli chodzi o skład etniczny jej przedstawicieli – nie polskiej".

List spotkał się z natychmiastowym odzewem, tyle że zamiast we Włoszech poeta znalazł się w szpitalu psychiatrycznym w Gnieźnie. Koledzy literaci zaraz też sporządzili stosowny wniosek: o jego ubezwłasnowolnienie. Październik '56 nie przyniósł zasadniczych zmian, jeśli chodzi o sytuację Wojciecha Bąka. Może tylko jedno się polepszyło: nie był już bity. Coś tam jeszcze napisał, nawet wydał, głównie pił wódkę, zaczepiał ludzi o semickim wyglądzie, bywał wobec nich agresywny. Wpędzono go w obłęd.

Dobrochna Ratajczakowa, autorka wstępu do jego „Pór roku", nie jest pewna, czy Bąk zmarł – jak napisano w akcie zgonu – na atak serca czy w wyniku otrucia, czy było to samobójstwo. Pochowano go w atmosferze skandalu i przepychanek między księdzem katolickim a pastorem, ale naprawdę osądzono, skazano i stracono wcześniej. Jedno jest pewne: był – tu cytuję Witolda Banacha – „nazbyt wrażliwy, żeby zachować normalność w nienormalnych czasach", bo – odpowiedzmy sobie na to pytanie – czy to Wojciech Bąk był szalony czy świat wokół niego? ©℗

★★★★☆

WITOLD BANACH „KRONIKI LITERACKIEJ PROWINCJI" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE, POZNAŃ 2016

eprasa.pl 464d4774fb

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Operacja „Księżniczka”

Bruce Porter zgłębia historię szmuglu narkotyków do USA od kilku dekad. W 1993 r. wydał książkę „Blow”, na której podstawie osiem lat później powstał film z Johnnym Deppem w roli głównej. Bohater tamtej opowieści zarobił w latach 80. fortunę na współpracy z kartelem z Medellín. Pilar, główna figura książki „Uwikłana”, też zaczynała od przemytu, ale potem przerzuciła się na pranie pieniędzy. Potrzeba jest matką wynalazku, a po roku 1986 w USA zaostrzono przepisy i nie można już było kupować nieruchomości, rzuciwszy na stół agenta nieruchomości jutowy worek ze zwiniętą w rolki gotówką.

Świetnie wykształcona, o nienagannych manierach, była Miss Kolumbii, dobra organizatorka, rezydentka USA, nosząca się i podejmowana jak arystokratka – taka osoba była bezcenna dla kartelu. Ta gra ma jednak dwie strony. „Uwikłana” opowiada równolegle historię Toma Tideringtona, policjanta tropiącego narkotykowych szmuglerów – od łowów na drobnych dilerów aż do czasów wielkich skomplikowanych operacji, o których informowano nawet prezydenta USA. Ścieżki Pilar i Toma skrzyżowały się, gdy Kolumbijka stała się ważną postacią w operacji „Księżniczka” – nadal pracując dla kartelu, pomagała jednocześnie Amerykanom w tropieniu brudnych milionów. Już tego wystarczyłoby na bestseller non-fiction. Proszę sobie jednak wyobrazić, jak skomplikowała się jej sytuacja, kiedy została porwana przez kolumbijską partyzantkę, a Amerykanie musieli wymyślić sposób na jej odbicie lub wykupienie bez zdradzenia, dlaczego jest dla nich taka ważna.

Książek o narkobaronach jest wiele. Tym, co wyróżnia publikację Portera, jest świetnie nakreślona warstwa obyczajowa. W równie wielkim stopniu jak o zbrodni jest to opowieść o złotych latach 80. na Florydzie, przemianach, jakie przyniosła następna dekada, a także o polityczno-gospodarczych sekretach Kolumbii. To także książka bardzo prawdziwa, bo prawie nie ma w niej szczęśliwych zakończeń.

Ciekawa rzecz – w zachodnich sklepach internetowych i na portalach poświęconych książkom między bardzo pochlebnymi opiniami czytelników (recenzje krytyków też były bardzo pozytywne) co jakiś czas trafiają się krótkie bluzgi hejtu, których obiektem są i książka Portera, i jej bohaterka. On wyzywany jest od kłamców, ona – od najgorszych. Jak widać, baronowie narkotykowi też mają swoje działy PR. I własnych trolli w Internecie. ©℗

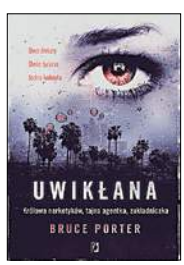

★★★★☆☆

BRUCE PORTER „UWIKŁANA” WYDAWNICTWO KOBIECE 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Wstęp i wybór Harlan Coben, zestaw z roku 2011. Błyszczą autorzy mniej znani polskiemu czytelnikowi: Joe R. Lansdale („Gwiazdy spadają”), Dennis McFadden („Diamond Alley”), Charles McCarry („Na końcu sznurka”). Reszta przyzwoita.

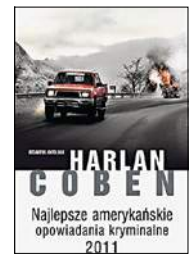

AUTORZY RÓŻNI „NAJLEPSZE OPOWIADANIA KRYMINALNE” ALBATROS

Autobiograficzna opowieść człowieka legendy. Zaczynał od służby carowi Rosji, by stać się symbolem niepodległej Finlandii (w tym regentem i prezydentem) – z powodzeniem wojować przeciw Sowietom i wystrychnąć na dudka Hitlera.

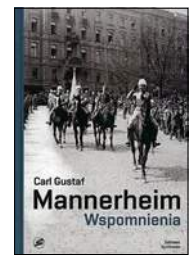

CARL GUSTAF MANNERHEIM „WSPOMNIENIA” EDITIONS SPOTKANIA

Rozszerzone wydanie wywiadu rzeki poprzednio opublikowanego pt. „Kornel” w roku 2007. Kulisy działalności Solidarności Walczącej, historia rodziny Morawieckich, przełom polityczny ostatnich lat. Dopytał i spisał Artur Adamski.

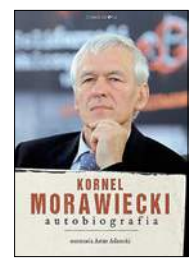

KORNEL MORAWIECKI „AUTOBIOGRAFIA” TRZECIA STRONA

Trzeci tom monumentalnego cyklu „Odrodzone królestwo” (otwartego powieścią „Korona śniegu i krwi”). Władysław Łokietek, jego żona Jadwiga, abp Świnka, Kobiety Starej Krwi powracają w finale polskiej „Gry o tron”. ©℗

poleca Piotr Gociek

ELŻBIETA CHEREZIŃSKA „PŁOMIENNA KORONA” ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Anna Kamińska „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci” (Wydawnictwo Literackie) – biografia najsłynniejszej polskiej alpinistki, pierwszej Europejki na szczycie Mount Everestu.***
2. ***J.P. Delaney „Lokatorka” (Wydawnictwo Otwarte) – jedna lokatorka zniknęła. Czy kolejna podzieli jej los? Thriller o zbrodni prawie doskonałej.***
3. ***Joanna Bątkiewicz-Brożek „Jezu, Ty się tym zajmij!” (Esprit) – biografia mistyka o. Dolindo Ruotolo, szczególnie cenionego przez o. Pio.***
4. ***Anita Głowińska „Kicia Kocia to moje” (Media Rodzina) – nowa książeczka z popularnej serii dla najmłodszych.***
5. ***Margaret Atwood „Opowieść podręcznej” (Wielka Litera) – znakomita antyutopia feministyczna, znów na fali dzięki serialowi TV.***

(Najchętniej kupowane pozycje w księgarni internetowej Bonito)

eprasa.pl 464d4774fb

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Kto komu „nagrał” Polskie Nagrania

Wracam dziś do sprawy przejęcia Polskich Nagrań przez zagraniczny koncern Warner Music Poland. Przypomnijmy: w 2015 r. fonograficzna firma mająca status narodowego producenta i wydawcy płyt została sprzedana filii Warner Music Group za 8 mln zł. Chociaż wtedy sprawa wydawała się dziwna, to na pierwszy rzut oka trudno doszukiwać się nieprawidłowości. Ot, wszystko przebiegało zgodnie z prawem, a rażąco niska kwota wykupu uzasadniana była argumentami: lepszej oferty nie było oraz popeerelowskie przedsiębiorstwo, w warunkach silnej konkurencji, na rynku zdominowanym przez międzynarodowych graczy, po prostu nie dawało sobie rady. Gwoździem do trumny firmy był proces ze spadkobiercami Anny German i odszkodowanie, które zrujnowało budżet Polskich Nagrań. Wygląda to na pech, nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Oprócz nieruchomości, siedziby PN, pozbyto się praw do ogromnego zasobu archiwalnego będącego częścią dziedzictwa narodowego. W obce ręce trafiły bezcenne zbiory gromadzone od 1956 r., z zapisem m.in. Konkursów Chopinowskich z interpretacjami Rubinsteina, ogromny katalog polskiej muzyki tradycyjnej, rozrywkowej, jazzowej, filmowej. Dzisiaj nowy właściciel wydaje składanki z utworami z archiwów, bazując na starych umowach, nieraz nawet nie informując o tym wykonawców. Dlaczego ówczesne szefostwo MKiDN – min. Zdrojewski i min. Omilanowska nie reagowali. Przecież 8 mln zł to ułamek rocznych kwot, które resort łoży na Narodowy Instytut Audiowizualny, który właśnie mógłby wykupić aktywa Polskich Nagrań. Niestety, dyrektor Instytutu Michał Merczyński wolał wtedy promować „Golgotę Picnic” i Zygmunta Baumana, zamiast zajmować się ochroną narodowego dziedzictwa.

Prace komisji weryfikacyjnej i komisji zajmującej się sprawą Amber Gold pokazują, jak często pechowe scenariusze i zbiegi okoliczności w istocie okazują się piętrowymi przekrętami. Są możliwe nie dlatego, że państwo nie działa sprawnie, że na oszustów nie ma wystarczająco skutecznej odpowiedzi. W trakcie przesłuchań coraz wyraźniej widać, że zarówno Marcin P., jak i mafia wyłudzająca nieruchomości realizowali swoje przekręty niejako pod opieką przedstawicieli państwa. Idąc tym tropem, aż się prosi, by podobnie wnikliwie zanalizować sprawę przejęcia Polskich Nagrań. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kosmiczna odyseja

Czterech gwiazdorów amerykańskiej sceny alternatywnej zaprasza do muzycznego planetarium.

Dyrekcja sali koncertowej im. Fritsa Philipsa w Eindhoven zamówiła u Nica Muhly’ego napisanie utworu. 30-letni kompozytor muzyki współczesnej (współpracował m.in. z Philipem Glassem i Björk) zaprosił do udziału w projekcie kolegów rockmanów: gitarzystę Bryce’a Dessnera (The National), wokalistę Sufjana Stevensa i perkusistę Jamesa McAlistera. Prace trwały pięć lat, w ich efekcie powstał paramusical stworzony w hołdzie Układowi Słonecznemu. Kompozycje poświęcone są wszystkim planetom oraz Słońcu, a także Pasowi Kuipera czy czarnej dziurze.

Mimo że założenia wyglądały szalenie poważnie, muzycy podeszli do tematu z przymrużeniem oka. Ich kompleksowa muzyka rozpisana na kwartet smyczkowy, siedem puzonów, elektronikę i skład rockowy mieni się kiczowatością ścieżek dźwiękowych do filmów SF, pompatycznością dzieł Isao Tomity, pseudowzniosłością muzyki New Age czy ambient techno. Falset Sufjana Stevensa doskonale uzupełnia całość. Wokalista, wychodząc w tekstach od antycznych mitów, przechodzi do osobistych wspomnień i rozważań. Każdy z utworów przypomina muzyczny minidramat. Całość układa się w relaksującą podróż o wyraźnie melancholijnym charakterze, podczas której czasem rozbrzmiewają złowieszcze nuty. ©℗

★★★★☆☆

SUFJAN STEVENS/ NICO MUHLY/ BRYCE DESSNER & JAMES MCALISTER „PLANETARIUM” 4AD

★★★☆☆☆

KATY PERRY „WITNESS” CAPITOL

Na piąty album gwiazdy przyszło czekać cztery lata. Zaangażowała się w kampanię Hillary Clinton, u boku Madonny i Cher wzięła udział w Marszu Kobiet, by w końcu nagrać świetnie wyprodukowany electropopowy album pozbawiony wielkich piosenek. Na lato. ©℗

★★★★☆☆

MOBY & THE VOID PACIFIC CHOIR „MORE FAST SONGS ABOUT THE APOCALYPSE” LITTLE IDIOT

Elektroniczno-punkowi wymiatacze na tropie dokonań Trenta Reznora. Moby zachował zdolność do tworzenia zaraźliwych motywów, ale hitów na miarę „Porcelain” czy „Bodyrock” tu nie znajdziemy. Inny czas, inne problemy. ©℗

eprasa.pl 464d4774fb

TYGODNIK POLSKI DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + KSIĄŻKA RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA „ZŁOWROGI CIEŃ MARSZAŁKA”

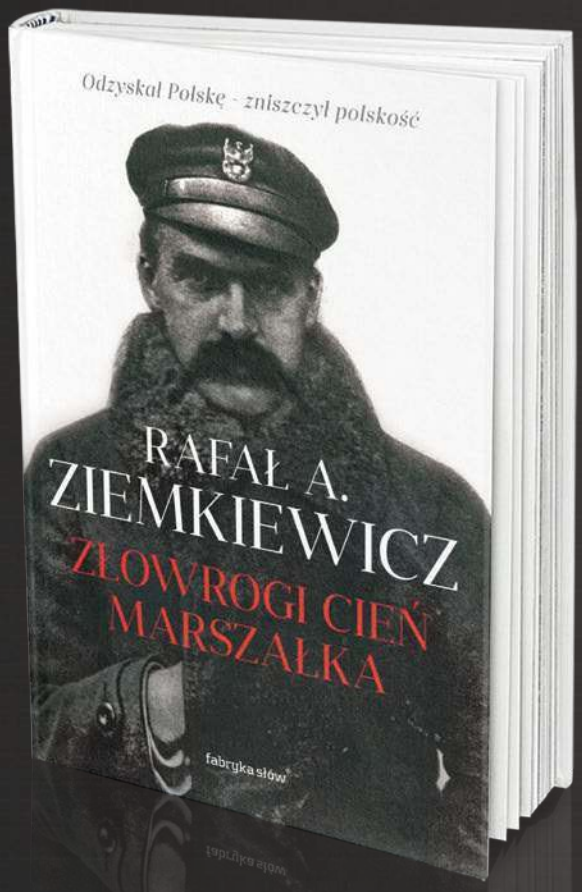

„Rzucam na Polskę za duży cień”, miał ponoć powiedzieć Marszałek, z właściwą swej starości megalomanią. Duży czy mały – nie w tym rzecz, ale w tym, że jest to cień, w którym nic dobrego nie może wyrosnąć. W którym kwitnąć może tylko wiara w prymitywne recepty, w to, że wszystko stać się może siłą ducha i mocą słuszności, że trzeba tylko znaleźć wodza, oddać mu się całą duszą i bić kurwy i złodziei, które On do bicia wskaże.

Odurzeniu postacią Józefa Piłsudskiego zawdzięczmy do dziś marność naszej niepodległości i to wszystko, co do cna nam ją obrzydza. Niesprawność państwa, bezkarność i wszechwładzę politycznych sitw, chroniczny stan niemożności, a nade wszystko plemienność życia politycznego, sprowadzonego do podjudzania Polaków przeciwko sobie.

140 zł

oszczędność 84 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 464d4774fb

Czy Unia wyjdzie z Unii?

Piotr Gociek

Nie straszcie polexitem. To nie Polska czy Węgry chcą wyjść z Unii Europejskiej. To stare kraje Unii nas opuszczają, budując sojusz silnych z silnymi, bogatych z bogatymi, „dawnych z dawnymi"

FOT. FOTOLIA

Spójrzmy trzeźwo na listę problemów w relacjach Polski z Unią Europejską oraz na problemy samej Unii. Problem pierwszy, oczywisty i najbardziej palący, to migranci. Niezależnie od marzeń George'a Sorosa i eurolewicy Europa nie jest w stanie bez szkody dla siebie wchłonąć milionów przybyszów z krajów muzułmańskich, którzy w dodatku nie chcą się z nią integrować. Ta prawda jest oczywista nawet dla rządów tych krajów, które do importu uchodźców zachęcały, nawet jeśli nie mogą o tym jeszcze głośno mówić najważniejsi zachodni politycy.

Sprawa jest jednak jasna – wewnętrzny front, czyli islamska terrorystyczna irredenta, jest już otwarty i nie ma co podsycać tego płomienia. Nikt nie panuje nad tym, kto i z jakiego powodu do Europy przybywa, nikt wreszcie nie ma na to wszystko pieniędzy. Przybywa krajów, które podobnie jak Polska twardo mówią „nie" przymusowej relokacji tzw. uchodźców, a Włosi grożą niewpuszczaniem do swoich portów statków zwożących kolejne tysiące migrantów.

Problem drugi, dużo poważniejszy, to próba odpowiedzi na pytanie, jak ma wyglądać Unia Europejska. W sferze ogólników łatwo przerzucać się gładkimi formułkami: zwolennicy zacieśniania współpracy kontra zwolennicy Europy ojczyzn. I kolejne dwa ogólniki: europejska integracja czy może Europa różnych prędkości? Jednak jak to w rzeczywistości ma wyglądać?

KTO NA POKŁAD, KTO ZA BURTĘ

Zacznijmy od oczywistości: Europa różnych prędkości już istnieje, istniała i istnieć będzie – nie ma równego traktowania wszystkich członków wspólnoty. Inne miejsce w Unii wywalczyli sobie kiedyś Brytyjczycy (teraz z Unii wychodzący), inne mają Grecy. Jedne kraje mają walutę euro, inne – nie. Silniejsi skuteczniej walczą o swoje interesy, a mniejszym partnerom zabraniają tego, na co same sobie pozwalają. Jakże wielu kwestii dotyczą te nierówności! Popatrzmy, co wolno stoczniom niemieckim, a co polskim. Jak trudno niemieckim koncernom otwierać gazety we Francji, a jak łatwo w Polsce. Dlaczego francuski rząd może okładać tamtejsze hipermarkety specjalnym podatkiem, a Węgrom i Polakom robić tego nie wolno. Długo by wymieniać.

Druga oczywistość – mówienie dziś o Europie różnych prędkości to tak naprawdę sugerowanie Europy tylko dwóch prędkości: dla dużych krajów starej Unii (i tych, które zostaną do tego grona doproszone) oraz peryferie. I tu trwająca w Polsce obecnie dyskusja staje się boleśnie nieadekwatna do rzeczywistości. Wejdźmy jak najszybciej do strefy euro, to nam zagwarantuje udział w „jądrze Europy" – nawołuje Nowoczesna Ryszarda Petru. Nie róbmy niczego, co irytuje Brukselę i Berlin, płyńmy jak kiedyś, głównym nurtem – podpowiada Platforma Schetyny – to wtedy nas zechcą na pokładzie. No i odsuńmy od władzy PiS w Polsce, a Orbána na Węgrzech, bo oni chcą wyprowadzić swoje kraje z Unii.

Wywróćmy ten stolik. Moja teza jest prosta: jeżeli w Paryżu i Berlinie (oraz kilku innych stolicach starej Unii) zostanie podjęta decyzja o budowie Europy dwóch prędkości, to Polska do „jądra" nie wejdzie, niezależnie od tego, kto będzie nią rządził i niezależnie od tego, jaką będziemy mieli walutę. Być może nie wypada tego głosić zawodowym politykom, ale publicyści mogą więcej, więc właśnie w tej chwili zapraszam do rozpatrzenia takiego scenariusza, który wydaje mi się najbardziej prawdopodobny. Europa pierwszej prędkości będzie porozumieniem starych przyjaciół we własnym gronie – nie będzie w niej miejsca dla

eprasa.pl 464d4774fb

partnera tak dużego i odmiennego jak Polska.

Czy to znaczy, że nowe państwa Unii powinny szykować się do jej opuszczenia albo że już (podpowiadają lewicowi publicyści i politycy) jej istnienie sabotują? Bzdura! Polska, Węgry czy tym bardziej Czechy albo kraje bałtyckie nigdzie się z Unii nie wybierają. Wbrew temu, co usiłują wmawiać obywatelom niektórzy politycy straszący nacjonalizmem i populizmem z Europy Środkowej, nowi członkowie wspólnoty wciąż widzą przynajmniej trzy fundamentalne powody, dla których Unia Europejska jest miejscem, w którym powinni się znajdować.

„PRAWDZIWA" EUROPA

Po pierwsze – gospodarka. Po drugie – bezpieczeństwo. Po trzecie – najmniej wymierne, ale chyba najważniejsze – poczucie przynależności do europejskiej wspólnoty, czyli do kręgu zachodniej cywilizacji. Spełnienie aspiracji kilku pokoleń. Każdy kolejny rok istnienia Unii w obecnym kształcie – od Atlantyku do Bugu, od Bałtyku do Bosforu – to kolejny krok w kierunku ostatecznego unieważnienia żelaznej kurtyny, Jałty i sowieckiej dominacji w regionie. Porzucenie tych aspiracji i unieważnienie dorobku ostatnich lat to polityczne samobójstwo.

Wygląda jednak na to, że szykuje nam się zupełnie inny „exit". Dzisiaj krajami, które są najbliższe opuszczenia Unii Europejskiej, są stare kraje Unii, jej zachodnie jądro. I nie mam tu wcale na myśli nastrojów, których wyrazicielami są we Francji Marine Le Pen oraz skrajna lewica (obydwie ekstremy chciały referendum w sprawie wyjścia Francji z UE).

Problem jest dużo poważniejszy. Pojawiające się w coraz poważniejszej formie i poważniejszym tonie sugestie, że Unia powinna stać się Europą dwóch prędkości, że stare „odpowiedzialne" kraje Zachodu powinny mocniej integrować się we własnym gronie – najlepiej wokół waluty euro, ze wspólnymi podatkami, sądownictwem etc. – to nic innego jak sygnał, że Europa pierwszej prędkości chce opuścić Unię Europejską. To znaczy – chce opuścić Unię Europejską w jej obecnym kształcie; Unię, która jest zbyt duża, zbyt trudna i krnąbrna do zarządzania, zbyt trudna do obrony, zbyt kosztowna dla zachodnich podatników.

W niektórych sprawach już ją opuszcza. Oto w chwili, kiedy dla Europy Wschodniej narasta zagrożenie ze strony putinowskiej Rosji, Niemcy deklarują, że ich wydatki na zbrojenia nie przekroczą 1,2 proc. PKB, podczas gdy polskie to 2 proc. PKB (a może wkrótce i więcej). Zaś Francja, Hiszpania i Włochy chcą się skupić na południowej flance Unii. Oznacza to de facto, że w kwestiach militarnych pozostawiają pas środkowoeuropejski do obrony Stanom Zjednoczonym. Forsowanie współpracy gazowej z Rosją w chwili, gdy Amerykanie są gotowi zalać świat gazem z łupków, oznacza, że Unia opuszcza nas także w kwestii bezpieczeństwa energetycznego.

A jeśli chodzi o wspólny biznes… Cóż, o rosnącej niechęci do polskiej konkurencji na wolnym rynku już wspomniałem, ale zwróćmy uwagę jeszcze na jedną rzecz. Kapitał ma narodowość, a państwo ma istotne funkcje do spełnienia, w dodatku powracają czasy protekcjonizmu gospodarczego. Stąd i w Polsce mówi się o odzyskiwaniu przez Polaków kontroli choćby nad sektorem bankowym. Jednak sukces dzisiejszej renacjonalizacji banków w Polsce nie wynika wcale z tego, że dokonaliśmy jakiegoś tytanicznego wysiłku, by z rąk niechętnych partnerów odzyskać klejnoty koronne. Nie, udało się to zrobić, bo owi partnerzy z robienia biznesu w tej części Europy po prostu rezygnują. Częściowy europejski „banxit" z Polski jest już faktem. I jakim świetnym interesem się okazał (dla nich, nie dla nas): kupione za bezcen banki przez długie lata zarabiały krocie, transferowały zyski do krajów macierzystych, a kiedy już te zyski wielokrotnie zwróciły koszt zakupu, te same banki odsprzedano polskiemu państwu za kwotę wyższą od tej, za którą je kupiono.

To nie Polska wychodzi z Unii Europejskiej. To stara Europa opuszcza Polskę i region. Francuzi mają pretensje do Polaków, że zabierają im miejsca pracy, bo efektywniej i taniej produkują te same rzeczy w Polsce. Niemcy mają pretensje do Polaków, że psują im rynek pracownika, wożąc towary taniej i efektywniej jak Europa długa i szeroka. Brytyjczycy mają pretensje do Polaków, że ci zabierają im pracę na miejscu, na Wyspach. W dodatku chciwi wschodni Europejczycy zamiast być wdzięczni, że ową pracę na Zachodzie w ogóle dostali, wyciągają jeszcze swoje antysemickie łapska po zasiłki rodzinne i inne formy socjalu. A te przecież należą się tylko „prawdziwym" Europejczykom. Tym zachodnim. Stara Europa opuszcza nas nawet w sferze wartości, na których została zbudowana, takich jak wolność słowa. Bo w Niemczech wolnością słowa jest cenzura mediów w sprawie uchodźców, a Polska rzekomo tę wolność łamie, kiedy publiczne media przestają całą dobę wychwalać politycznych sojuszników Brukseli i Berlina.

Strategia Zachodu wydaje się ryzykowna. Nam na pewno – ale spójrzmy na rzecz z innej perspektywy. Jeżeli celem budowy Europy pierwszej prędkości jest sojusz silnych z silnymi, bogatych z bogatymi, „dawnych z dawnymi", to powrót do silnego wąskiego klubu euro nie wydaje się złym pomysłem. Poza granicami tego klubu pozostanie zaś szeroki pas buforowy, strefa niczyja, Dzikie Pola, za które Bruksela wreszcie nie będzie musiała ponosić odpowiedzialności. Ci irytujący Bałtowie, którzy drażnią niepotrzebnie Rosję. Denerwujący Polacy ze swoim katolicyzmem, rzekomo odpowiedziani za Holokaust. Węgrzy, którzy są „proputinowscy", bo robią energetyczne deale z Rosją, choć przecież to samo robią Niemcy. Bezczelni Rumuni, którzy ośmielili się stać drugą – po Marokańczykach – mniejszością narodową w Hiszpanii. Dajcie wy nam wszyscy spokój!

WYRZUCIĆ BARBARZYŃCÓW

Sto lat po zakończeniu I wojny światowej, w wyniku której państwa naszej części Europy pojawiły się znów na mapie jako samodzielne byty, wciąż jesteśmy traktowani tak, jak podpowiadają to stereotypy sprzed stulecia. Wedle tych stereotypów nasz region to kraina dzikich gór, dzikich lasów i dzikich ludzi z ich operetkowymi dyktatorami oraz niezrozumiałymi narodowymi obsesjami. Niedorośli do Zachodu i demokracji. Po co te stereotypy pielęgnować? Ponieważ dzięki temu łatwiej tych barbarzyńców będzie opuścić. Prawda nie ma znaczenia.

Nadzieja nie w przyjęciu euro albo podlizywaniu się Brukseli, tylko w tym, że znajdą się na Zachodzie elity, które nie podzielają tego punktu widzenia. Które zrozumieją, że wspólnota europejska pojedzie dalej na dwóch silnikach: francusko-niemieckim oraz silniku Trójmorza. Jeśli tak się nie stanie, to stoimy nie w obliczu pytania: „Czy Unia Europejska wyjdzie z Unii?", tylko pytania: „Kiedy to się stanie?". Co wtedy? Nad tym już dziś powinni zastanawiać się polscy politycy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Katar i Turcja uczą nas

Witold Repetowicz

Ośrodki propagandowe reżimów znanych z łamania praw człowieka dołączyły do krytykowania polskiej demokracji. To szersza gra informacyjna w sprawie migrantów

Na początku czerwca katarska telewizja Al-Dżazira nadała materiał zatytułowany „Skomplikowana historia polskich uchodźców w Iranie". Na portalu internetowym tego medium już w podtytule nie pozostawiono żadnych wątpliwości, że nie chodzi o przypomnienie tragicznej karty z naszej historii, lecz o oskarżenie Polaków, iż sami otrzymali pomoc, a teraz „zatrzasnęli uchodźcom drzwi przed nosem".

Wątek związany z obecnością polskich uchodźców w Iranie od dawna przewija się w polskich mediach liberalnych jako rzekomy dowód na to, że mamy moralny dług do spłacenia. Oczywiście pomija się w tym to, co jest najważniejsze: Polacy nie planowali zostać w Iranie. Znaleźli się w nim, gdyż był to pierwszy kraj graniczący ze Związkiem Sowieckim, z którego musieli się ewakuować. Ich celem było dostać się do Polski, a nie łatać dziurę na irańskim rynku pracy ani pobierać zasiłki. Mężczyźni w wieku poborowym zaś niezwłocznie opuścili Iran, by walczyć o Polskę. Faktem jest, że Irańczycy okazali się bardzo gościnni, choć decyzja o przyjęciu Polaków nie była ich decyzją, lecz mocarstw alianckich okupujących wówczas Iran (przede wszystkim Brytyjczyków). Po zakończeniu II wojny światowej tylko nieliczne Polki, które wyszły za mąż za Irańczyków, zostały w tym kraju. Ich dzieci są muzułmanami.

O tych różnicach Al-Dżazira nie wspomina. Zamiast tego sugeruje, że Polacy nie chcą o tym pamiętać, bo nie chcą pomagać „uchodźcom", którzy jakoby są obecnie w podobnej sytuacji jak Polacy przybywający do Iranu w 1942 r. Materiał zmontowany jest perfidnie, tak by odbiorca miał wrażenie, że to obiektywny przekaz. To charakterystyczne dla Al-Dżaziry, a przynajmniej jej anglojęzycznej wersji. Ta katarska tuba propagandowa nie ma nic wspólnego z obiektywizmem, wręcz przeciwnie – oskarżana jest (nie bez powodów) o propagandowe wspieranie terrorystów.

PROPAGANDOWY PROJEKT

Al-Dżazira została stworzona w 1996 r. przez jednego z książąt nale-

eprasa.pl 464d4774fb

demokracji

FOT. THOMAS KOEHLER/PHOTOTHEK/GETTY IMAGES

żących do panującej w Katarze rodziny Al-Sani. Była to część planu ówczesnego emira tego arabskiego państewka dotyczącego stworzenia miniimperium na podstawie środków tzw. soft power – fundacje charytatywne, media, a także finansowanie organizacji terrorystycznych typu Bractwo Muzułmańskie i Al-Kaida. Emir Hamad bin Chalifa al-Sani, ojciec obecnego władcy Kataru, objął władzę raptem rok wcześniej, obalając swego ojca w bezkrwawym puczu.

Projekt propagandowy szybko nabrał rozmachu. W 2003 r. powstał anglojęzyczny portal Al-Dżaziry, a w 2005 r. ruszyła anglojęzyczna wersja tej telewizji. Katar przeznaczał ogromne środki na ten projekt, zatrudniając dziennikarzy, tworząc nowoczesny image tej machiny medialnej, tak by wzbudzić zaufanie odbiorców. I udało się. W dodatku powstawały kolejne klony tego medium: m.in. otwarta w 2011 r. Al-Dżazira bałkańska, nadająca z Bośni, a w 2014 r. aplikacja AJ+ nadająca krótkie formaty (np. filmiki) w sieciach społecznościowych.

Ekspansji propagandowej Al-Dżaziry w ostatnich latach sprzyjało spadające zaufanie do głównych zachodnich sieci medialnych typu CNN. Ludzie chcieli czegoś nowego w miejsce „amerykańskiej propagandy" i trafili z deszczu pod rynnę. Innym korzystnym czynnikiem było to, że po wybuchu tzw. arabskiej wiosny w 2011 r. (która jest głównym powodem obecnego kryzysu migracyjnego) wiele europejskich mediów nie chciało ponosić kosztów wysyłania swoich reporterów na Bliski Wschód. Uznano, że lepiej ściągać newsy z Al-Dżaziry. Tymczasem Al-Dżazira nie mogła informować bezstronnie o wydarzeniach toczących się w świecie arabskim od 2011 r., gdyż Katar był w nie głęboko zaangażowany. I to po stronie terrorystycznych grup dżihadystycznych, np. Dżabat al-Nusra w Syrii, która była filią Al-Kaidy. W tym przypadku znów zadziałała „soft power", za której pomocą propagowano tezę o rzekomej niezależności Al-Dżaziry.

Przekaz Al-Dżaziry w odniesieniu do wydarzeń tzw. arabskiej wiosny był jasny. Wspierani przez Katar dżihadyści wywodzący się z kręgów Al-Kaidy i Bractwa Muzułmańskiego stali się miłującymi wolność demokratami. To ta właśnie machina propagandowa przyczyniła się do popularyzacji terminu „umiarkowani rebelianci" i odnoszenia go do obcinających głowy bandytów z Al-Nusry. W maju 2015 r. arabska wersja Al-Dżaziry nadała program pt. „Czy powinniśmy zabić wszystkich alawitów?", którego narzuconą z góry konkluzją było: tak, razem z kobietami, dziećmi, należy wymordować przeszło milion członków tej grupy religijnej. W tym samym czasie to samo medium w swej anglojęzycznej wersji ogłosiło, że z szacunku dla człowieka będzie nazywać migrantów zmierzających do Europy uchodźcami. I znów większość europejskiej opinii publicznej to kupiła.

NOWA MISJA

Wkład Al-Dżaziry w nieszczęścia, jakie spadły na Bliski Wschód i Afrykę Północną po 2011 r., był nie do przecenienia. Zresztą w Bośni, gdzie w 2011 r. również zagnieździła się ta propagandowa machina, szybko zaczęły powstawać zamknięte wsie, otwarcie wspierające Państwo Islamskie. W świecie arabskim wiodło się jej nieco gorzej, m.in. wygnano ją z Egiptu, a w Iraku ludzie uznawali ją za wspierającą terrorystów i dążącą do zniszczenia ich kraju.

Kilkanaście miesięcy temu Al-Dżazira, a w szczególności AJ+, odkryła swoją nową misję: nauczyć Europę i USA demokracji oraz tolerancji. Z twitterowego konta AJ+ wyłania się świat, w którym największym problemem jest prześladowanie muzułmanów przez niemuzułmanów. Co chwila widać, jak rasiści w Europie czy Ameryce napastują jakąś muzułmankę za noszenie chusty albo biją chłopaka, bo ma bliskowschodni wygląd. Do tego dochodzą: prześladowanie innych mniejszości, rasizm, łamanie praw kobiet i oczywiście prześladowanie gejów. AJ+ mocno zaangażowała się również w przedwyborczą demonizację Trumpa jako rasisty, mizogina, antysemity, homofoba i islamofoba.

eprasa.pl 464d4774fb

Oczywiście machina propagandowa Al-Dżaziry starannie unika tematu, jak to wszystko wygląda w Katarze.

A to monarchia absolutna, w której nie ma żadnych wyborów ani realnego parlamentu, co oczywiście nie przeszkadza mu szerzyć „wolności i demokracji" w Syrii czy Libii. Tak skutecznie, że potem setki tysięcy ludzi ciągną do Europy, uciekając przed katarską demokracją. W Katarze obowiązuje też szariat, a homoseksualizm karany jest więzieniem. Kara śmierci grozi za to za apostazję, czyli odejście od islamu, a chrześcijanie i wyznawcy innych religii wprawdzie mogą odbywać swoje ceremonie, ale tak, by nie rzucać się w oczy muzułmanom.

W materiale Al-Dżaziry o rzekomym braku demokracji i nietolerancji w Polsce jako eksperci występują przedstawiciele „GW", m.in. Konstanty Gebert FOT. YOUTUBE

ATAKI NA POLSKĘ

Materiał o uchodźcach polskich w Iranie nie był bynajmniej pierwszym atakiem Al-Dżaziry na Polskę. W grudniu 2016 r. na jej stronie internetowej ukazał się reportaż o „masowych protestach" Polaków przeciwko „populistycznemu rządowi" i w obronie „wolności mediów". W charakterze ekspertów w materiale tym wystąpiły Monika Olejnik i przedstawicielka Krytyki Politycznej.

W kwietniu Al-Dżazira nadała natomiast film rozpoczynający się od muzyki wprowadzającej w klimat grozy. Później medialni agenci absolutystycznego władcy Kataru finansującego terroryzm alarmowali, że demokracja w Polsce jest zagrożona, bo nacjonalistyczny rząd doprowadził do kryzysu konstytucyjnego, ksenofobii i rasowej nietolerancji. Dalej w materiale jest tylko gorzej: policja pałuje demonstrantów, prawica bije imigrantów, uchodźców, muzułmanów etc., szerzą się antysemityzm i homofobia, media zostały podporządkowane władzy, a wszystko przez Kaczyńskiego, który jakoby oszalał po śmierci brata. Za ekspertów robią przedstawiciele „Gazety Wyborczej", organizacji Nigdy Więcej i lobby działającego na rzecz sprowadzania migrantów do Polski. Szczególnie komiczny jest wątek rzekomego antysemityzmu Polaków i udział w filmie publicysty „GW" Konstantego Geberta, zważywszy na to, że Katar sponsoruje palestyńską organizację Hamas zwalczającą Izrael wszelkimi dostępnymi metodami.

Katar nie jest jedynym totalitarnym reżimem troszczącym się o demokrację w Polsce. W marcu turecki instytut SETA wydał drugą już edycję „Raportu na temat islamofobii w Europie", w którym 27 krajów, w tym Polska, doczekało się odrębnych rozdziałów. Przedsięwzięcie to prymitywnie małpuje coroczne raporty dotyczące praw człowieka wydawane przez takie organizacje jak wspomniany Freedom House i Reporterzy bez Granic. Wystarczy jednak spojrzeć na powiązania kierownictwa tej pseudobadawczej, a w istocie propagandowej instytucji, by wszystko stało się jasne. Jej założycielem jest islamski teolog Ibrahim Kalin, od 2014 r. jeden z najbliższych doradców prezydenta Turcji Erdoğana, natomiast dyrektorem zarządzającym – Burhanettin Duran, zwolennik islamizacji Turcji i publicysta anglojęzycznej tureckiej wersji „Trybuny Ludu", czyli dziennika „Daily Sabah". Zdaniem Jana Wójcika, redaktora naczelnego portalu Euroislam.pl, ścisłe związki SETA z rządzącą w Turcji partią AKP nie budzą wątpliwości, a celem propagowania tezy o szalejącej w Europie islamofobii jest konsolidacja islamistycznego elektoratu wobec tureckiego przywódcy. Ma to też służyć odwróceniu uwagi od sytuacji wewnętrznej w Turcji, w której w więzieniach przebywa kilkadziesiąt tysięcy więźniów politycznych, w tym 240 dziennikarzy, a na terenach kurdyjskich wojsko bezkarnie morduje cywili.

Jest jeszcze inny cel tej publikacji: pogłębienie kryzysu migracyjnego. Turcja razem z Katarem odegrała kluczową, negatywną rolę w obecnym kryzysie na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej, popierając dżihadystów m.in. w Syrii i Libii. W Libii pozwoliło to na otwarcie śluzy, przez którą do Europy przedostają się afrykańscy migranci. Turcja stymulowała też napływ migrantów na greckie wyspy, chcąc w ten sposób zdestabilizować Europę i wymusić 6 mld euro za wstrzymanie tych działań (oficjalnie na pomoc dla uchodźców).

Tymczasem raport SETA, w szczególności rozdział o Polsce, koncentruje się na kwestii stosunku do przyjmowania migrantów, co ma być dowodem na szalejącą islamofobię. Jednym z podanych tam przykładów jest okładka „Do Rzeczy" pokazująca migrantów na Bałkanach oraz tytuł artykułu Rafała A. Ziemkiewicza zatytułowany: „To najeźdźcy, nie uchodźcy". Dalej znajduje się wyliczanka wszystkich chuligańskich wybryków, które można jakoś podciągnąć pod islamofobię, ksenofobię lub rasizm, wymieszana ze sprzeciwem wobec polityki otwartych drzwi dla migrantów. Autor tego rozdziału – Konrad Pędziwiatr z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie – w odpowiedzi na wiadomość e-mail oświadczył, że nie miał świadomości reżimowych związków SETA i nie zamierza dłużej współpracować z tą instytucją. Był jednak również autorem polskiego rozdziału w pierwszej edycji w 2015 r.

Tymczasem SETA brnie dalej i w materiale z kwietnia 2017 r. ogłosiła Polskę „nowym graczem w islamofobicznej grze".

Gdy będąc w Iraku, powiedziałem, że Al-Dżazira chce uczyć Polskę demokracji, odpowiedzią była salwa śmiechu. U nas te propagandowe zabiegi bierze się niestety całkiem serio.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Brnijmy w to dalej!

W dzisiejszych czasach, kiedy media służą dezinformacji, a nie informacji, trudno oddzielić fakty od konfabulacji. Tym bardziej że fakty są niekiedy bardziej absurdalne niż konfabulacje.

Dlatego z pewną ostrożnością przyjąłem wiadomość o pierwszej prostytutce patriotce, która oferuje usługi seksualne jedynie prawdziwym Polakom, kochającym swoją ojczyznę. Narodowcy są szczególnie mile widzianymi klientami i chyba nawet mogą liczyć na zniżki, a może i – kto wie? – na jakiś mały bonus.

Wiadomość może budzić wątpliwości. Bo jakże owa pani ma weryfikować patriotyzm usługobiorców? Trzeba mieć odpowiedni tatuaż? Zaświadczenie o rocznej prenumeracie „Gazety Polskiej"? Certyfikat od Antoniego Macierewicza? Skalp lewaka? Trochę to mętne, ale oddaje pewien trend. Otóż bez wątpienia wojna polsko-polska wżera się coraz głębiej w społeczną tkankę, dotykając nawet tak – wydawałoby się – neutralnej ideologicznie sfery jak rynek szeroko rozumianych usług.

Zaczęło się chyba od kuriera z Wrocławia, który bohatersko odmówił dostarczenia przesyłki do lokalnej siedziby „Gazety Wyborczej" i był za to fetowany w wielu społecznościowych wpisach oraz na prawicowych portalach. Przedstawiano go tam, o dziwo, nie jako świra, lecz wzorzec patriotycznej postawy. Obecna opozycja podjęła to wyzwanie i co bardziej egzaltowane jej przedstawicielki ogłosiły, że ich noga nie postanie na stacjach Orlenu oraz nigdy nie ubezpieczą się w PZU. Lewica wezwała też do bojkotu Cisowianki, ponieważ właściciel tej marki reprezentuje postawę pro-life, co naturalnie wymaga ukarania.

Super, brnijmy w to dalej. Niech zideologizowany będzie najdrobniejszy fragment naszego życia codziennego! Niech w miastach pojawią się prostytutki, które będą się oddawać jedynie działaczom KOD! Dlaczego narodowcy mają być seksualnie uprzywilejowani? Niech hydraulicy jasno deklarują, co sądzą o Kaczyńskim! Niech kelner, przed przyjęciem zamówienia, ostro zarysuje swoje stanowisko w sprawie Trybunału Konstytucyjnego! W końcu nie można przyjąć kieliszka wódki od człowieka, który wielbi Rzeplińskiego. Trzeba się szanować. Niech motorniczy tramwaju linii 10 nie milczy nienawistnie, tylko powie bez owijania w bawełnę: TVP Info czy TVN24! I niech babcia klozetowa wywiesi wystraczająco dużą tabliczkę z informacją: „Tak, tu wypróżniamy się na Trumpa. To lewacki kibel"! A ratownik na plaży ratuje wyłącznie tych, którzy są za życiem. No bo po co ratować tych, którzy nie są?

Potrzebny jest jakiś sygnał będący ideologiczną deklaracją. Żeby nie tracić czasu na dopytywania i testy. Może jakaś opaska za ramię? Biało-czerwona albo niebieska z żółtymi gwiazdkami? Bez tego kiedyś jakaś lewaczka zakocha się w PiS-owcu i dopiero będzie tragedia. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Mały słownik platformersa

do użytku zewnętrznego

aPIS – złoty cielec – Kaczyński staroegipski
długoPIS – koszmarna perspektywa opozycji
ePISkopat – kościelny fanklub partii rządzącej
ePISstoła – sejmowe wystąpienie pani premier
koPISta – ten, który cytuje prezesa na forum publicznym
laPIS lazuli – kamień półszlachetny na kuwetę dla I kota IV Rzeczypospolitej
naPIS! – hasło nagonki!
PISa – ideał budowlany rządu Beaty Szydło, nawet wieża jest krzywa!
PISka Puszcza – tam ukryje się przed strzelbą Komorowskiego Andrzej Duda po kolejnych wyborach
PISmak – sprzedajny żurnalista z mediów narodowych
PIStorius – sympatyk Kaczyńskiego z RPA
PIStolet – ostateczny argument w dyskusji
PISzczałka – posłanka Zjednoczonej Prawicy
przePIS – recepta na mowę nienawiści
rozPISka – nocna akcja CBA i ABW
scenoPIS – precyzyjny program wprowadzanie dyktatury
sPISek – idée fixe Antoniego Macierewicza
traPISta – pozbawiony wpływów były członek Zakonu PC
woPISta – strażnik graniczny po wyprowadzeniu Polski z Europy
wyPISy – fala emigracji ludzi wyjątkowych kast po wyborach ponownie wygranych przez prawicę...

Itd. ©℗

eprasa.pl 464d4774fb

WYWIAD NIEAUTORYZOWANY

Z Katarzyną Lubnauer, wiceprzewodniczącą Nowoczesnej
rozmawia Marek Migalski

Hasło „antypisu" to za mało

MAREK MIGALSKI: Pani jest wiceprzewodniczącą której partii?

KATARZYNA LUBNAUER: Nowoczesnej Ryszarda Petru.

Czy to nie jest żenujące? Ten dodatek?

Byłam zwolennikiem tego, by partia się tak nazywała. W pierwszym okresie Ryszard Petru był bardziej rozpoznawalny niż Nowoczesna.

To było dwa lata temu.

Zmiana nazwy wymaga zmiany statutu. I gdy będziemy go zmieniać, możemy też o tym pomyśleć. I myślę, że to będzie inicjatywa samego Ryszarda Petru.

Zgodzi się pani ze stwierdzeniem, że Petru jest waszym największym obciążeniem i zaletą zarazem?

Gdyby nie było Petru, to nie byłoby Nowoczesnej.

Pani wie, że to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Dzisiaj program partii nie jest tylko programem Ryszarda Petru. Jestem zresztą współautorką tego programu.

To znów nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Jeśli chce pan porozmawiać o zaletach i wadach Ryszarda Petru, to proszę się z nim umówić na spotkanie.

Ocena szefa jest dla pani niezręczna?

Dzisiaj Nowoczesna to już nie tylko Ryszard Petru. To już spore grono ludzi: Paweł Rabiej, Adam Szłapka, Joanna Scheuring-Wielgus, Barbara Dolniak…

Jeśli chce pani wymieniać nazwiska wszystkich posłów, to nam nie wystarczy miejsca.

Chodzi o to, że mamy cały zespół ludzi bardzo aktywnych.

Tym bardziej zmiana nazwy partii wydaje się zasadna.

To naturalna kolej rzeczy. To jednak musi być inicjatywa samego przewodniczącego.

Sondaże nie są dla was korzystne.

Nie zgadzam się. Jest odbicie w górę.

Czyli kongres dał wam trochę tlenu?

Ładne określenie. Kongres był nowym otwarciem.

Jesteście dziś partią lewicową?

Nie. Jesteśmy partią liberalną. I gospodarczo, i światopoglądowo. Należymy do ALDE.

Czy dla was większym zagrożeniem nie jest wzrastająca w siłę lewica, a nie PiS?

PiS jest socjalny ekonomicznie i konserwatywny aksjologicznie. Socjalnie PiS niszczy lewicę, bo przejął część ich postulatów i dokonuje dużych transferów ekonomicznych z budżetu państwa do społeczeństwa.

Czemu wy jesteście przeciwni.

Czemu my jesteśmy przeciwni. Jeśli chcemy w przyszłości być bogatym krajem, to obecnie musimy postawić na rozwój.

Jednak ten wasz liberalizm rodem z lat 90. jest dziś anachroniczny.

Nie mówimy o takim neoliberalizmie, lecz o dobrze zorganizowanym państwie.

Petru jest jednak twarzą tego naiwnego neoliberalizmu lat 90.

W dalszym ciągu chce pan robić wywiad z Ryszardem Petru? Nasz program to program dobrze zorganizowanego państwa.

Wbrew opinii większości Polaków chcecie przyjęcia euro.

Tak. Po pierwsze dlatego, że 75 proc. mniejszych i średnich przedsiębiorców uważa, iż przyjęcie euro ułatwiłoby im działalność, bo pozbyliby się wówczas ryzyka kursowego. Po drugie, przyjęcie euro wzmacnia nasze bezpieczeństwo.

Uważa pani, że Estonia jest bardziej bezpieczna i mniej narażona na agresję rosyjską, bo ma euro?

Chodzi o bezpieczeństwo związane z pozycją w UE. Bycie w strefie euro to bycie w centrum Unii, także w sferze bezpieczeństwa i wspólnej polityki obronnej. Chcemy, by Polska tam była. To lepsze niż idea Międzymorza, lansowana przez obecną ekipę.

Rząd traktuje tę ideę jako wzmocnienie nas wewnątrz Unii.

Tylko że PiS podchodzi do tego tożsamościowo, podczas gdy inne kraje traktują ten projekt czysto funkcjonalnie, jako współpracę w dziedzinie handlu lub transportu.

Takie podejście by wam nie przeszkadzało?

Nie. Jesteśmy jedynie przeciwni, by było to budowane w kontrze do integracji europejskiej.

FOT. ŁUKASZ KAMIŃSKI/FORUM

Chcecie przyjęcia uchodźców. Polacy tego nie chcą. Wychodzi na to, że jesteście partią antypolską.

W 2015 r. 51 proc. Polaków było za przyjęciem uchodźców.

Jednak PiS przekonał ich od tamtego czasu, by zmienili poglądy.

Ponieważ PiS ma narzędzia. Na przykład w postaci mediów publicznych, które epatują zagrożeniami.

Przecież wy macie swoje narzędzia, których nie wykorzystujecie.

eprasa.pl 464d4774fb

Ludzie słabiej wykształceni i mający dostęp tylko do tego typu mediów mogą się bać, będąc pod wpływem tej propagandy.

Marudzenie opozycji. Od tego macie pieniądze i struktury, by ich przekonać do swoich racji.

Jeśli porównamy nasze zasoby finansowe z zasobami PO czy PiS, chociażby wynikające z dotacji, to widzimy różnicę.

To jednak trochę wasza wina, bo zawaliliście w tej sprawie na całej linii.

Pomyliliśmy się przy jednym przelewie. To klasyczny czeski błąd. Złożyliśmy wniosek do trybunału w Strasburgu. To tak mały błąd, że nie powinien się przekładać na tak wielką karę, jaką ponieśliśmy.

Mogę się z panią zgodzić. Nie zmienia to faktu, że to był wasz błąd.

Nawet jeśli zgodzić się z tym, co pan mówi, to jednak nie może pan porównywać siły tych narzędzi, które ma partia rządząca. Media publiczne, na które wydajemy 1 mld zł rocznie, są narzędziem propagandy rządu. Codziennie dostarczają ludziom informacje, które są z gruntu fałszywe. Czego sama zresztą doświadczyłam.

Czy nie popełniacie politycznego samobójstwa, otwierając się na uchodźców i na euro, jeśli większość Polaków jest im przeciwna?

Należy być uczciwym wobec wyborców. Zresztą patrząc na to, co ostatnio dzieje się w Europie – zwycięstwo Ruttego czy Macrona – to widać, że ugrupowania, które uczciwie podchodzą do problemów, odnoszą sukces. Poza tym jestem zwolennikiem ciągłości państwa. I jeśli poprzedni rząd do czegoś się zobowiązał, to obecny powinien to wypełnić.

Chyba że wypowie umowę, którą uzna za złą dla kraju.

Siedem tysięcy uchodźców to nie jest duża liczba. Polska mogłaby ich wchłonąć w sposób niezauważalny. Przyjęliśmy 80 tys. Czeczenów, więc i tym razem nie byłoby problemów. Za poprzednich rządów PiS przyjęliśmy zresztą 20 tys. Czeczenów. Te 7 tys. to jeden uchodźca na 5,4 tys. Polaków. Ci ludzie nie zagrażają bezpieczeństwu Polaków i trzeba im to odważnie powiedzieć. Warto też odważnie mówić wyborcom, że jeśli chcemy mieć wyższe emerytury, to nie możemy obniżać wieku emerytalnego, a program „500+" warto zamienić na „Aktywną rodzinę", bo ma on wiele zalet, których nie ma program „500+". Wierzę, że w społeczeństwie będzie się powiększała grupa osób, które chcą znać prawdę.

Teraz sobie uświadomiłem, że Nowoczesna idzie w poprzek nastrojów społecznych prawie we wszystkich ważnych sprawach: euro, uchodźców, wieku emerytalnego, „500+". Czy to nie jest wytłumaczenie faktu, że wy macie od 5 do 10 proc., a PO od 25 do 30 proc.?

Po to się idzie do polityki, by realizować swoje poglądy i program, a nie by je dostosowywać do sondaży.

Jarosław Kaczyński chyba zgodziłby się z tą tezą.

(śmiech). Cieszę się, że on mógłby się ze mną zgodzić, zwłaszcza że ja mam kłopoty, by zgadzać się z nim w jakiejkolwiek kwestii. Wracając do polityki: wierzę, że będzie rosło zapotrzebowanie na uczciwość. Jeśli ktoś tak jak PO podwyższa najpierw wiek emerytalny, bo system się nie spina, a potem głosi, że nie trzeba podnosić wieku emerytalnego i można ufundować 13. emeryturę, to myślę, że duża część Polaków ma poczucie, iż ktoś ściemnia.

Wbija pani szpilę w PO, bo to wasza konkurentka w walce o głosy wyborcze.

Myśmy do polityków PO wielokrotnie apelowali, by nie ścigali się na demagogię i populizm z PiS, bo w ten sposób budują właśnie poparcie dla PiS. Jeśli bowiem ktoś w opozycji idzie w populizm, to znaczy, że potwierdza, iż działania populistyczne partii rządzącej są usprawiedliwione.

Sondaże są jednak dla was bezwzględne: ta populistyczna, klucząca i koniunkturalna Platforma idzie prawie łeb w łeb z PiS, a wy z Kukiz'15 lub SLD.

Myślę, że nasze obecne sondaże nie mają nic wspólnego z naszymi poglądami.

Słucham?

Nie musi być korelacji między tym, co głosimy, a tym, jakie mamy poparcie.

Odważna teza.

Sondaże są pochodną wielu rzeczy, nie tylko programów. Na przykład PO odebrała niesamowitą premię za ponowny wybór Tuska na szefa RE. A to nie miało nic wspólnego z głoszonymi przez tę partię poglądami.

To straszne, co pani mówi: poparcie dla partii w Polsce nie ma związku z głoszonymi przez nie programami.

Aż tak nie jest (śmiech). Jesteśmy jednak w stanie przebić się z naszym przekazem do Polaków i mamy nadzieję, że idea nowoczesnego, dobrze zarządzanego, świeckiego państwa znajdzie poparcie społeczne. Wiem jednocześnie, że to, co robi PiS, będzie powodować, iż pewne dziedziny życia będą pogrążać się w chaosie. Tak się np. będzie działo z edukacją lub ze służbą zdrowia. I Polacy to ocenią.

No to zastąpi ich PO, a nie wy.

Nie sądzę, bo w tych sprawach PO też dała…

Ciała?!

To pan powiedział.

Jednak pani pomyślała.

(śmiech). PO nie zaproponowała żadnych sensownych rozwiązań, które poprawiłyby sytuację w służbie zdrowia. I to nie jest kwestia liberalizmu lub jego braku. To, czego oczekują przedsiębiorcy, to jasne reguły gry, brak chaosu prawnego, niepewności, traktowania ich jak potencjalnych przestępców. My to gwarantujemy.

A nie przekonuje pani ostatni sondaż, w którym połączone siły PO oraz Nowoczesnej pokonują PiS i mają samodzielną większość?

Mam głębokie przekonanie, że ten sondaż służył tylko jednemu: PiS próbuje obecnie za pomocą dwóch komisji śledczych pogrążyć PO, i ma ku temu sporo podstaw, bo to, co się działo wokół reprywatyzacji w Warszawie czy w sprawie Amber Gold, pokazuje przykład tzw. pasywnego państwa, czyli państwa nieradzącego sobie z problemami.

I to było państwo Platformy.

To było państwo Platformy. I bardzo wygodnie jest PiS przyklejać do tego Nowoczesną, która z tymi praktykami nie miała nic wspólnego. Stąd ten sondaż.

Czy to znaczy, że wyklucza pani pójście do wyborów wspólne z PO na jednej liście w 2019 r.?

Musielibyśmy mieć ku temu jakieś wspólne minimum programowe. Jeżeli tego nie będzie, to trudno myśleć poważnie o jednej liście wyborczej. Samo hasło „antypisu" to trochę za mało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Piotr Semka

300 lat temu przyszła na świat Maria Teresa Habsburg – najpotężniejsza kobieta z tego rodu cesarskich władców. „Habsburgom raz trafił się prawdziwy mężczyzna, a i on jest kobietą" – kpił za jej życia Fryderyk Pruski, ale był w tej złośliwości skrywany respekt

FOT. WIKIPEDIA

Matka Austrii ze skazą

Bez reform „matki na tronie" imperium habsburskie nie weszłoby tak sprawnie w XIX w. To w ślad za jej rozkazem sprzed ponad dwóch setek lat gmachy od Cieszyna do Triestu i Wojwodiny do dziś tynkowane są w kolorze „żółci Marii Teresy". To ona wprowadziła powszechny obowiązek szkolny i jako pierwsza przeciwstawiła się „duchowi Prus". Słynne srebrne talary Marii Teresy krążyły po Afryce jako ceniona moneta wymienna jeszcze w wiekach XIX i XX. Polacy pamiętają jej udział w rozbiorach naszej ojczyzny, choć działo się to u schyłku kariery Marii Teresy, gdy współrządził państwem jej syn – cesarz racjonalista Józef II.

Dzisiejsza Austria, wciąż szukająca swojej własnej tożsamości, uczciła władczynię całą serią wystaw rocznicowych w Wiedniu i okolicach.

BEZ MARII TERESY ANI RUSZ

„Nic nie dzieje się bez jej udziału" – żartują austriaccy politycy. Istotnie wszystkie zaprzysiężenia kolejnych rządów Austrii, które miały miejsce od 1951 r. w gabinecie prezydenta w Hofburgu, odbywają się na tle wielkiego portretu Marii Teresy. Niegdyś otaczały go dwie flagi austriackie, a od 1994 r. także niebieska flaga unijna. Kult władczyni – naturalny u jej następców z rodu Habsburgów – przetrwał także upadek cesarstwa. Już w 1930 r. ówczesny konserwatywny prezydent republiki Austrii Wilhelm Miklas otwierał w pałacu Schönbrunn wielką wystawę ku jej czci.

„Nie powinniśmy zapominać, że nasza młoda republika i jej kultura ufundowane są na upadłej kolumnie starej Austrii". Po II wojnie światowej chadecki kanclerz Leopold Figl nazwał Marię Teresę „matką Austrii, ucieleśnieniem austriackości". W 1980 r. kolejną wielką wystawę ku czci cesarzowej otwierał socjaldemokrata Bruno Kreisky, ale też rozpływał się w komplementach. A teraz dużych wystaw jest aż pięć, nie licząc wielu mniejszych. Jaki obraz wyłania się z tego korowodu rocznicowych ekspozycji?

STRATEG I WOJOWNIK

„Była absolutnym fenomenem. Dała sobie radę w świecie, gdzie władza była wcześniej domeną mężczyzn" – tak na nieco feministyczną nutę opisują objęcie przez nią władzy autorzy wystawy w Österreichisches Nationalbibliothek. Akurat w jej przypadku była to prawda. Na tron weszła już w wieku 23 lat.

O wszystkim przesądziły… trujące grzyby. W październiku 1740 r. cesarz Karol VI, ojciec Marii Teresy, wybrał się na polowanie. W czasie łowieckiej uczty bardzo zasmakowało mu danie z grzybów. Potrawa była dobrze przyrządzona i cesarz spałaszował całą miskę strawy. Już parę minut po ukończeniu posiłku władca zaczął mieć objawy zatrucia. Gdy Karola dowieziono

eprasa.pl 464d4774fb

do Wiednia, zaczęła się bolesna agonia. Wyczulony na punkcie etykiety dworskiej umierający cesarz przed śmiercią zdążył jeszcze pouczyć szambelana, że cesarzowi rzymskiemu przy ostatnich sakramentach przysługują cztery świeczniki. Nagła śmierć imperatora była dla wszystkich absolutnym zaskoczeniem. Jego jedyny syn zmarł jako niemowlę w 1716 r. Pozostawały trzy córki z najstarszą Marią Teresą. Dla utorowania jej drogi do sukcesji Karol wydał akt tzw. sankcji pragmatycznej, umożliwiający dziedziczenie tronu przez córkę. Co innego jednak teoria, a co innego praktyka. Zakładano, że 55-letni przed śmiercią władca pożyje jeszcze długo. Nikt nie przygotowywał 23-letniej Marii Teresy do sztuki rządzenia państwem.

Maria Teresa, ku zaskoczeniu wszystkich, natychmiast sprawnie weszła w nową rolę. Już pierwszego dnia po śmierci ojca kazała dworowi złożyć sobie hołd. Na pierwszym posiedzeniu cesarskiej rady osobistej bez wahania zajęła fotel przewodniczącego obrad.

Ludność ujęła obniżeniem cen żywności, a doradców cesarza, próbujących traktować młodą władczynię z góry, rozgrywała ze spokojem. „Ze swej płci – potencjalnego czynnika słabości – uczyniła swój atut. Lubiła przedstawiać się jako matka ludu i kobieta zdana na pomoc i rycerskość swoich męskich poddanych" – piszą autorzy wystawy.

Zanim jednak na dobre weszła w nową rolę, zaatakował sąsiad z północy. Król Prus Fryderyk uznał, że czas zamieszania po śmierci Karola VI i objęcie władzy przez młodziutką Marię Teresę to najlepszy moment, by zagarnąć Śląsk. 16 grudnia 1740 r., czyli miesiąc i 24 dni po śmierci cesarza, wojska „starego Fryca" ruszyły na Wrocław, szybko zagarniając tę jedną z najbogatszych posiadłości Habsburgów.

Maria Teresa natychmiast zareagowała na zagrożenia. Rozumiała, że najważniejsza jest legitymacja jej rządów. Najpierw doprowadziła do hołdu stanów austriackich. Potem, w marcu 1741 r., urodziła pierworodnego syna Józefa – w tamtych czasach był to fakt polityczny. Był już następca tronu, w którego imieniu mogła sprawować władzę jako regent.

Potem popędziła do Pożonia (ówczesnej stolicy Węgier, dzisiejszej Bratysławy), gdzie koronowała się na króla Węgier. We wrześniu 1741 r. z maluśkim synem na ręku zwróciła się z prośbą o pomoc w obronie Śląska. Madziarzy nie zawiedli – węgierska jazda zatrzymała fryderycjański walec wojenny. Jeszcze korona czeska dla niej samej w 1743 r. i korona cesarska dla męża pantoflarza, Franciszka Lotaryńskiego, w 1745 r. i Maria Teresa może uznać sytuację za opanowaną.

Prawie opanowaną, bo głównej części Śląska już nigdy nie odzyskała. Próbowała tego w kolejnych trzech wojnach śląskich: (w latach: 1740–1742, 1744–1745, 1756–1763), ale bez skutku.

Z perspektywy czasu nie było to takie złe. Kolejne wojny okazały się ożywczym impulsem. To one wymusiły na Marii Teresie gruntowne zreformowanie państwa.

AMAZONKA

Krążę po wozowni i dawnej ujeżdżalni pałacu Schönbrunn. Przede mną rokoko jeździeckie. Nawet po 250 latach robi wrażenie starannie zachowany „strój" koni władczyni. Pióropusze na głowy, srebrne ozdoby czapraków, kunsztownie zdobione siodła. W XVII w. jazda konna kobiet była rzadkością. Maria Teresa musiała się jej jednak szybko nauczyć. Wymagał tego protokół koronacyjny królów Węgier, którzy po koronacji wjeżdżali konno na pagórek koronacyjny i wymachiwali mieczem w cztery strony świata na znak gotowości suzerena do obrony ziem Korony św. Stefana.

A gdy już poczuła się na wierzchowcu pewnie, tak zasmakowała w jeździectwie, że dwa lata później zdobyła się na demonstrację, która mogłaby dziś zachwycić wojujące feministki.

Oto 3 stycznia 1743 r., dla uczczenia odbicia Pragi z rąk wojsk „Starego Fryca", zarządziła Damenkarusell – coś, czego dwór wiedeński jeszcze nie widział. Był to turniej rycerski z udziałem 16 wybranych dam dworu i samej cesarzowej. Dzielne białogłowy za pomocą pik i lanc zbijały z ustawionych żerdzi głowy Turków, a po turnieju przejechały wraz ze swą władczynią uroczystym korowodem po ulicach Wiednia. Coś w rodzaju demonstracji ówczesnej „girl power".

Już pierwszego dnia po śmierci ojca kazała dworowi złożyć sobie hołd. Próbujących traktować młodą władczynię z góry rozgrywała ze spokojem

Innym przykładem pewnego poruszania się Marii Teresy w świecie mężczyzn były jej poczynania orderowe. Najważniejszego austriackiego orderu, Złotego Runa, władczyni nie mogła otrzymać, gdyż zasady jego przyznawania wyraźnie mówiły, że jego kawalerami mogą być tylko mężczyźni. Maria Teresa znów jednak błysnęła inwencją. W 1757 r. ustanowiła najwyższe odznaczenie wojskowe – Order Marii Teresy – aby w świecie militarnej męskiej chwały wszyscy marzyli o orderze nazwanym imieniem kobiety. A siedem lat potem, w 1764 r., ustanowiła nowy order – św. Stefana – już bez ograniczeń płci.

Gdy została regentką Austrii jako nadzorczyni jej syna Józefa, przyszłego następcy tronu, była już mężatką. Jej mąż Franciszek Lotaryński bez protestów przyjął rolę postaci drugiego planu. Nawet jego koronacja na cesarza Rzeszy nie osłabiła siły leadershipu Marii Teresy. Na jej szczęście mąż z cesarską koroną posiadał własne pola zainteresowań. Franciszek miał niezwykłą smykałkę do interesów i jego pałac stał się centrum operacji finansowych, które wzbudzały uznanie najbardziej znanych żydowskich finansistów. W wolnych chwilach oddawał się zbieraniu dzieł sztuki i muzykowaniu. Tak uległy mąż był błogosławieństwem dla kobiety znającej cenę władzy i umiejącej jej używać.

WBREW MODOM EPOKI

Jako jedna z niewielu władców epoki oświecenia była głęboko wierzącą katoliczką i obrończynią roli religii w ładzie państwa. Stosunkiem Marii Teresy do religii zajęła się wystawa w opactwie Klosterneuburg na przedmieściach Wiednia.

Słynna „Pietas Austriaca" – tradycyjna pobożność rodu Habsburgów – była traktowana przez władczynię bardzo serio. „Nic nie jest tak potrzebne i uzdrowieńcze jak religia" – to zdanie powtarzała swoim dzieciom wiele razy. Wraz z mężem odbywała pielgrzymki do narodowego sanktuarium Austrii w Mariazell, gdzie ufundowała ogromną kratę z czystego srebra chroniącą główny ołtarz ze słynącą łaskami figurką Najświętszej Maryi Panny.

Jej głęboka religijność była ważnym czynnikiem sprzeciwu wobec agresji ze strony króla Prus Fryderyka – niemal jawnego agnostyka, libertyna i zwolennika używania brutalnej siły w polityce europejskiej.

Maria Teresa trafnie wyczuła w „Starym Frycu" zwiastun czegoś nowego i niezwykle niepokojącego w rozwoju

eprasa.pl 464d4774fb

umysłowym Europy. W karnych czworokątach bitewnych pruskich grenadierów widziała współczesny odpowiednik hord barbarzyńskich Teutonów wdzierających się w płonące granice Imperium Rzymskiego.

Dlatego aż trzykrotnie próbuje odbić zabrany przez Prusy Śląsk, nie mogąc się pogodzić z sukcesem polityki „Nowego Atylli", jak nazywa agresora z północy. „Czyż godność cesarska ma się godzić na ohydny rabunek Śląska?" – pytała brytyjskiego posła w Wiedniu.

„Usiłują zmusić mnie – mówi Teresa do weneckiego posła Erizzo – bym zawarła pokój z pruskim królem Fryderykiem. Wzbraniam się jednakże i będę się wzbraniać, dopóki będę mogła. Nie jestem nieprzejednana, ale moja obawa zawarcia pokoju ma źródła w poczynionych już gorzkich doświadczeniach. Obawiam się poważnie, że nigdy nie będę mieć poczucia bezpieczeństwa przed Prusami, jeśli król pruski będzie nadal tak silnym jak dzisiaj".

W końcu zawarła z królem Prus pokój. Uznała, że kraju nie stać na kolejne wojny. Jej intuicyjne przeczucie, że Fryderyk to nowe przerażające widmo na horyzoncie Europy, było jednak jak najbardziej trafne. Wszyscy, którzy oglądali film „Upadek", pamiętają, że portret „Starego Fryca" zdobić będzie dwa stulecia potem pokój Hitlera w Kancelarii Rzeszy.

Diaboliczna siła przyciągania króla Prus ugodzi ją potem w najczulsze miejsce. Pruski agnostyk uwiedzie duchowo jej syna Józefa II. I to oddziaływanie na młodego następcę tronu – od 1765 r. króla rzymskiego – będzie miało fatalny wpływ na losy naszego kraju. Józef poduszczany przez Fryderyka wraz z kanclerzem Wenzelem von Kaunitzem wymogą na Marii Teresie udział Austrii w I rozbiorze Polski z 1772 r. Uwieczniony w tradycji płacz władczyni w chwili podpisywania traktatu rozbiorowego zrównał ją moralnie z Fryderykiem, z czego cynik z Sanssouci świetnie zdawał sobie sprawę. „Płacze, ale bierze" – puentował Prusak postawę Marii Teresy.

Dla polskiego widza sposób przedstawienia udziału Austrii w I rozbiorze Polski na rocznicowych wystawach jest gorzki. Ekspozycja w Österreichische Nationalbibliothek w ogóle nie zauważa udziału Austrii w mordowaniu Polski. Dzięki wystawie w zamku Hof koło Wiednia, która przedstawia politykę zagraniczną Wiednia z tamtego czasu, widz może zaznajomić się tylko z lakoniczną informacją o rozbiorze i ziemiach, o jakie wzbogaciło się cesarstwo. Jedyne eksponaty w sali „rozbiorowej" to znana alegoria rozbioru Polski ręki Jeana-Michela Moreau i parę zdjęć włościan z Galicji z huculskim kapeluszem jako symbolem nowych ludów wziętych pod berło imperium Habsburgów.

Maria Teresa z rodziną na obrazie z 1760 r. pędzla Martina van Meytensa

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA AUSTRII

Cykl czterech wystaw „Maria Teresa: strateg – matka – reformator" w muzeum mebli cesarskich w Wiedniu, pałacu Schönbrunn, zamku Hof i pałacu Niederweiden pod patronatem Kunsthistorische Museum w Wiedniu czynny będzie do 29 listopada 2017 r. Szczegóły na: www.mariatheresia2017.at. Wystawa „Kościół, klasztor, cesarzowa – Maria Teresa i sakralna Austria" w opactwie Klosterneuburg potrwa do 15 listopada 2017 r. Szczegóły na: www.stift-klosterneuburg.at. Wystawa „Maria Teresa – najpotężniejsza kobieta w dynastii Habsburgów" w Bibliotece Narodowej w Wiedniu zakończyła się 5 czerwca 2017 r.

SZCZYPTA WDZIĘKU

Jeśli miałbym wskazać na jedną wystawę, która najlepiej oddaje urodę epoki terezjańskiej, to byłaby to ekspozycja w wiedeńskim Hofmobiliendepot. Ta mało wdzięczna nazwa (Magazyn Mebli Dworskich) skrywa niezwykle wysmakowane muzeum, które na wystawie ukazało rodzinę władczyni i jej pęd do sztuki. Długą chwilę stałem przed obrazem Johanna Georga Weickerta z 1765 r. Oto przedstawienie baletu Christopha Glucka „Triumf Amora". W roli młodych tancerzy przyszły cesarz Józef II, przyszła królowa Francji Maria Antonina i kolejny syn cesarzowej – Ferdynand. Jest w tym obrazie uchwycony rys jakiejś delikatności i szacunku dla piękna wpajany dzieciom Marii Teresy. Niewymuszonego wdzięku, który nadawał dworowi Habsburgów tyle poloru. Jest w tym i rys matczynej miłości kobiety, która wydała na świat aż 16 dzieci, z czego 13 przyszło na świat za czasów jej rządów nad Austrią. Dwoje z nich zmarło w niemowlęctwie, czworo w dzieciństwie. Dwóch synów – Józef II, a po nim Leopold VII – zostało cesarzami, jeden syn zaś biskupem elektorem Moguncji. Dwie córki trafiły do klasztoru, kolejne pięć wyswatano z władcami różnych państw europejskich, a jedna – Maria Antonina – wydana za króla Ludwika XVI, została zgilotynowana z wyroku rewolucji francuskiej.

Wiele dzieci Marii Teresy do końca życia wspominało szczęśliwe i pełne miłości dzieciństwo na dworze w Wiedniu.

I z tym mało politycznym, ale bardzo ludzkim uczuciem szacunku dla kobiety, która nie pozwoliła, by jej status władczyni kolidował ze zwykłym rodzinnym szczęściem, wychodziłem z Hofmobiliendepot. Mała oaza normalności w burzliwym XVIII w. Czyż nie zasługuje to na chwilę uwagi? Tylko po to, by zrozumieć ten fenomen, warto się pofatygować na wystawy do Wiednia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

TYLKO U NAS!

BLISCY OFIAR OPOWIADAJĄ O BESTIALSTWIE BOLSZEWIKÓW

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA DO RZECZY

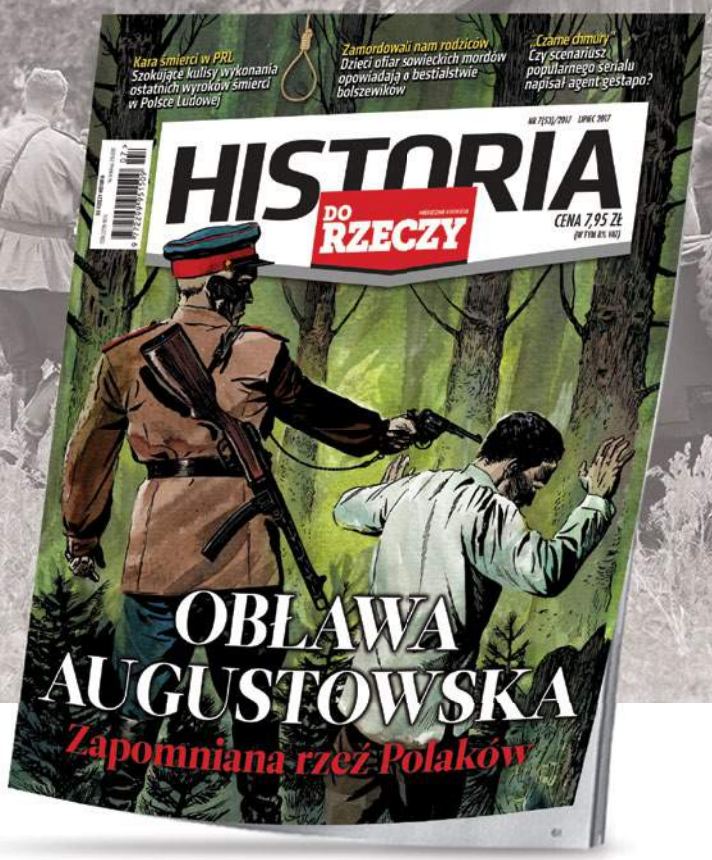

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Krzysztof Jasiewicz – **Zginęli, bo byli Polakami** / Mary Beard – Upadek Imperium Rzymskiego / **Marcin Bartnicki** – **Ostatnie wyroki śmierci w PRL** / Rafał A. Ziemkiewicz – Niepotrzebny bombowiec Łoś / Piotr Zychowicz – Ludobójstwo sowieckich jeńców / Piotr Semka – Saga Vidkuna Quislinga / **Jakub Ostromęcki** – **Kłamstwa „Czarnych chmur"**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 464d4774fb

Piotr Włoczyk

Henryk Sławik pomógł uratować cztery razy więcej Żydów niż Oskar Schindler. Mimo to jego historia jest nawet w Polsce niemal kompletnie nieznana

Pomnik Henryka Sławika i Józsefa Antalla w Budapeszcie FOT. PIOTR WŁOCZYK

Zapomniany polski Wallenberg

Wiosna 1943 r. W Vácu, niewielkiej naddunajskiej miejscowości położonej 35 km na północ od Budapesztu, powstaje Sierociniec Dzieci Polskich Oficerów. Utworzyli go Henryk Sławik i József Antall, polsko-węgierski duet urzędników, którym rządy obu państw postawiły za zadanie zorganizowanie systemu pomocy uchodźcom z Polski.

Po Vácu szybko zaczęła jednak krążyć bardzo niebezpieczna plotka: wychowankowie domu dziecka to żadne polskie dzieci, to mali Żydzi! Plotka ta była zresztą jak najbardziej prawdziwa. W sierocińcu umieszczono bowiem sto żydowskich dzieci w wieku 4–14 lat, którym po uruchomieniu przez Niemców przemysłu zagłady jakimś cudem udało się dotrzeć na Węgry z południowej Polski. Pięcioro sierot zostało wyrzuconych przez rodziców z pociągów zmierzających do obozów zagłady.

Opiekunowie sierocińca w odpowiedzi na podejrzenia zorganizowali zakrojoną na wielką skalę mistyfikację, która miała oddalić zagrożenie.

– Henryk Sławik i József Antall poprosili pewnego księdza, żeby nauczył sieroty podstawowych modlitw katolickich. Dzieci co niedziela były demonstracyjnie prowadzone przez cały Vác do kościoła, choć równocześnie były potajemnie uczone przez żydowskich wychowawców podstaw religii mojżeszowej – mówi Grzegorz Łubczyk, autor wielu publikacji o polskim bohaterze, w tym m.in. książki pt. „Polski Wallenberg. Rzecz o Henryku Sławiku”. – Kluczowe było ściągnięcie przez Sławika do sierocińca na uroczystą, dobrze nagłośnioną wizytę nuncjusza apostolskiego, abp. Angelo Rotty. To ostatecznie ucięło wszelkie spekulacje na temat pochodzenia sierot. W ten sposób ani jedno z tych dzieci nie zginęło w czasie wojny.

Grzegorz Łubczyk w 2004 r. dotarł do pięciorga wychowanków domu dziecka, które osiedliły się po wojnie w Izraelu.

„Ja wierzę, że on był boskim posłańcem. To Niemcy sprawili, że zostałam sama na tym świecie. Jeśli więc dziś żyję i mieszkam w Izraelu, i mam tak dużą, własną rodzinę, dzieci, wnuki i prawnuki, w sumie ponad 30 osób, to dlatego, że Sławik mnie uratował” – powiedziała Cipora Lewawi z domu Cyla Ehrenkranz.

NIEWYGODNY ŻYCIORYS

W PRL Henryk Sławik był postacią niemal anonimową, ponieważ władzom nie zależało na nagłaśnianiu jego zasług. Z punktu widzenia polskich komunistów był on bowiem tym „złym” socjalistą – członkiem PPS o mocnych przekonaniach niepodległościowych (brał udział w powstaniach śląskich), ale jego największą „winą” było to, że był przedstawicielem polskiego rządu emigracyjnego.

Głównym popularyzatorem zasług Henryka Sławika jest właśnie Grzegorz Łubczyk, były ambasador RP na Węgrzech. To z jego inicjatywy w Budapeszcie nad brzegiem Dunaju stanął właśnie pomnik tego polskiego bohatera i jego węgierskiego współpracownika Józsefa Antalla. Monument (bliźniaczy stoi od roku w Warszawie) został uroczyście odsłonięty przez marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego oraz przewodniczącego węgierskiego Zgromadzenia Narodowego László Kövéra.

eprasa.pl 464d4774fb

– Możemy powiedzieć śmiało, że stali oni za wartościami, które są fundamentem ludzkości, a nie tylko przyjaźni polsko-węgierskiej – powiedział podczas tej uroczystości marszałek Kuchciński.

Henryk Sławik był sam jednym z ok. 120 tys. uchodźców z Polski, którzy we wrześniu 1939 r. przekroczyli granicę polsko-węgierską. Sławik szybko został zauważony w obozie pod Miszkolcem przez Józsefa Antalla, urzędnika węgierskiego MSW, który miał się zorientować w potrzebach Polaków i zorganizować dla nich system pomocy. Od razu zauważył talent organizatorski Sławika. Tym sposobem w listopadzie 1939 r. Henryk Sławik stanął na czele Komitetu Obywatelskiego ds. Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech (KO). Został tym samym delegatem ministra opieki społecznej polskiego rządu na uchodźstwie. Na ironię losu zakrawa to, że Polak i Węgier w dziele ratowania uchodźców porozumiewali się ze sobą po... niemiecku, który to język obaj świetnie znali.

Mistyfikacja, którą Sławik urządził w Vácu, jest najbardziej spektakularnym aspektem jego działalności, ale bez wątpienia jego największą zasługą jest zapewnienie co najmniej 5 tys. żydowskich uchodźców z Polski fałszywych dokumentów. Do tego „oszustwa" włączyli się także duchowni katoliccy, którzy masowo wydawali Żydom metryki chrztu. Węgierskie MSW wystawiało z kolei na tej podstawie – tu swoją rolę odgrywał József Antall – fałszywe dokumenty tożsamości.

Na Węgrzech wyjątkowo popularne stały się wówczas nazwiska Bem, Mickiewicz i Sienkiewicz.

– József Antall zwrócił w końcu na to uwagę i powiedział do Sławika: „Henryku, już za dużo tych Mickiewiczów, Sienkiewiczów i Bemów". Zaczęto więc różnicować nazwiska, ponieważ Niemcy cały czas pilnie przyglądali się sytuacji na Węgrzech, szczególnie zaś protestowali przeciwko działalności KO – wyjaśnia Grzegorz Łubczyk. – Pięć tysięcy Żydów, którzy dostali w ten sposób nową, chrześcijańską tożsamość, przeżyło wojnę. Bez zaangażowania Henryka Sławika i Józsefa Antalla ich los byłby przesądzony – w marcu 1944 r. Niemcy przejęli kontrolę nad Węgrami.

ŚWIADKOWIE JUŻ NIELICZNI

Na uroczystości odsłonięcia pomnika obu bohaterów stawili się nieliczni już dziś Polacy, którzy dzięki Sławikowi i Antallowi mogli godnie żyć na Węgrzech w oczekiwaniu na koniec wojny.

Tadeusz Peretjatkowicz, rocznik 1934: – Dzięki ich działalności mogliśmy jakoś żyć. Każdy uchodźca słyszał wtedy o Antallu i Sławiku. Dzięki pomocy, którą uzyskaliśmy na Węgrzech, cała moja rodzina przeżyła wojnę.

Poza zapewnieniem polskim uchodźcom tak podstawowych rzeczy jak opieka zdrowotna Henryk Sławik dążył do tego, by jak najwięcej polskich uchodźców mogło pracować.

Priorytetem była dla niego edukacja. Na Węgrzech powstało wówczas 15 szkół dla polskich uchodźców. On sam pochodził z biednej chłopskiej rodziny i edukację zakończył na szkole powszechnej (samokształcenie doprowadziło go w końcu na fotel redaktora naczelnego „Gazety Robotniczej"). Najbardziej znaną szkołą było polskie gimnazjum w Balatonboglár.

Uczniem tego gimnazjum był Tadeusz Selbirak, urodzony w 1930 r., który na Węgry przedostał się z rodziną z Przemyśla we wrześniu 1939 r.

– Ojciec, chociaż był wojskowym, mógł przebywać poza obozem razem z nami. Z tego powodu nasz pobyt na Węgrzech był jak długie wczasy. Właściwie nie odczuwaliśmy skutków wojny – mówi Tadeusz Selbirak. – Ten pomnik jest wyrazem naszej wdzięczności. Gdy nasza ojczyzna była w biedzie, Węgrzy okazali nam nieocenioną pomoc.

Tadeusz Selbirak chodził przez pewien czas do klasy z córką Henryka Sławika. Została ona – wraz z matką – ściągnięta przez ojca z Warszawy pod koniec 1943 r. Jak wspomina Tadeusz Selbirak, Krystyna Sławik pomogła mu opatrzyć rany po tym, gdy napadło go kilku wyrostków sympatyzujących z węgierskim ruchem faszystowskim.

Rodzina Sławików tylko kilka miesięcy mogła się nacieszyć swoją bliskością. W marcu 1944 r. Niemcy wkroczyli na Węgry i Henryk Sławik musiał się ukrywać. Gestapo jako pierwszą aresztowało jego żonę, Jadwigę, która została wysłana do obozu koncentracyjnego Ravensbrück (cudem udało się jej przeżyć wojnę).

W lipcu 1944 r. Niemcy dopadli w końcu tak bardzo poszukiwanego przez nich Polaka. W tym samym czasie aresztowany został również ukrywający się Antall.

– Katowany Sławik nie dał się złamać i nie obciążył zeznaniami Antalla. Całą „winę" – pomoc uchodźcom, a także wsparcie przerzutu polskich żołnierzy do Francji – wziął na siebie – mówi Grzegorz Łubczyk. – Niemcy doprowadzili do konfrontacji obu mężczyzn. Sławik nie wydał Antalla, a zamiast tego wyszeptał w jego stronę: „Tak odpłaca się Polska". Wiemy to ze wspomnień Antalla, który przeżył dzięki temu wojnę i zmarł dopiero w 1974 r. Jego syn, József Antall junior, został pierwszym premierem Węgier po upadku komunizmu.

Henryk Sławik został wysłany do KL Mauthausen-Gusen, gdzie Niemcy powiesili go 23 sierpnia 1944 r.

BOHATEROWIE BEZ MOGIŁ

W 1990 r. Henryk Sławik oraz József Antall zostali uhonorowani tytułami Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. W 2010 r. Polak odznaczony został przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego najwyższym polskim odznaczeniem – Orderem Orła Białego.

Według Grzegorza Łubczyka nazywanie Henryka Sławika „polskim Schindlerem" to nie najlepsze porównanie. – Oskar Schindler był bardzo niejednoznaczną postacią. Pamiętajmy, że miał złotą odznakę członka NSDAP. Henryk Sławik to z kolei absolutnie kryształowa postać – mówi były polski ambasador w Budapeszcie.

Jego zdaniem dużo lepiej pasuje w tym kontekście porównanie do słynnego Raoula Wallenberga, szwedzkiego przedsiębiorcy, który przybył do Budapesztu w celu ratowania węgierskich Żydów akurat w momencie, gdy Sławik został aresztowany. Szacuje się, że dzięki operacji, którą nadzorował Wallenberg, uratowanych zostało kilkadziesiąt tysięcy Żydów. W styczniu 1945 r. Szwed został aresztowany na Węgrzech przez Sowietów i przepadł bez wieści.

– Poza oczywistymi podobieństwami obu tych bohaterów różni choćby wsparcie, na jakie mogli liczyć w swoich działaniach pomocowych. Wallenberg miał w porównaniu ze Sławikiem niemal nieograniczone środki finansowe, a ponadto jego paszport dyplomatyczny pozwalał mu na dużą swobodę działania – mówi Grzegorz Łubczyk. I dodaje: – W tragiczny sposób łączy ich natomiast to, że obaj ci mężczyźni, którzy pomogli tak wielu ludziom, nie mają nawet swoich mogił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Świat oczami Stalina

Jaka szkoda, że Józef Stalin przed śmiercią nie udzielił wyczerpującego wywiadu, w którym szczerze opowiedziałby o swoim życiu. O dzieciństwie, działalności rewolucyjnej, zesłaniu na Syberię, a wreszcie o tym, jak wspiął się na szczyt władzy w Związku Sowieckim. O swoich rodzicach, żonach, kochankach i trudnych relacjach z dziećmi. O kolektywizacji, wielkim terrorze, pakcie Ribbentrop-Mołotow, Katyniu i wojnie z Hitlerem.

Niestety, taka rozmowa nie została przeprowadzona. Na te wszystkie wydarzenia możemy spojrzeć oczami Stalina dzięki niemieckiemu autorowi Christopherowi Machtowi.

Postanowił on przeprowadzić wywiad ze Stalinem… ponad 60 lat po śmierci dyktatora. Absurd? Niekoniecznie. Macht przeczytał olbrzymią liczbę pamiętników i monografii dotyczących epoki Stalina i na ich podstawie – używając autentycznych wypowiedzi wodza i prawdziwych wydarzeń – skompilował wywiad rzekę.

Efekt tej zabawy z historią jest interesujący. Weźmy choćby fragment dotyczący najtrudniejszego momentu w życiu Stalina – 22 czerwca 1941 r., gdy został poinformowany, że Adolf Hitler zaatakował Związek Sowiecki. Było to dla niego szokiem. Mimo licznych sygnałów Stalin do końca nie wierzył bowiem, że Niemcy złamią pakt o nieagresji. W efekcie, jak wiadomo, bolszewicki satrapa przeżył załamanie nerwowe i na kilka dni odciął się od świata.

W literaturze przedmiotu często pojawia się pogląd, że błąd Stalina wynikał z faktu, iż był skończonym idiotą. Z książki Machta możemy tymczasem się dowiedzieć, że przekonanie o niemożliwości niemieckiego ataku było oparte na racjonalnych przesłankach. Stalin uważał, że zaangażowana w wojnę z Wielką Brytanią i okupująca niemal całą Europę Rzesza nie zaryzykuje wojny na dwa fronty.

Według Stalina Hitlerowi znacznie bardziej opłacało się kupować sowieckie surowce, niż próbować zabrać je siłą. Przesłanki wskazywały na to, że niemieckie przygotowania do wojny są blefem. Stalin nie wziął jednak pod uwagę jednego – Hitler nie działał z pobudek racjonalnych.

„Kiedy mi doniesiono o niemieckiej napaści – »mówi« Stalin w książce Machta – wpadłem w panikę. Bałem się, że to już koniec i wszystko przepadło.

– Co macie na myśli?

– Nie wyrażam się jasno? Bałem się, że przegramy wojnę, pierwszy kraj socjalistyczny padnie, a mnie Hitler każe wsadzić do klatki i obwozić pomiędzy tłuszczą jako zdobycz wojenną”.

Ciekawa wizja... ©℗

★★★★★★

CHRISTOPHER MACHT „SPOWIEDŹ STALINA” BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Piłsudski w Magdeburgu

Odmowa złożenia przysięgi przez I i III Brygadę Legionów na wierność cesarzowi Wilhelmowi wywołała latem 1917 r. tzw. kryzys przysięgowy. Opornych legionistów osadzono w obozach internowania w Szczypiornie i Beniaminowie (poddanych rosyjskich), natomiast obywateli austriackich wcielono przemocą do armii podwójnej monarchii.

> **Odosobnienie przyniosło Piłsudskiemu kapitał polityczny**

Wydarzenia rozegrały się zgodnie ze scenariuszem zaplanowanym przez Piłsudskiego, który teraz potrzebował jeszcze ofiary z własnej osoby, najlepiej aresztowania przez okupantów. Doskonale pamiętał, że męczeństwo Napoleona na Wyspie Świętej Heleny przysporzyło Bonapartym więcej zwolenników niż wszystkie wygrane bitwy. Piłsudski nie wierzył jednak do końca, że Niemcy będą aż tak krótkowzroczni. Okazało się jednak, że byli. Piłsudskiego aresztowano (wraz z Sosnkowskim) w nocy z 21 na 22 lipca 1917 r. Brygadiera internowano w twierdzy w Magdeburgu, Sosnkowskiego – w Spandau.

Piłsudski nie mógł narzekać na warunki internowania. Miał do dyspozycji trzy pokoje na piętrze w drewnianym budynku, na parterze mieszkał feldfebel nadzorujący obejście. Przy domku znajdował się mały ogródek, warta stała dalej, przy wejściu do tej części twierdzy. Chociaż przebywał w odosobnieniu, to dostarczano mu codziennie „Magdeburgische Zeitung”, dzięki czemu orientował się w bieżących wydarzeniach.

Niemcy skrupulatnie przestrzegali formalności. Za przynoszone z restauracji posiłki potrącali brygadierowi należną kwotę z jego wojskowych poborów, które pomimo internowania nadal wypłacali.

Odosobnienie w Magdeburgu przyniosło Piłsudskiemu nieprawdopodobny kapitał polityczny. Stał się najważniejszą postacią w kraju, człowiekiem, z którym wiązano ogromne nadzieje. Internowanie usunęło zarzut współpracy z Niemcami, był ofiarą prześladowań, symbolem walki z okupantem. Umiejętna akcja propagandowa kreowała go na wodza narodu, nigdy wcześniej (ani później) Komendant nie był tak popularny, wydawał się jedynym człowiekiem mogącym przejąć władzę w Polsce. I nie był to wyłącznie głos opinii publicznej, podobne zdanie wygłaszali politycy, od skrajnej prawicy do socjalistów. Nierozważna decyzja władz niemieckich spowodowała, że to właśnie Piłsudski w listopadzie 1918 r. został Tymczasowym Naczelnikiem Państwa i skupił w swoim ręku władzę, jakiej nad Wisłą nie miał nikt od czasów Jagiellonów… ©℗

eprasa.pl 464d4774fb

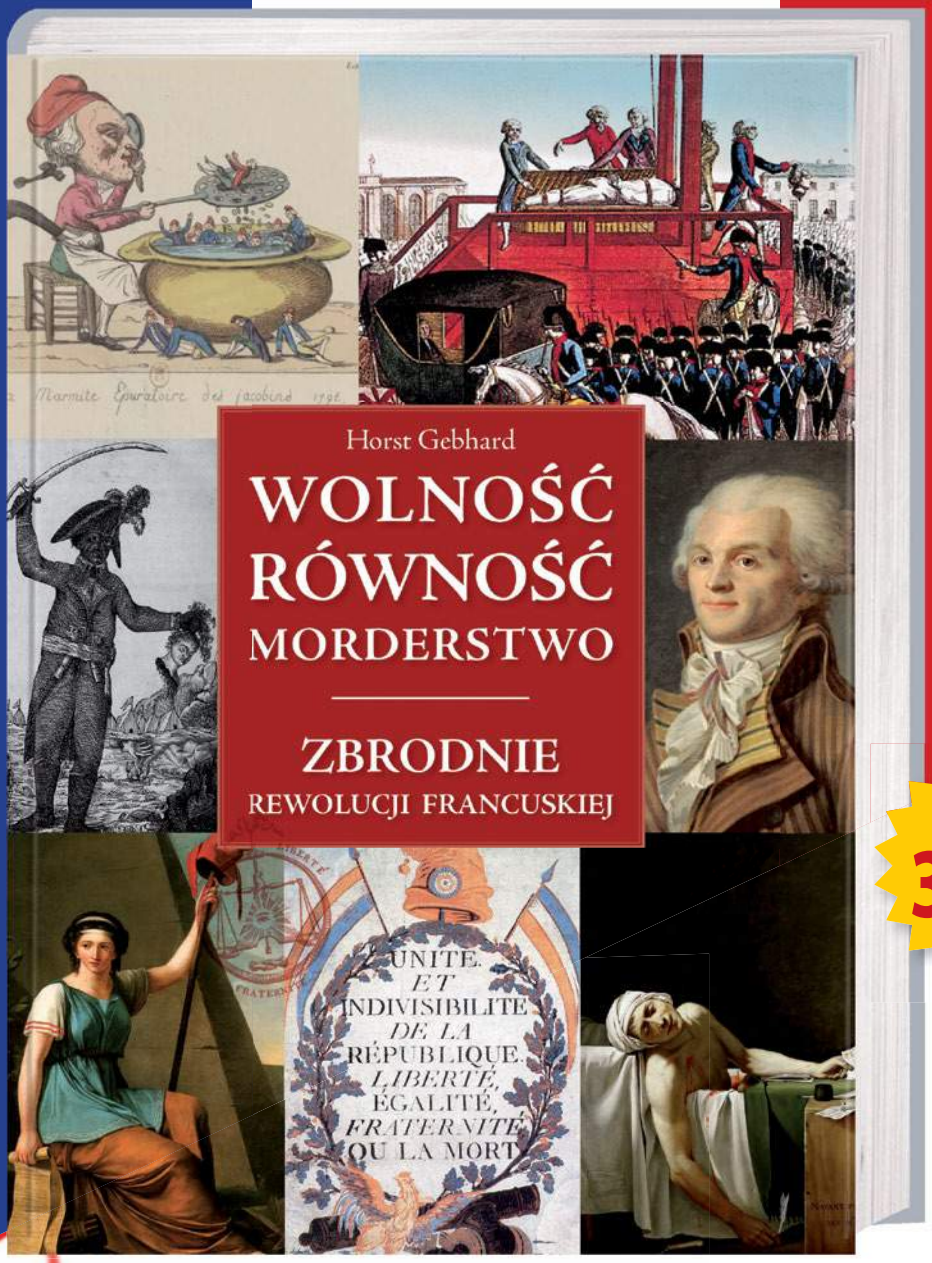

~~49,90~~
39,90

HORST GEBHARD

WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, MORDERSTWO

ZBRODNIE REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

Rewolucję Francuską uważa się za symbol demokracji i tryumf praw człowieka. Tymczasem rewolucyjną codziennością były zbrodnie i krwawe prześladowania tych, których uznawano za wrogów nowego porządku. Ofiarami rewolucyjnego aparatu represji kierowanego przez takich fanatyków jak Robespierre, Saint-Just i Marat stało się 40 000 osób: ściętych, rozstrzelanych, zamęczonych lub też zlinczowanych bez sądu. Do tego dochodzi 100 000 ofiar kampanii odwetowej w katolickiej Wandei, od dawna określanej przez historyków francuskich mianem ludobójstwa. Niemiecki historyk Horst Gebhard zebrał najnowsze wyniki badań, po raz pierwszy prezentując je szerszemu kręgowi czytelników i ukazując w tej książce przerażający obraz Rewolucji Francuskiej – mroczną historię dziesięcioletniego władania tyranii i przemocy…

WYDAWNICTWO AA, 17x24, s. 336, **twarda**

Zamówienia:
tel. **12 345 40 99,12 446 72 55,** tel. kom.: **533 313 404**

www.HistoriaMojaPasja.pl

Koszt wysyłki: 9,90 zł

eprasa.pl 464d4774fb

Koniec chadecji

Tomasz P. Terlikowski

Przestrzeń normalności, a coraz częściej wolności kurczy się w zastraszającym tempie. Kolejne kraje ulegają presji homoseksualnego lobby i nie tylko zmieniają definicję małżeństwa, lecz także zaczynają prześladować tych, którzy chcą pozostać w przestrzeni zdrowego rozsądku

Niemcy są kolejnym krajem, który – nie bez nacisku światowego lobby gejowskiego – zmienił definicję małżeństwa. Od teraz małżeństwem w Niemczech – jeśli zmian nie zablokuje Trybunał Konstytucyjny, a zdaniem wielu prawników i polityków powinien to zrobić – będzie związek mężczyzny i kobiety lub „dwóch osób tej samej płci". „Małżeństwa jednopłciowe" będą miały przy tym dokładnie te same przywileje i prawa co małżeństwa, w tym także prawo do adopcji dzieci. Z doświadczenia zaś innych krajów wynika, że dość szybko okaże się, iż „małżeństwa jednopłciowe" będą miały o wiele więcej praw, bo żaden sędzia ani urzędnik nie zdecyduje się na odmowę adopcji parze gejowskiej, o jakichkolwiek postępowaniach wobec nich nie wspominając, by nie zostać oskarżonym o homofobię i zniszczonym, zanim zdąży choćby wypowiedzieć słowo w swojej obronie.

HOMODECJA ZAMIAST CHADECJI

Smaczku sprawie dodaje to, że zmianę definicji małżeństwa udało się niemieckiej lewicy (wbrew konstytucji i umowie koalicyjnej z CDU/CSU) przegłosować dzięki wsparciu niemałej części niemieckich chadeków. Jeszcze kilka dni przed głosowaniem miało to być niemożliwe, bo zmianie sprzeciwiała się kanclerz Niemiec Angela Merkel, która miała w tej sprawie wymagać dyscypliny od partyjnych koleżanek i kolegów. Jednak po medialnie nagłośnionym spotkaniu z parą lesbijek polityk miała zmienić zdanie i choć sama głosowała przeciwko zmianom, to pozwoliła na głosowanie zgodnie z własnymi poglądami. W efekcie głosami chadecji przegłosowano prawo, które jest absolutnie sprzeczne z zasadami chrześcijaństwa.

Decyzja ta jest gwoździem do trumny chrześcijańskiego charakteru CDU – Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CSU – Unia Chrześcijańsko-Społeczna – jest nieco inna, ale proces odchodzenia od chrześcijaństwa także jest w niej dostrzegalny).

Po wielu latach budowania struktur gejowsko-lesbijskich w tej partii, a także wypłukiwania kolejnych elementów katolickiego czy choćby ewangelickiego myślenia, nadszedł czas, gdy trzeba zwyczajnie wyrzucić litery „CH" z nazwy tego ugrupowania (pisali o tym zresztą od dawna liczni niemieccy, konserwatywni publicyści) i zastąpić je „H". Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna Niemiec powinna odtąd nazywać się Unią Homoseksualno-Demokratyczną. Nazwa powstała od skrótu „ChD" odnosząca się do tej partii w Polsce, czyli właśnie „chadecja", powinna zaś zostać zastąpiona terminem „homodecja".

I nie jest to przesada. Pismo Święte i Tradycja wszystkich wyznań chrześcijańskich, o Magisterium Kościoła katolickiego nie wspominając, nie pozostawia najmniejszych wątpliwości. Małżeństwem jest związek mężczyzny i kobiety, a wspieranie związków osób tej samej płci to występowanie przeciwko jasnej woli Boga, a także – co przyznali również zazwyczaj bardzo niechętnie występujący przeciwko zmianom obyczajowym niemieccy biskupi – „walka z klasycznym rozumieniem małżeństwa" i katolickim myśleniem.

Nic w tym zresztą zaskakującego. Chrześcijanie wierni Pismu Świętemu i Tradycji Kościoła uznają, że dwóch mężczyzn czy dwie kobiety, choćby nie wiem ile parlamentów i rządów uznało ich za małżeństwo, małżeństwem nie będą, tak jak świnia nigdy nie będzie krową, a goryl człowiekiem. Dla chrześcijan to sprawa oczywista, a chrześcijańska demokracja powstała właśnie po to, by fundamentów chrześcijańskiej moralności w polityce bronić. Jeśli tego nie robią, to w istocie tracą moralne i faktyczne podstawy, by w jakikolwiek sposób odwoływać się do chrześcijaństwa.

WYELIMINOWAĆ WIERZĄCYCH CHRZEŚCIJAN

Śmierć chadecji uświadamia także, że dla chrześcijan pozostaje coraz mniej miejsca na scenie politycznej. Kilka tygodni temu przekonał się o tym przewodniczący Partii Liberalnej Tim Farron należący do konserwatywnego, ewangelikalnego skrzydła Kościoła Anglii, któremu media wyciągnęły wypo-

eprasa.pl 464d4774fb

wiedzi, z których wynika, że uznaje on akty homoseksualne i aborcję za grzech. Tego zaś politykowi wybaczyć nie można, zaczęła się więc zmasowana na niego nagonka. Po kilku tygodniach polityk zdecydował się ustąpić. „Bycie liderem politycznym, szczególnie w postępowej Partii Liberalnej w roku 2017, i życie jako zaangażowany chrześcijanin wierny nauczaniu Biblii, okazało się niemożliwym" – napisał w oświadczeniu.

A jego decyzję ze smutkiem przyjęli przede wszystkim katolicy, wedle których rezygnacja ta jest „bardzo złym sygnałem dla chrześcijan w polityce". – Jestem bardzo zasmucony decyzją pana Farrona i zaniepokojony tym, jeśli to prawda, że nie ma już miejsca w parlamencie dla zaangażowanych chrześcijan. To wyrok na sposób prowadzenia polityki w naszym kraju – mówił katolicki kapelan parlamentu ksiądz kanonik Pat Browne. – Nasz kraj miał długą i nieustającą historię zaangażowania wierzących chrześcijan w życie polityczne – podkreślał kard. Vincent Nichols. Wymuszenie na Farronie rezygnacji ostro ocenił jednak także Lord Alton z Liverpoolu, były parlamentarzysta Partii Liberalnej.

FOT. FOTOLIA

Polityk przypomniał, że poglądy Farrona podzielają miliony Brytyjczyków. – To ironia, że partia, do której wstąpiłem w młodości z powodu jej wiary w sumienie, prawa człowieka i wolność wypowiedzi, przekształciła się w coś tak nietolerancyjnego – podkreślił Lord Alton.

Słowa te nie mają jednak większego znaczenia, bo wszyscy wiedzą, że od dawna nad utrzymaniem progejowskiej „ortodoksji" (można by ją nazwać homodoksją) czuwają medialno-polityczne oddziały – określane humorystycznie, choć to raczej śmiech przez łzy, przez włoskich obrońców rodziny mianem gejstapo – lobbystów homoseksualnych, którzy czuwają nad tym, by nikomu nawet nie wymknęło się krytyczne słowo wobec LGBTQ. One także pilnują, by dzieciom nie przekazywano wiedzy ani opinii, które są sprzeczne z ich poglądami. Wolność sumienia czy wyznania musi ustąpić przekonaniu, że seks homoseksualny jest świetny, a uznanie go za niemoralny to dowód na chorobę zwaną homofobią.

GEJSTAPO W AKCJI

Przesada? Otóż nie. Kilka dni temu w Wielkiej Brytanii zagrożono zamknięciem Vishnitz Girls School, żydowską ortodoksyjną szkołę dla dziewczynek, bo uznano, że jej program nauczania jest sprzeczny z prawem, gdyż nie naucza się w niej trzyletnich dziewczynek o „zmianie płci" ani orientacjach seksualnych. W szkole uczy się obecnie 212 dziewczynek w wieku od trzech do 11 lat. Ich rodzice chcą, by córki odbierały religijne wychowanie, ale władze brytyjskie uważają, że prawo rodziców do wychowania dzieci w zgodzie z własnymi przekonaniami, a nie narzuconą, lewicową ideologią, nie jest istotne. I dlatego zagroziły, że zamkną szkołę. Decyzja jest uzasadniona tym, że – jak można przeczytać w raporcie – jest szkodliwe dla „duchowego, moralnego, społecznego i kulturalnego" rozwoju dzieci pozbawienie ich wiedzy o zmianie płci, wyborze ról płciowych i orientacji seksualnych. „Podejście szkoły oznacza, że dzieci są pozbawione wiedzy na temat naturalnych różnic między ludźmi, w tym różnicy orientacji seksualnej" – oznajmiają „eksperci", którzy badali szkołę. I dodają, że skutkiem tego „dzieci są pozbawione rozumienia różnych stylów życia i partnerstwa, jakie jednostka może wybrać we współczesnym świecie". Prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi wyznaniami nie musi więc ustąpić przed gejowskim lobby.

W Szwecji premier Stefan Löfven poszedł jeszcze dalej i uznał, że jeśli ktoś chce być pastorem Kościoła Szwecji, to musi uznawać „małżeństwa homoseksualne". Udzielanie ślubów gejowskich jest – jego zdaniem – częścią pracy każdego pastora Kościoła Szwecji, a jeśli ktoś nie chce tego robić, to powinien zająć się czymś innym. – Widzę paralele między pielęgniarką, która odmawia uczestniczenia w aborcji – mówi Löfven. – Jeśli pracujesz jako pielęgniarka, to musisz zgodzić się na wykonywanie aborcji. I tak samo jest z byciem duchownym – oznajmił lewicowy polityk. I dodał, że Kościół jako otwarta i demokratyczna społeczność stoi na stanowisku „równości praw". I właśnie dlatego odmowa udzielania ślubów gejowskich powinna się stać podstawą odmowy ordynacji pastorskiej.

Te opinie są niestety smutnym dowodem na to, że ideologia relatywizmu i genderyzmu przechodzi z etapu lekko zakamuflowanego totalitaryzmu do totalitaryzmu całkiem jawnego. Narzucanie szkołom religijnym, by przedstawiały to, co dla wielkich religii świata jest obiektywnym nieuporządkowaniem, a w przypadku praktyk grzechem, jako „naturalnej różnicy" czy „odmiennego stylu życia", to w istocie odmowa praktykowania własnej religii. I niestety nie ma się co oszukiwać, że to się szybko skończy. Marksistowska rewolucja w nowych szatkach (a tym w istocie jest promowana przez lobby LGBTQ zmiana definicji małżeństwa i wymuszanie jej akceptacji) nie odpuści. Religia, tradycja, rodzina muszą zostać zniszczone, aby można było zbudować „nowego, wspaniałego człowieka", człowieka bez właściwości, bez zakorzenienia, bez rodziny, bez Boga i bez prawa naturalnego. Człowieka jako konstrukt kulturowy, który szczęście może znaleźć tylko w konsumpcji. Chrześcijanie, Żydzi, a także wyznawcy innych religii nie powinni się oszukiwać – gender to wojna wypowiedziana nam wszystkim. Klasyczni liberałowie, nawet jeśli są niewierzący, powinni zaś dostrzec, że homoideologia niszczy wolności ludzkie. Prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami, a także prawo do życia zgodnie z własnym wyznaniem to absolutnie fundamentalne prawo człowieka. Bez niego staniemy się niewolnikami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Teresa Stylińska

Węże Świętego

Irlandia przeżywa okres gospodarczego rozkwitu. Przechodzi też czas wielkiej transformacji w sferze życia religijnego i obyczajów

Wejście z boku budynku jest niepozorne, nie zdradza, co dzieje się w środku. A tam tłum ludzi, uwijający się kelnerzy, szum i gwar, jak przystało na popularny stołeczny lokal. Jest sobota, pora lunchu, a lokal mieści się w samym sercu handlowej dzielnicy Dublina, obok wielkich domów towarowych. W przeciwieństwie do klasycznych pubów wnętrze jest jednak przestronne, wysokie, jasne i pełne światła.

Wąskie schody ukryte w kącie prowadzą na piętro, gdzie na balkonie okalającym salę ustawiono restauracyjne stoliki. Doskonale stąd widać urządzony na dole pub, ze wszystkimi atrybutami: lśniącą barową ladą, połyskującymi kurkami i rzędami butelek. Aż dziw, że nikt nie wpadł na pomysł, by, w duchu tego miejsca, odziać obsługę w sutanny i komże czy choćby koloratki. Lokal, pod oczywistą, a jednak nieco przewrotną nazwą The Church (Kościół), urządzono bowiem w dawnym kościele. Nie katolickim wprawdzie, lecz protestanckim (w Irlandii protestanci stanowią zaledwie 3 proc. ludności, możliwe więc, że kościół świecił pustkami), ale wymowy samego faktu w niczym to nie zmienia.

MODLITWA W PARLAMENCIE

W ultrakatolickiej do niedawna Irlandii ostatnie lata przyniosły odczuwalne osłabienie religijności. Coraz mniej ludzi uczestniczy w niedzielnej mszy, coraz więcej małżeństw się rozpada, coraz więcej jest związków nieformalnych i urodzonych w takich związkach dzieci. Przybywa ateistów. Atheist Ireland, ich stowarzyszenie, jest niewielkie, liczy zaledwie 500 osób, ale nadrabia to aktywnością. Z jego inicjatywy do szkół niewyznaniowych (nielicznych, bo 90 proc. szkół jest prowadzonych przez Kościół) wprowadzono naukę ateizmu. Stowarzyszenie zwalcza też nazwy i odniesienia religijne. Domaga się np., by powstanie wielkanocne z 1916 r. nazwać inaczej, a obchody urządzać nie w Poniedziałek Wielkanocny, lecz 24 kwietnia, w rocznicę dnia jego wybuchu.

Nowy, urzędujący od czerwca premier Leo Varadkar jest homoseksualistą i nie tylko nie ma oporów, by mówić o tym otwarcie, lecz także przejawia zgoła misyjne zapędy wobec Irlandii Północnej, jedynej części Zjednoczonego Królestwa, gdzie homomałżeństw nie ma. Sama Irlandia wprowadziła je dwa lata temu, za aprobatą 62 proc. obywateli, którzy oddali głos w referendum (o czym dalej). Chociaż republikę z Ulsterem łączą liczne więzy, nie są one tego rodzaju, by irlandzki premier mógł sugerować władzom prowincji, jak powinny działać. Tymczasem Varadkar, ledwo objąwszy urząd, udzielił politykom z północy dobrej rady – by nie zwlekając, zajęli się tą kwestią. Przyjęcie homoprzepisów byłoby krokiem w najlepszym kierunku.

Obraz postkatolickiej Irlandii, jak się ją coraz częściej określa, wcale nie jest tak jednoznaczny, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Oto na początku maja kilkoro lewicowych deputowanych do Dail, parlamentu, postanowiło doprowadzić do położenia kresu nagannej, ich zdaniem, praktyce, jaką jest codzienna modlitwa w parlamencie. Odmawia ją przewodniczący izby każdego dnia przed rozpoczęciem obrad, w obu oficjalnych językach Irlandii. Inicjatorzy ponieśli klęskę na całej linii. Deputowani nie tylko zdecydowanie odrzucili ich wniosek, lecz także postanowili, i to ogromną większością głosów, że od tej pory modlitwa będzie odmawiana na stojąco, po niej zaś nastąpi 30 sekund ciszy – czas na refleksję przed pracą.

Chociaż na forach internetowych najbardziej aktywni okazali się jak zwykle zdeklarowani przeciwnicy religii, to nie brakowało głosów, że dobrze się stało. Przecież członkom parlamentu modlitwa i refleksja są potrzebne jak mało komu.

NIECO MŁODSZA SIOSTRA

W przyszłym roku, przy okazji Światowego Spotkania Rodzin, które odbędzie się w sierpniu w Dublinie, Irlandię ma odwiedzić papież Franciszek. Przyjedzie jednak do innego kraju niż ten, który we wrześniu 1979 r. gościł Jana Pawła II. Ówczesna Irlandia była biedna; nikomu w najbardziej nawet fantastycznych rojeniach nie przyszłoby do głowy, że za 20 lat jako celtycki tygrys wejdzie do grona najzamożniejszych państw Unii Europejskiej. Żyła przy tym w cieniu terroru, bo konflikt w Irlandii Północnej nie oszczędzał też republiki. Przede wszystkim jednak Irlandia owych czasów była krajem katolickim w pełnym tego słowa znaczeniu, bez rozwodów i homomałżeństw, za to z kościołami pełnymi wiernych. Katolicyzm był ważny i każdemu drogi. Przez trzy dni we mszach i w spotkaniach z Janem Pawłem II uczestniczyło aż 2,7 mln ludzi. Blisko dwie trzecie mieszkańców całej wyspy!

O ile Francja od zawsze nazywana jest „najstarszą córą Kościoła", o tyle Irlandia śmiało może aspirować do roli jej trochę tylko młodszej siostry. Chrześcijaństwo wkroczyło na wyspę już w V w., za sprawą św. Patryka. Ów mnich z Brytanii przybył

eprasa.pl 464d4774fb

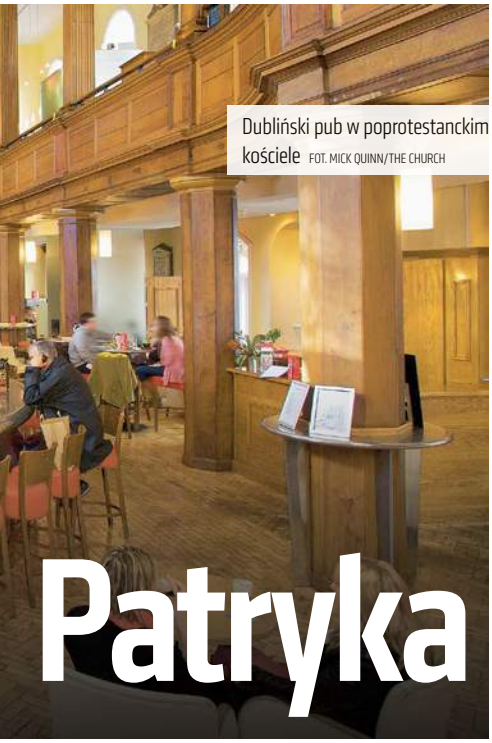

Dubliński pub w poprotestanckim kościele FOT. MICK QUINN/THE CHURCH

Patryka

do Irlandii z misją nawracania celtyckich mieszkańców wyspy i z tej roli wywiązał się doskonale. Nauczał i chrzcił, zakładał kościoły i klasztory, a szczególną wdzięczność mieszkańców zaskarbił sobie wypędzeniem do morza węży.

Święty Patryk w sposób oczywisty stał się więc patronem Irlandii i naturalnie także wielu, jeśli nie większości, zbudowanych na wyspie kościołów, poczynając od katedry w Armagh, gdzie mieści się siedziba prymasa, i katedry św. Patryka w Dublinie. Ta ostatnia nie jest już katolicka, bo w epoce reformacji przeszła w ręce Kościoła Irlandii, który należy do Wspólnoty Anglikańskiej, ale na zawsze, przez tradycję i historię, zrosła się z wyobrażeniem Irlandii. Zresztą Kościół Irlandii także odwołuje się do postaci i nauczania św. Patryka.

Widomym znakiem przywiązania do wiary i tradycji była też nieprzemijająca popularność chrześcijańskich imion, na czele z Patrykiem i Mary, obowiązkowymi w każdej irlandzkiej rodzinie. Jeszcze w połowie lat 60. Mary była najpopularniejszym imieniem nadawanym dziewczynkom; Patryk wśród chłopców był trzeci. Dzisiaj oba znikają. W 2016 r. Patryk spadł na odległe 18. miejsce. Mary, na 84. pozycji, popadła w zapomnienie.

DUCHOWNI I ICH LĘKI

O dechrystianizacji Irlandii najwymowniej świadczy wprowadzenie homomałżeństw. Ich zwolennicy chełpią się, że choć w świecie nie jest to już nowość, to Irlandia w pewnym sensie odegrała rolę pionierską, a to dlatego, że po raz pierwszy decyzję podjęło społeczeństwo, nie jego reprezentacja parlamentarna. Ma to być powód do dumy. Natomiast przeciwnicy legalizowania związków gejowskich, ubolewając nad tym, że „sodomia została prawnie zrównana z małżeństwem" – jak to ujął jeden z komentatorów – zastanawiają się, jak katolickie społeczeństwo mogło tak drastycznie rozminąć się z nauką Kościoła. „Na wyspę wracają pogańskie węże", „wyborcy zdradzili św. Patryka" – pisano.

Winnych w tej sprawie widzą wielu: rząd, który apelował o poparcie homomałżeństw, media ogarnięte ideami postępu, Brukselę patronującą nowinkom obyczajowym. A także – czy może nawet przede wszystkim – irlandzki Kościół, bo miast zająć pryncypialne stanowisko, zrejterował, dając czysty pokaz zwykłego tchórzostwa. W ten sposób przyczynił się do zwycięstwa tych, którzy nie powinni byli zwyciężyć.

Biskupi rzeczywiście wypowiadali się tak, jakby sparaliżował ich lęk: ostrożnie, niejasno i często dwuznacznie. Nie odrzucali, nie potępiali. Nawet jeśli Diarmuid Martin, arcybiskup Dublina, mówił o czekającym Irlandię „niebezpiecznym eksperymencie społecznym", jego słowa nie brzmiały stanowczo. Jeszcze dalej posunął się Donal McKeown, biskup Derry, który z góry rozgrzeszył wyborców, zapewniając, że mogą z czystym sumieniem poprzeć zalegalizowanie związków osób tej samej płci, jeżeli mają przekonanie o słuszności dokonanego wyboru. Jedynym hierarchą, który zdobył się na otwarte wyrażenie sprzeciwu, był Kevin Doran, biskup diecezji Elphin. Jak się okazało, jego głos był skuteczny, bo okręg częściowo pokrywający się z jego diecezją był jedynym, w którym wyborcy homomałżeństwa odrzucili.

Możliwe, że gdyby biskupi wykazali więcej odwagi, wynik referendum byłby inny. Ich zdumiewająca ostrożność nie była jednak przypadkowa. Irlandzki Kościół katolicki do dziś nie zdołał się pozbierać po aferze związanej z wykorzystywaniem seksualnym dzieci. Nadal żyje w traumie. Skandal skutecznie nadwątlił pozycję Kościoła i jego ogromny niegdyś autorytet. Co ciekawe, na opinii Kościoła bardziej może nawet niż niegodne postępowanie części duchownych zaciążyło tuszowanie afer i zamiatanie ich pod dywan, bo rzuciło cień nie tylko na bezpośrednich sprawców zła, lecz także na ich przełożonych.

Kościół wie przy tym, że ma przed sobą ciężkie czasy. Prędzej czy później będzie musiał stoczyć batalię z tymi, którzy chcą, by jego miejsce i zadania w systemie edukacji czy pomocy społecznej w coraz większym stopniu przejmowało państwo – choć większość obywateli wcale sobie tego nie życzy, bo akceptuje działalność Kościoła na obu tych polach. Na horyzoncie rysuje się także coraz gorętszy spór o zakaz aborcji. Jak w tej sytuacji wyjść wiernym naprzeciw? Jak zatrzymać tych, którzy nie znajdują czasu na odwiedzenie kościoła, choć być może nie czują się z tym dobrze?

TO JESZCZE NIE KATASTROFA

Irlandia, wbrew obawom wielu, nie staje się więc jeszcze krajem neopogańskim, choć niewątpliwie przeszła drogę wielkich przemian i, do pewnego stopnia, odwrotu od religii. Pojawiają się nowe, często zaskakujące pola sporów, takie jak pomysł, by uchylić zakaz sprzedaży alkoholu w Wielki Piątek. „W ciągu 50 lat ze społeczeństwa jednorodnego, złożonego z białych anglojęzycznych katolików, Irlandia stała się wielonarodowa, kosmopolityczna i zglobalizowana. W sferze kulturowej władza przeszła z rąk Kościoła katolickiego w ręce państwa i mediów. Dokonała się sekularyzacja" – podsumowuje te przemiany Tom Inglis, profesor socjologii z University College Dublin.

Wydana niedawno książka „Meanings of Life in Contemporary Ireland: Webs of Significance" („Rozumienie życia we współczesnej Irlandii: Ważne sieci") to plon rozmów, jakie przeprowadził on z ludźmi w różnym wieku, różnych zawodów, o różnym pochodzeniu. Profesor Inglis pytał, co zmienia się w ich życiu i jak odbierają zachodzące zmiany, również w sferze religijnej. Konkluzja jest taka, że Irlandczycy nie porzucili Boga ani religii, ale wyznaczyli im nowe miejsce w swym życiu. Tak jak dawniej czerpią z wierzeń i tradycji katolickich, ale dzieje się tak przy specjalnych okazjach – rodzinnych i religijnych. W życiu codziennym Bóg, Kościół i religia nie są już jednak najważniejszym punktem odniesienia. „Choć Irlandia jest mniej katolicka, niż była pięć lat temu, to nie jest to jeszcze katastrofa" – mówi prof. Inglis.

Czy ma rację? Proboszczowie pustoszejących kościołów Anglii, Francji czy Włoch nie mieliby wątpliwości. Każdy z nich byłby szczęśliwy, gdyby na niedzielnej mszy zjawiało się 40 proc. parafian. Chociaż więc Irlandia nie jest już „najbardziej katolickim krajem świata", to w Europie nadal trzyma fason. Nawet z wężami w tle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

Z Ianem Brzezinskim, ekspertem ds. międzynarodowych i wojskowych prestiżowego think tanku Atlantic Council
rozmawia Jacek Przybylski

Ryzyko wojny z Rosją jest realne

JACEK PRZYBYLSKI: Zachodnia cywilizacja jest zagrożona – oznajmił podczas przemówienia w Warszawie Donald Trump. Zgadza się pan z tą tezą?

IAN BRZEZINSKI: To przemówienie było istotnym krokiem definiującym politykę zagraniczną Donalda Trumpa. Jest oczywiste, że prezydent uważa, iż zachodnia cywilizacja jest zagrożona. Można się spierać o to, czy to właściwe wyrażenie. Jest jednak jasne, że znaczącymi wyzwaniami są terroryzm i Rosja.

Bardzo ważnym przesłaniem, które płynie z warszawskiego przemówienia, jest przekonanie prezydenta Trumpa o tym, że Stany Zjednoczone muszą myśleć nie tylko o sobie, lecz także o wspólnocie zachodnich państw i muszą bronić zachodniej cywilizacji, zachodnich wartości, wolności, demokracji oraz rządów prawa. To nowość w retoryce Donalda Trumpa i bardzo dobra zmiana. W Warszawie mówił on również niezwykle stanowczo o zobowiązaniu Ameryki do zapewnienia bezpieczeństwa Europie. Bardzo mocno podkreślał też swe osobiste zaangażowanie w wypełnianie przez Amerykę swych zobowiązań jako członka NATO i gotowość do udziału w kolektywnej obronie każdego członka sojuszu. To ważne oświadczenie, na które czekali zarówno Europejczycy, jak i Kanadyjczycy.

Donald Trump wskazał na konkretne działania, które jego administracja podejmuje, aby wypełnić swe sojusznicze zobowiązania, w tym rozlokowanie amerykańskich żołnierzy w Europie Środkowej, w tym na terenie Polski. Mocno poparł również działania zmierzające do zapewnienia państwom Trójmorza bezpieczeństwa energetycznego, podkreślając, że już nigdy Europa nie będzie uzależniona od jedynego dostawcy energii. To istotne nowe kierunki rozwoju polityki zagranicznej obecnego prezydenta USA.

Czy można powiedzieć, że był to początek definiowania doktryny Trumpa?

Sądzę, że w Warszawie obserwowaliśmy proces wykuwania się potencjalnie bardzo dobrej i użytecznej polityki zagranicznej Białego Domu wobec Europy. Słowa, które usłyszeliśmy, były inne niż te, które pamiętamy z kampanii wyborczej. Oczywiście, Donald Trump nie wycofuje się ze swych żądań, aby pozostali członkowie NATO robili więcej, żeby wywiązać się ze

eprasa.pl 464d4774fb

FOT. IMAGELINKPHOTO.COM

swych zobowiązań, i z tego właśnie powodu przyleciał do Polski. Polska jest bowiem w tej materii wzorem do naśladowania. I Trump mocno ją za to chwalił podczas warszawskiego przemówienia.

Rzecz jasna, podobne żądania wysuwała też wobec sojuszników poprzednia administracja w Waszyngtonie. Prezydent Trump na początku swego urzędowania rzeczywiście mocniej ich przycisnął, ale teraz uzupełnia swą politykę zagraniczną o nowe elementy, pozytywne z punktu widzenia europejskich sojuszników. To, co mnie uderzyło w jego warszawskim przemówieniu, to bardzo wyraźne promowanie przez prezydenta Trumpa wizji Europy, która w całości jest wolna i bezpieczna. Jednocześnie wychwalał NATO za działania z czasów zimnej wojny. Takich słów – które istotnie zwiększają zdolność Trumpa bycia przywódcą zachodniego świata – wcześniej nie słyszeliśmy.

Nie sądzi pan, że twarde i krytykowane przez wielu europejskich polityków stanowisko Trumpa wobec europejskich sojuszników paradoksalnie wzmocniło NATO?

Jasność przekazu i natarczywość nowego prezydenta rzeczywiście przyczyniają się do skłonienia sojuszników do zwiększania budżetów na obronę i przyspieszania decyzji o wzroście wydatków na zbrojenie. Czy jednak może on przypisać taką zasługę wyłącznie sobie? Bardzo w to wątpię. Sądzę, że bardzo pomocne w przekonywaniu sojuszników z NATO do większych wydatków na obronność są również działania Władimira Putina.

W Warszawie prezydent Trump zażądał również od Rosji zaprzestania „destabilizujących działań" na Ukrainie i w innych regionach świata. To chyba najostrzejsze jak dotąd słowa skierowane do Moskwy?

Tak. Sądzę, że w ten sposób położył fundamenty pod spotkanie z Władimirem Putinem w czasie szczytu G20. Sama jego podróż do Warszawy była pod tym względem symboliczna. Symboliczny wymiar miały też spotkania z przywódcami państw Trójmorza. Donald Trump zapewniał bowiem o chęci wsparcia Inicjatywy Trójmorza jako sposobu na zwiększenie bezpieczeństwa tego regionu, a jednocześnie jasno podkreślał zagrożenie płynące ze strony Rosji.

To znaczy, że nie powinniśmy się już bać, iż Trump „przehandluje Europę", przed czym tuż po jego inauguracji ostrzegało wielu komentatorów?

Sam byłem w gronie osób, które były zaniepokojone przedwyborczą retoryką Donalda Trumpa. Podczas kampanii wprost zapowiadał on próbę kolejnego „resetu" z Rosją. Od czasu, gdy został prezydentem, ze strony Białego Domu płynie o wiele bardziej stanowcza krytyka rosyjskiej inwazji na Ukrainie. Obserwujemy zaostrzenie sankcji nałożonych na Rosję w odpowiedzi na okupację ukraińskich ziem. Słyszeliśmy też, jak zarówno sekretarz stanu, jak i sekretarz obrony w gabinecie Donalda Trumpa wskazali Rosję jako najważniejsze zagrożenie dla bezpieczeństwa zachodniego świata. Byliśmy też świadkami operacji wojskowej, podczas której na rozkaz prezydenta amerykańskie rakiety Tomahawk zniszczyły cele na terenie Syrii, jednego z najważniejszych państw satelickich Rosji. Polityka zagraniczna prowadzona przez prezydenta Trumpa nie tylko różni się od tej zapowiadanej podczas kampanii wyborczej, lecz także wydaje się jedną z ostrzejszych wobec Rosji. To dobrze, ponieważ tego właśnie trzeba.

Sądzi pan, że Trump wyrazi zgodę na transfer śmiercionośnej broni na Ukrainę?

Ja od dawna postuluję takie rozwiązanie. Amerykański senat niedawno ogromną większością głosów przyjął ustawę zezwalającą prezydentowi na taki ruch. Mam więc nadzieję, że Donald Trump podejmie taką decyzję, ponieważ pomoże ona Ukrainie się bronić i przyczyni się do zwiększenia bezpieczeństwa wschodniej flanki zachodniego świata. Z pewnością istotnie zwiększyłaby ona bowiem

eprasa.pl 464d4774fb

cenę, jaką Rosjanie musieliby zapłacić za inwazję na nowe ukraińskie terytoria. To zaś przyczyniłoby się do większych możliwości odstraszania Rosji.

Sama Rosja wciąż rozwija swoje zdolności wojskowe. Niedawno Moskwa przesunęła na granicę z Łotwą i Estonią 2,5 tys. swoich żołnierzy. Czy możemy się spodziewać powtórki z Krymu i kolejnej akcji „zielonych ludzików"?

Trudno przewidzieć kolejne ruchy Moskwy. Z pewnością nie można nie doceniać obecnego przywódcy Rosji. W przeciwieństwie do Nikity Chruszczowa, który działał pod wpływem emocji, Władimir Putin to spokojny gracz. To oportunista, który potrafi wyciągać korzyści z powstałych okoliczności. Ma również strategię, której celem jest przywrócenie rosyjskiej strefy wpływów na obszarze zbliżonym do tego, jaki kiedyś kontrolował Związek Sowiecki. Mocno stara się również, aby Rosja odzyskała status światowego mocarstwa. Kluczowym sposobem na osiągnięcie tych celów jest osłabienie Zachodu. Gdy tylko Putin widzi jakiś rozłam na Zachodzie – np. mniejsze zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w gotowość do obrony Europy – próbuje to wykorzystać. Sądzę, że decyzja prezydenta Baracka Obamy o wycofaniu istotnej części wojsk amerykańskich z Europy stworzyła w Moskwie wrażenie, że nadarzyła się okazja, aby działać. Ogłoszony przez administrację Donalda Trumpa powrót amerykańskich wojsk do Europy może pomóc w odstraszeniu Rosji.

Na terenie Polski stacjonuje jednak zaledwie 5 tys. amerykańskich żołnierzy. Czy są oni w stanie odstraszyć Władimira Putina?

To zależy. Jeśli NATO-wskie bataliony będą uzbrojone jedynie w karabiny, to nie odstraszą Putina. Jeżeli jednak oddziały te będą miały silne zdolności bojowe; jeżeli będą wyposażone w odpowiednio śmiercionośną broń, np. broń przeciwpancerną, czołgi, artylerię; jeżeli będą miały dobre ISR (zdolności wywiadowcze i rozpoznawcze), co pozwoli im zmniejszyć ryzyko nagłego ataku; jeżeli będą zintegrowane z polską armią i jeśli NATO będzie miało dobre scenariusze działania na wypadek zagrożenia i będą gotowe rzeczywiście je zrealizować – wówczas te 5 tys. żołnierzy może być świetnym środkiem odstraszania. Polska ma jednak prawo zadawać pytania, czy ten pierwszy krok jest rzeczywiście wystarczający. I zgadzam się, że choć podjęto działania w dobrym kierunku, to trzeba zrobić dużo więcej, aby oddziały te były rzeczywiście wiarygodnym środkiem odstraszania.

Stosunki NATO z Rosją stają się coraz bardziej napięte. Czy obserwuje pan wzrost ryzyka militarnej konfrontacji?

To ryzyko nie tylko rośnie – ono już istnieje. Rosjanie znacząco zwiększyli swoje siły w rejonie Ukrainy. Obserwujemy wzrost napięcia w Gruzji. Rosjanie coraz częściej nękają i prowokują siły NATO-wskie, w tym m.in. wojska Stanów Zjednoczonych oraz – ostatnio – jednostki z Polski. Z tego powodu zaczynamy podejmować konkretne kroki, aby zapobiec militarnej konfrontacji.

Naprawdę widzi pan ryzyko wybuchu wojny na pełną skalę?

Tak. Takie ryzyko istnieje. Oczywiście, jeśli zapyta mnie pan, czy obawiam się, że Putin chce zająć Warszawę czy Berlin, to moja odpowiedź brzmi: „Nie". On nie jest nieracjonalny. Obawiam się jednak, że rozbudowa sił wojskowych, zwiększenie liczby prowokacji militarnych świadczą o tym, iż realne staje się ryzyko, że ktoś się przeliczy i dojdzie do nieplanowanego starcia. W tym regionie świata, przy takiej, a nie innej doktrynie wojskowej Rosji, ryzyko błyskawicznej eskalacji ewentualnego konfliktu jest bardzo poważne.

Putin to oportunista, który stara się wykorzystywać słabość Zachodu

Czy to oznacza, że zbliżające się rosyjsko-białoruskie manewry Zapad 2017 mogą nieść ze sobą duże ryzyko?

Z pewnością są one bardziej niebezpieczne niż w przeszłości, choćby z powodu ostatnich rosyjskich prowokacji. Spodziewam się, że głównym celem ćwiczeń Zapad 2017 będzie podkopanie wiarygodności zwiększonej obecności sił NATO w Europie Środkowej.

Niektórzy eksperci ostrzegają, że po zakończeniu manewrów rosyjskie oddziały nie wycofają się już z Białorusi.

Podzielam te obawy. Trudno przewidzieć, co rzeczywiście się wydarzy, ale obserwując ostatnie relacje Putina z Łukaszenką i patrząc na plany tych manewrów, a także ruchy wojsk, można dojść do wniosku, że te ćwiczenia będą miały większą wagę niż normalnie. Obawiać powinni się więc nie tylko Białorusini, lecz także kraje zachodnie.

Polski rząd podpisał memorandum na zakup nowoczesnych baterii rakiet Patriot. Co jeszcze mogą zrobić władze w Warszawie, aby istotnie zwiększyć bezpieczeństwo kraju?

Moim zdaniem Polska przedstawiła bardzo dobry, rozbudowany plan zwiększenia zdolności obronnych. Prawidłowo oceniono w nim największe zagrożenia i przygotowano plany rozwoju armii konieczne do obrony polskiego terytorium, takie jak choćby rozwój obrony przeciwpowietrznej i uzbrojenia przeciwpancernego. Jako Amerykanin muszę też docenić element rozwoju zdolności ekspedycyjnych, co pozwoli Polsce na udział w operacjach sojuszu. Muszę więc pochwalić polskiego ministra obrony za dobrze wykonaną pracę. Chcę jednak podkreślić: macie dobry plan, teraz czas wprowadzić go w życie. Oczywiście nie da się tego zrobić jednego dnia. Dobra wiadomość jest jednak taka, że jeśli porówna się potencjały armii rosyjskiej i wojsk NATO-wskich, to Zachód wciąż ma ewidentną przewagę. Taki sam wniosek płynie z porównania potencjałów gospodarczych Rosji i Zachodu. Władimir Putin popełniłby więc poważny błąd, gdyby nagle spróbował sprawdzić wiarygodność art. 5 traktatu waszyngtońskiego.

To oczywiście nie znaczy, że możemy się już zrelaksować. Przeciwnie: musimy robić więcej, jednocześnie więcej inwestując w uzbrojenie, a także lepiej wykorzystując te środki, które już mamy. Mamy bowiem dobrze przygotowanych wojowników, których umiejętności zostały sprawdzone w Afganistanie i innych krajach. Teraz najpilniejszą rzeczą do zrobienia jest zmiana sposobu myślenia polityków. Nie jest bowiem przekonany, czy polityczne elity są zdolne do myślenia o ryzyku potencjalnego konfliktu, o którym myśleli politycy w czasie zimnej wojny. Ta zmiana myślenia pozwoliłaby na zwiększenie liczby manewrów, zakup potrzebnych środków militarnych, przetestowanie różnych scenariuszy, przygotowanie właściwej odpowiedzi na rosyjskie prowokacje – czyli do zademonstrowania gotowości do obrony zachodniego świata. Nie mówię rzecz jasna o powrocie do nowej zimnej wojny, ale czasem warto jednak wyciągać wnioski z przeszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

W szczycie Trójmorza uczestniczyli przedstawiciele 12 państw Europy Środkowej i Wschodniej. Gościem specjalnym był prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump

FOT. WOJTEK LASKI/EAST NEWS

Trójmorze jest ważne

Rozwój infrastruktury i bezpieczeństwo energetyczne – to najważniejsze cele Inicjatywy Trójmorza. W czwartek w Warszawie odbył się szczyt państw tworzących ten projekt, w piątek podpisano pierwsze umowy

Prezydent Andrzej Duda podkreślał podczas szczytu, że Inicjatywa Trójmorza „ma dać Europie trzy impulsy: modernizacyjny, integracyjny i zjednoczeniowy". Zaznaczył, że kraje naszej części Europy potrzebują dobrych połączeń drogowych, kolejowych, telekomunikacyjnych i energetycznych. Deklarował, że współpraca ma zacieśnić więzi między krajami nie tylko tej części kontynentu, lecz także „naszej części Europy z pozostałą częścią UE".

Jedną z inicjatyw, które chcą zrealizować państwa Trójmorza, jest utworzenie gazowego korytarza między gazoportem w Świnoujściu a przyszłym gazoportem na wyspie Krk w Chorwacji. – Chcemy, by nigdy nie było takiej sytuacji, że ktokolwiek będzie mógł zastosować wobec któregokolwiek z krajów naszej części Europy szantaż gazowy – zaznaczył Andrzej Duda.

Swoje wsparcie dla inicjatywy państw Trójmorza okazał Donald Trump, który był gościem specjalnym szczytu w Warszawie. – Mamy ogromne zasoby energetyczne, w tej chwili jesteśmy eksporterami energii, dlatego niezależnie od tego, kiedy jej będziecie potrzebować, po prostu do nas dzwońcie. Stoimy ramię w ramię z krajami Trójmorza – zapewnił prezydent Stanów Zjednoczonych. – Poradziliście sobie z latami ucisku i wszystkich was łączy nadzieja, że wasi obywatele będą rozkwitać, handel będzie się rozwijać, kraje zaś będą absolutnie rozkwitać. Chcę wam pogratulować wspaniałej pracy, którą wykonujecie dla tego regionu – dodał Donald Trump.

W czwartkowym szczycie uczestniczyli przedstawiciele 12 państw: Austrii, Bułgarii, Chorwacji, Czech, Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Rumunii, Słowacji, Słowenii i Węgier. W piątek doszło do podpisania pierwszych umów biznesowych, które mają realizować koncepcję Trójmorza.

O zawartych porozumieniach poinformowano podczas wspólnej konferencji Andrzeja Dudy i prezydent Chorwacji Kolindy Grabar-Kitarović, współgospodarza czwartkowego szczytu. Umowy zawarły ze sobą m.in. polskie i chorwackie firmy z branży logistycznej, transportu kolejowego i morskiego. – To jest właśnie ten konkret, o który chodzi nam, prezydentom 12 państw inicjatywy Trójmorza, państw Europy Środkowej. Aby te umowy były podpisywane. Aby ta współpraca była nie tylko pomiędzy nami, prezydentami, lecz także żeby ona przechodziła na współpracę międzyrządową, na współpracę między samorządami oraz żeby była współpracą pomiędzy przedsiębiorcami, firmami z naszych krajów – mówił podczas konferencji Andrzej Duda.

Podpisano pięć porozumień, m.in. między polskim Ministerstwem Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej a Ministerstwem Morza, Transportu i Infrastruktury Republiki Chorwacji o wzmocnieniu współpracy; o współpracy w zakresie wspierania rozwoju rynku gazowego Europy Środkowej i Wschodniej pomiędzy Operatorem Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM a operatorem gazociągów przesyłowych Republiki Chorwacji Plinacro czy porozumienie między Zarządem Morskich Portów Szczecin i Świnoujście a Zarządem Portu Rijeka.

– Rozwój infrastruktury w naszej części Europy ma się przyczynić do ujednolicenia rozwoju krajów Trójmorza oraz przybliżyć poziom naszego rozwoju do tego, jaki jest w Europie Zachodniej – podkreślał podczas konferencji prezydent Andrzej Duda. ©℗

Radosław Wojtas

eprasa.pl 464d4774fb

Skończmy z fiskalnymi przywilejami

FOT. FOTOLIA

Stefan Sękowski

Twórcom nie należą się przywileje podatkowe. Za to wszystkim Polakom należą się równe i niskie daniny

Nie minęły dwa tygodnie od momentu, w którym Sejm głosami posłów PiS odrzucił propozycję Kukiz'15, by przywrócić pełne odliczenie 50 proc. kosztów uzyskania przychodów dla twórców, a Jarosław Kaczyński podczas kongresu tegoż PiS zapowiedział, że trzeba będzie to właśnie zrobić, choć „już nie w tym roku". Obecnie pisarze, artyści plastycy, architekci czy dziennikarze od swoich dochodów mogą, przy obliczaniu podatku, stosować je tylko do limitu wynoszącego 42,8 tys. zł rocznie. Tyczy się to m.in. sprzedaży praw autorskich, przeniesienia praw własności wynalazku oraz opłat licencyjnych. Rozwiązanie wprowadzono w 2013 r., za rządów Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego (stąd obiegowa nazwa „podatek Tuska"), i była to jedna z wielu podwyżek podatków, które zaserwowano wówczas Polakom – wcześniej bowiem tego limitu nie było.

Na pierwszy rzut oka te obiecanki cacanki powinny budzić zachwyt – przynajmniej tych, którzy zarabiają lub chcieliby zarabiać wystarczająco dużo, by na nich skorzystać. Mnie jednak nie zachwycają. Zabrzmię jak karp domagający się przyspieszenia Wigilii, w dodatku występujący przeciwko interesowi własnej grupy zawodowej, ale trudno. Uważam, że nie tylko „podatek Tuska" powinien zostać zniesiony, lecz także 50-procentowy koszt uzyskania przychodów to niezasłużony przywilej „branży kreatywnej" i jako taki nie jest wart obrony. Oczywiście z punktu widzenia interesu naszej wspólnoty, nie z punktu widzenia interesu samych zainteresowanych.

NIESPRAWIEDLIWY PRZYWILEJ

Do wprowadzenia tego upustu miał skłonić władze sanacyjne felieton Tadeusza Boya-Żeleńskiego „Paradoksy fiskalne" z 1928 r. Liczni prawicowi internauci wytknęli kukizowcom, że powołują się na tego „lewicowego liberała", który był jednym z animatorów ówczesnej kampanii

eprasa.pl 464d4774fb

na rzecz aborcji. Niesłusznie – Boy-Żeleński był bowiem nie tylko zwolennikiem aborcji, lecz także wybitnym tłumaczem literatury francuskiej i błyskotliwym publicystą, któremu niestety zdarzało się wykorzystywać talent także w niecnych celach.

W „Paradoksach fiskalnych" autor utyskuje na praktyki ówczesnych służb podatkowych wobec pisarzy, co samo w sobie nie jest zbyt oryginalne; działalność fiskusa to od zawsze jedno z paliw publicystyki. Z tego felietonu przeszło do historii wskazanie, jak trudno jest obliczyć koszty działalności artysty. „Warunkiem pracy pisarza jest znajomość życia, a znajomość życia to »surowiec«, za który drogo się płaci" – pisze Boy-Żeleński. I podaje jako przykład m.in. dramaturga, „który napisał satyrę przeciw dansingom" i w tym celu chodził na nie przez trzy lata, co przecież było bardzo kosztowne, czy wiersze miłosne Paula Verlaine'a, którego muza Eugenia Krantz wciąż tylko żądała od niego pieniędzy. Na końcu Żeleński proponuje, by te koszta „ująć w jakiś ryczałt, w jakiś procent", co zbliżyłoby nas do sprawiedliwości podatkowej.

Taki procent teraz mamy. Tylko czy on rzeczywiście jest sprawiedliwy? Weźmy np. pracę publicysty. Jest powiedzenie, że trzeba przeczytać sto stron, żeby napisać jedną. A przecież są także twórcy, którzy przeczytali tylko jedną stronę i swoje refleksje na jej temat powtarzają w kółko, zapełniając setki stron, i nawet na tym zarabiają. Raz nad artykułem ślęczy się miesiącami, przeprowadzając liczne rozmowy i kwerendy w bibliotekach, innym razem świetny tekst powstaje w dwie godziny, wyrastając na podglebiu, które osadziło się na mózgu, nie wiadomo kiedy i gdzie. Czy Igor Zalewski czerpiący inspiracje do swoich felietonów dla „Do Rzeczy" garściami z życia rodzinnego ponosi z tego tytułu dodatkowe koszty, których by nie ponosił, gdyby – dajmy na to – był kierowcą rajdowym lub budowlańcem? A może przeciwnie, tkwiąc w tej logice, należałoby mu naliczyć jakiś domiar, ponieważ publikując, osiąga dodatkową korzyść majątkową, jako że życie rodzinne jest, mimo wszystkich kosztów, korzyścią samą w sobie?

Nie wnikając w tym miejscu w absurdy podatku dochodowego jako takiego, to wszystko są często kwestie niepoliczalne (nie licząc tych, które są policzalne i które publicysta, prowadzący jednocześnie jednoosobową firmę, może wliczyć sobie w koszty), a 50-procentowy ryczałt czysto umowny. Nawet gdyby jednak były, to i tak nie ma powodu, by przerzucać je na ogół. Jest to typowy przykład socjalizacji kosztów i prywatyzacji zysków. Tutaj chodzi o zasadę, bo twórcy wcale nie są najbardziej uprzywilejowaną grupą w Polsce. „Koszty kosztów" wynosiły w 2014 r. (takie są najświeższe dane Ministerstwa Finansów, opublikowane w raporcie „Preferencje podatkowe w Polsce" w 2016 r.) 839 mln zł – Kukiz'15 szacuje, że zniesienie limitu kosztów uszczupliłoby wpływy do budżetu o kolejne 107 mln zł. Nawet gdy zsumujemy te kwoty, i tak to tylko nieco ponad 1 proc. wartości wszystkich preferencji podatkowych, jakie MF brało pod uwagę przy sporządzaniu swojego dokumentu, które wynosiły łącznie 87,7 mld zł. A i to nie wszystkie przywileje, bo np. MF nie jest w stanie oszacować korzyści, jakie osiągają rolnicy z tego, że nie płacą PIT. W ogóle przywileje rolników – przy całym szacunku dla ich ciężkiej pracy – są grubo niedoszacowane, bo nie uwzględnia się w nich choćby dofinansowania z budżetu sięgającego ok. 18 mld zł do Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego (na co, przynajmniej jeśli chodzi o PIT, się w większości nie składają). To samo tyczy się zresztą innych grup zawodowych, które korzystają z przywilejów emerytalnych (górnicy, nauczyciele i wojskowi), a na których uposażenie na starość się składamy.

To oczywiście kwestia tego, że w Polsce – niesłusznie – nie traktuje się obowiązkowych składek ubezpieczeniowych jako podatku. Nawet jednak bez tego aneks do raportu wyszczególniający wszystkie preferencje podatkowe liczy aż 92 strony. Garść przykładów: największym przywilejem w PIT jest ulga na dzieci wraz ze zwrotem niewykorzystanej ulgi (łącznie 7 mld zł). Z kolei jeśli chodzi o zwolnienia firm działających na terenie Specjalnych Stref Ekonomicznych, to przynoszą one „straty" w wysokości 2,5 mld zł z CIT, a VAT jest istną kopalnią przywilejów wynikających z istnienia różnych stawek oraz możliwości otrzymania zwrotów.

Nie znaczy to, że wszystkie preferencje podatkowe są zbędne. Opodatkowanie świadczeń z pomocy społecznej czy rent dla kombatantów byłoby absurdem, także jeśli uważamy, że jako społeczeństwo powinniśmy odciążyć rodziców w kosztach wychowywania dzieci – wtedy odpowiednia ulga jest zrozumiała. Problem w tym, że jeśli chcemy naprawiać świat za pomocą systemu podatkowego, to zaczynamy „rozumieć" potrzebę istnienia coraz większej liczby przywilejów – a to nie tylko komplikuje życie, lecz także zachęca do nadużyć, czego doskonałym przykładem są liczne przestępstwa podatkowe związane z VAT. I przerzuca konieczność zapłacenia różnicy na tych, którzy są pozbawieni tych przywilejów, nie mówiąc już o zaburzaniu konkurencji, jak to jest choćby przy przeciągającym się funkcjonowaniu SSE. Wolnościowi obrońcy podatników często zapominają, że wśród kryteriów, jakie wobec dobrego systemu podatkowego stosowali klasyczni liberalni ekonomiści – tacy jak Adam Smith i Jean-Baptiste Say – była nie tylko taniość czy niski wymiar podatku, lecz także jego równość. Przykładowo: wspólne opodatkowanie małżonków (3 mld zł rocznie) przestałoby być „preferencją podatkową", gdyby wprowadzić liniowy PIT. To samo można powiedzieć o wprowadzeniu jednolitej stawki VAT.

DOBRY PODATEK TO RÓWNY PODATEK

Dlatego zasadą powinna być równość podatkowa. Niestety, dziś jest ona raczej wyjątkiem od reguły, którą jest stosowanie przywilejów obejmujących często miliony osób. I co tu dużo ukrywać, służących do ich przekupywania przez rządzących i partie polityczne – dlatego ich likwidacja jest bardzo trudna. A jednak należy właśnie do niej dążyć.

Niestety, często dążenie do równości jest pretekstem do podnoszenia podatków. Równa się przez podwyższanie danin tym, którzy do tej pory płacili mniej. Przykładem jest choćby kwestia walki z unikaniem płacenia składek na ubezpieczenie społeczne, które nie polega na gruntownej reformie systemu emerytalnego, ale na oskładkowaniu wszystkiego, co się rusza, bez jednoczesnego obniżania składek tym, którzy już je płacą. Funkcji zrównującej nie pełnił także zarzucony już, a planowany wcześniej przez ekipę PiS jednolity podatek, w zamyśle składający się z licznych progów i wyjątków. Są co prawda pierwsze jaskółki dobrych zmian w tym zakresie, ale znów: propozycja obniżonego ZUS dla drobnych przedsiębiorców oznacza nadawanie kolejnych przywilejów (nawet jeśli w praktyce będzie to oznaczało wyrównywanie klina podatkowego), które dodatkowo gmatwają całą sprawę. Zamiast więc wyszukiwać kolejne grupy, którym moglibyśmy ulżyć, ulżyjmy wszystkim, dążąc do równości płacenia umiarkowanych podatków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

eprasa.pl 464d4774fb

Ekwiwalent za niedogodności

polemika DO RZECZY

Łukasz Warzecha

Twórcy o wielu przywilejach, jakie mają etatowi pracownicy, mogą tylko pomarzyć. Likwidacja „podatku Tuska" byłaby sprawiedliwą rekompensatą

Obietnica przywrócenia twórcom 50 proc. kosztów uzyskania przychodów, którą złożył podczas kongresu PiS Jarosław Kaczyński, nie jest nowością. Przeciwnie – PiS obiecywał to już dawno temu, po raz pierwszy na przedwyborczym kongresie partii latem 2015 r. w Katowicach.

Wbrew temu, co twierdzi wielu krytyków twórczego przywileju podatkowego wywodzącego się z II Rzeczypospolitej, nie jest on bezzasadną preferencją. 50 proc. kosztów uzyskania przychodu – czyli w praktyce naliczenie podatku dochodowego jedynie od połowy zarobionych pieniędzy – zostało wywalczone przez polskich twórców pod koniec lat 20. XX w. Najbardziej znane są argumenty przytoczone przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego w pamiętnym tekście „Paradoksy fiskalne". Chociaż od jego publikacji minęło blisko 90 lat, nie straciły nic na aktualności.

CIĄGLE W PRACY

Boy-Żeleński wywodził, że w przypadku twórcy (pisarza, poety, publicysty, rzeźbiarza, malarza itd.) bardzo trudno oddzielić koszt uzyskania przychodu od kosztów codziennego życia. I nic się tu nie zmieniło. Gdyby twórca (przez to określenie rozumiem osobę, która wykonuje autentyczną pracę twórczą, czyli powołuje coś za każdym razem nowego, oryginalnego, wymagającego samodzielnej inwencji i koncepcyjnego, umysłowego wysiłku) miał wyliczyć, co jest dla niego inspiracją i co daje mu paliwo do działania oraz dostarcza pomysłów, a następnie miałby to przełożyć na konkretne koszty, musiałby nierzadko podliczyć niemal wszystkie swoje wydatki. „Surowcem" dla twórcy są bowiem przeczytane gazety, obejrzane wiadomości, przeczytane książki, rozmowy prowadzone ze znajomymi i z nieznajomymi, informacje uzyskane w Internecie, zwiedzone muzea, obejrzane spektakle, obserwacje poczynione na ulicy i podczas wypoczynku – słowem: „surowcem" jest niemal każdy moment codziennego życia.

Tutaj tkwi zasadnicza różnica między zawodami twórczymi – a może nawet szerzej: wolnymi – a pracą na etacie, o czym krytycy twórczego przywileju chętnie zapominają. W pracy etatowej to pracodawca ma obowiązek dostarczyć pracownikowi surowiec i narzędzia. Pracownik dociera do pracy – i tylko tu ponosi koszt – a tam wszystko ma zapewnione. Jego robota zaczyna się z chwilą wejścia do zakładu, a kończy z chwilą jego opuszczenia. W zawodach twórczych jest całkiem inaczej: nie ma żadnych limitów czasu pracy, pracuje się właściwie cały czas, bo praca wymieszana jest z codziennym życiem i polega – jakkolwiek pretensjonalnie mogłoby to brzmieć – na nieustannym koncepcyjnym myśleniu; o surowiec zaś i narzędzia, również w sensie dosłownym (komputer, Internet itd.), twórca musi zadbać sam.

Nie jest to jedyna różnica między pracą etatową a zawodami twórczymi. W zawodach twórczych bowiem z zasady nie ma pewności, jaką daje etat lub nawet działalność gospodarcza. Nie odprowadza się składek na emeryturę, więc o swoją przyszłość trzeba zadbać samemu. Podobnie jest ze zdrowiem, bo składki na ubezpieczenie zdrowotne są dobrowolne. Nie ma gwarantowanych urlopów, nie ma zwolnień, a pracę trzeba nierzadko wykonywać w sytuacji, gdy etatowy pracownik mógłby spokojnie pójść na zwolnienie. 50 proc. kosztów uzyskania przychodów to swego rodzaju ekwiwalent za te niedogodności. Wydaje się szczególnie uzasadniony, gdy wziąć pod uwagę konieczność samodzielnego zgromadzenia środków na czas, gdy inni będą korzystać z państwowej emerytury.

Jest wreszcie sprawa najistotniejsza: zawody twórcze czy ogólniej zawody wolne to zajęcia, w których z natury rzeczy bywają okresy finansowego powodzenia i okresy słabe. Aktor przez jakiś czas gra w serialu lub dostaje główną rolę w filmie i wówczas ma wysokie przychody. Potem telefon nie dzwoni pół roku albo rok. Rzeźbiarz wykonuje znaczące zamówienie, za które jednorazowo zgarnia duże pieniądze, ale potem przez wiele miesięcy nie ma zajęcia. Pisarz publikuje książkę, przynoszącą większe pieniądze, raz na dwa lata. Muzyk wydaje płytę w podobnym cyklu. Niezatrudniony na etacie dziennikarz prowadzi dobrze płatny program przez rok, a potem musi się utrzymywać z oszczędności. Samodzielny naukowiec pracuje nad zleconym problemem przez określony czas, aby potem przez dłuższy okres musieć utrzymać się z zarobionych wówczas pieniędzy itd. Znacząca ulga podatkowa miała sprawiać, że te wahnięcia koniunktury nie będą tak mocno przez twórców odczuwane i pozwolą im funkcjonować względnie stabilnie.

NIE ZABRAŁ PRL, ZABRAŁ TUSK

Dlaczego postulaty Boya-Żeleńskiego trafiły na podatny grunt? Ponieważ państwo uznało, że właśnie twórcom warto zapewnić względnie komfortowe warunki, wziąwszy pod uwagę chwiej-

eprasa.pl 464d4774fb

ność i niepewność ich finansowej pozycji z jednej strony, a znaczenie tej grupy ludzi dla intelektualnej pozycji państwa z drugiej. To o tyle ciekawe, że – podobnie jak dzisiaj – znaczna część twórczej elity II RP nie była specjalnie przychylna ówczesnej władzy. Z przywileju mogli przecież skorzystać tacy jej krytycy jak Tadeusz Dołęga-Mostowicz, który swoją antysanacyjną „Karierę Nikodema Dyzmy" wydał w 1932 r. A jednak potrafiono się wznieść ponad płaskie partyjniackie myślenie i argumenty typu „po co im dawać, i tak nas nie poprą". Można odnieść wrażenie, że dziś to znacznie trudniejsze.

FOT. FOTOLIA

50 proc. kosztów przetrwało komunizm i sporą część III RP. Dopiero rząd Tuska ograniczył przywilej do przychodu w wysokości ok. 85 tys. zł, czyli do wartości pierwszego progu podatkowego. A progi – warto przypomnieć – mimo inflacji nie były od lat waloryzowane, co oznacza faktyczny wzrost podatków. Ze strony Tuska był to czystej wody populizm, ponieważ oczekiwany z tego powodu wzrost wpływów do budżetu miał wynieść ok. 300 mln zł rocznie, a ostatecznie sięgnął zaledwie blisko połowy tej kwoty. Z punktu widzenia budżetu był to zabieg bez znaczenia, ale Tusk podjął taką decyzję z dwóch powodów. Po pierwsze – żeby pokazać, że wszystkim zabiera po równo, był to bowiem moment ogłoszenia różnych decyzji oszczędnościowych. Po drugie – żeby dodatkowo upokorzyć czapkujące mu w większości środowisko twórców. I to mu się udało. Wbrew temu, co dziś piszą niektórzy, posunięcie ówczesnego premiera nie spotkało się z żadnym protestem ze strony zdecydowanej większości wpatrzonych w PO artystów czy dziennikarzy.

Tymczasem dla wielu przedstawicieli wolnych zawodów nowe reguły były szokiem. Z roku na rok ich dopłaty do podatku wzrosły o kilkadziesiąt, a czasami nawet o kilkaset procent! Ktoś, kto wcześniej dopłacał, dajmy na to, 5 tys. zł, nagle musiał dopłacić cztery, pięć, sześć razy tyle. I nie mówimy tu o krezusach zarabiających rocznie miliony. Niektórzy musieli wziąć kredyt na uregulowanie podatku, inni układali się z urzędami skarbowymi, aby dopłatę rozłożyć im na raty. Po pierwszym roku obowiązywania nowych zasad wielu założyło jednoosobowe firmy. Ci, którzy tą drogą z różnych powodów nie poszli, stwierdzili, że „podatek Tuska" pochłania to, co wcześniej byli w stanie odłożyć, choćby na poczet emerytury.

Trzeba przyznać, że zapowiadając przywrócenie 50 proc. kosztów w pełnym wymiarze, PiS w 2015 r. wykazał się odwagą. Ogromna część elektoratu partii rządzącej, mówiąc najdelikatniej, nie poważa szczególnie profesji, które by na tym skorzystały. Inna sprawa, że obietnica z 2015 r. utknęła. Początkowo wiceminister Jarosław Sellin deklarował, że zostanie zrealizowana jeszcze w 2016 r. Potem wycofał się z tego minister Gliński, mgliście napomykając o 2017 r. Na to nadziei też raczej nie ma. Opór stawia wicepremier Morawiecki, który obawia się, że z przywileju skorzystałoby zbyt wiele osób.

Pojawiają się też jednak głosy ze strony konserwatywnej, że tego typu przywilej w ogóle nie ma racji bytu, jeśli chce się jasnego i sprawiedliwego systemu podatkowego. Można by tu przyznać rację, gdybyśmy funkcjonowali w warunkach podatkowej równości i prostoty. Gdyby wszyscy płacili identyczny, liniowy podatek w rozsądnym wymiarze (np. 18 proc.), bez ulg, KRUS, przywilejów emerytalnych i tym podobnych wypaczeń, wówczas faktycznie 50 proc. kosztów uzyskania przychodów dla twórców nie miałoby racji bytu.

Tak jednak nie jest i nie zanosi się na to, aby miało być. W sytuacji, gdy różne grupy zawodowe (rolnicy, służby mundurowe, sędziowie itd.) są w stanie wywalczyć sobie liczne przywileje, przekładające się na ich finansową sytuację, nie ma żadnego powodu, aby w swojej sprawie nie lobbowali również twórcy.

Jest oczywiście sprawą otwartą, kto miałby do przywróconej ulgi prawo. Nie byłoby nic złego w tym, aby dopilnować, żeby odliczanie 50 proc. kosztów dotyczyło wyłącznie umów o prawa autorskie i aby te umowy obejmowały faktycznie wyłącznie te zajęcia, w których praca polega na szeroko pojętym tworzeniu. Wprowadzenie odpowiednich rozwiązań mogłoby rozwiać obawy ministra finansów.

Można jednak mieć podejrzenia, że poza powtarzaną co jakiś czas obietnicą PiS nic w tej sprawie nie zrobi. Gdyby bowiem naprawdę chciał twórcom ulżyć, mógł to dawno osiągnąć choćby poprzez podniesienie ustalonego za rządów PO limitu odliczenia. Już podwojenie granicy odliczenia do ok. 80 tys. zł stanowiłoby sporą różnicę, a zarazem ograniczyłoby negatywne skutki dla budżetu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Cóż, twórcy – w przeciwieństwie do górników, rolników czy służb mundurowych – nie wzbudzą powszechnej sympatii, nawet gdyby jakimś cudem wyszli na ulice, domagając się przywrócenia uprawnienia z blisko stuletnią historią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

FOT. JERZY MUSZYŃSKI/PAP

Z USA bezpieczniej

Agnieszka Łakoma

Amerykański gaz staje się elementem geopolityki, i to w naszym regionie Europy

Stany Zjednoczone za sprawą rewolucji łupkowej są w światowej naftowej czołówce i w najbliższych latach dołączą do liderów eksportu gazu. Dla Europy Środkowej – takich państw jak Polska czy kraje nadbałtyckie, uzależnionych przez lata od dostaw „błękitnego paliwa" z Rosji – to dodatkowa możliwość w całym procesie odzyskiwania niezależności energetycznej.

Donald Trump od początku prezydentury postawił na energetykę – eksport surowców ma zmniejszyć deficyt w handlu zagranicznym, a sama branża napędzać gospodarkę. Przewidywania są wyjątkowo optymistyczne, skoro tylko dzięki budowie terminali do skraplania gazu (obecnie pięciu) będzie miało pracę 170 tys. ludzi (nie tylko bezpośrednio), a potem na stałe 50 tys. osób, tzw. wartość dodaną zaś szacuje się na 20 mld dol. rocznie (przez najbliższą dekadę). Tak wynika z danych American Petroleum Institute. Na USA przypada teraz jedna piąta światowego wydobycia gazu, a Energy Information Agency prognozuje, że eksport amerykańskiego gazu skroplonego (LNG), który teraz trafia do 20 krajów w różnych częściach globu, w ciągu najbliższych pięciu lat zostanie potrojony.

NA PRZEKÓR ROSJI

Pierwsza dostawa gazu skroplonego z USA do gazoportu w Świnoujściu dotarła na zamówienie PGNiG miesiąc temu, a w sierpniu statek z amerykańskim paliwem dopłynie do litewskiej Kłajpedy. To przełom, ale nie znaczy, że Amerykanie wybrali te kraje z czystej przyjaźni. Chodzi o biznes i politykę, które działają na naszą korzyść. Ułatwiając Polsce, Litwie czy innym zainteresowanym krajom naszego regionu zróżnicowanie dostaw gazu i poprawiając bezpieczeństwo, Amerykanie uderzają w rosyjskie interesy gazowe. Chociaż to nie jest cios na miarę nokautu. Jedna trzecia gazu, który importuje Europa, pochodzi z Rosji. I kraj ten od lat skutecznie gra gazową kartą we współpracy z firmami z Niemiec, Włoch, Austrii czy Francji. Gazprom, budując gazociąg przez Bałtyk do Niemiec (Nord Stream), zyskał nową drogę transportu gazu, a teraz zabiega o budowę drugiej równoległej nitki i nie będzie już w ogóle musiał się przejmować krajami tranzytowymi, takimi jak Ukraina czy Polska, do niemieckiego wybrzeża zaś trafiać będzie 100 mld m sześc. gazu. Dla porównania – w zeszłym półroczu import z Rosji wyniósł 178 mld m i tym właśnie wynikiem tydzień przed wizytą amerykańskiego prezydenta w Warszawie chwalił się szef Gazpromu Aleksiej Miller. Chwalił się, bo to oznacza wzrost o 12 proc. a na dodatek Nord Stream pracuje na pełnych obrotach. Jednocześnie przypomniał, że unijne zamówienia na LNG spadły o 2 proc. Gazowe terminale nie wykorzystują bowiem w pełni swoich możliwości, największe – w Hiszpanii i Wielkiej Brytanii – tylko jedną piątą.

PATRONATY HONOROWE:

MINISTERSTWO ENERGII

MINISTERSTWO ROZWOJU

20 LAT Urząd Regulacji Energetyki

PARTNER:

PGE

eprasa.pl 464d4774fb

Dla Polski gaz z USA to dodatkowy wybór wobec Rosji. Pierwszy zapewnił Qatargas, podpisując długoletni kontrakt z PGNiG. Amerykańskie poparcie dla polskich planów uniezależniania się od Rosji ma jednak szczególne znaczenie. Minister Piotr Naimski na niedawnym Energy News Congress przekonywał, że w sprawie gazu mamy w USA sojusznika. – Dywersyfikacja leży w naszym interesie – mówił Piotr Naimski. – Chociaż Gazprom broni monopolu i dominującej pozycji na rynku, mnożąc drogi dostaw swojego gazu do Europy – dodał. Przytoczył wypowiedź jednego z szefów Gazpromu – że cena gazu rosyjskiego dla Polski będzie taka, jaką ta firma podyktuje.

Wiceprezes PGNiG ds. handlowych Maciej Woźniak przyznaje, że formuła cenowa w umowie z Gazpromem „jest nieadekwatna do warunków rynkowych i odbiega na niekorzyść od tego, na co liczyć mogą jego zachodnioeuropejscy klienci". – Warunki cenowe gazu rosyjskiego są również gorsze niż większość aktualnych ofert na dostawy LNG do Europy – dodał.

Jego zdaniem wraz z rozwojem eksportu z USA i Australii w ogóle rynek gazu skroplonego stał się obecnie rynkiem kupującego i trend ten utrzyma się co najmniej przez cztery lata, a wraz z nim ceny spadną.

Import gazu skroplonego stał się możliwy dzięki budowie gazoportu w Świnoujściu, który od początku był uważany za nasze okno na gazowy świat. Teraz w planach jest rozbudowa. Jak mówił na Energy News Congress szef GAZ-SYSTEMU Tomasz Stępień, decyzja już zapadła, a przygotowania trwają. Trzeba wybudować nowe stanowisko dla statków. Spółka zastanawia się, czy zainwestować w kolejny – trzeci zbiornik na gaz i bocznicę kolejową, by w ten sposób, a nie tylko rurociągami, gaz mógł być wywożony z portu (GAZ-SYSTEM poprzez swoją spółkę zależną Polskie LNG odpowiadał za budowę terminalu LNG, który zaczął działać ponad rok temu).

Jeśli plan się powiedzie, to przez gazoport do Polski będzie trafiać 7,5 mld m sześc. gazu rocznie – pod warunkiem, że będzie w pełni wykorzystywany (obecnie do 5 mld m sześc.). Jest też pomysł dalszej rozbudowy do 10 mld m sześc. rocznie. Czy to się uda? Jak wyjaśniał prezes Stępień, będzie to zależeć od klientów. Rozbudowa gazoportu to niejedyny pomysł na uniezależnienie się od Rosji. GAZ-SYSTEM przygotowuje się do budowy (wspólnie z Duńczykami) gazociągu z Morza Północnego do Polski (via Dania właśnie). Projekt zwany jest potocznie Bramą Północną. Dla spółki to duże wyzwanie, bo jest kosztowne – prawie miliard euro, a ciągle otwartą kwestią jest jego opłacalność. Prezes Stępień zapewniał na Energy News Congress, że już wstępne badanie rynku pokazało, iż to będzie opłacalne przedsięwzięcie. – Polska gospodarka odniesie korzyści, bo będziemy mieć dodatkowy dostęp do tańszego gazu. Dywersyfikacja źródeł gazu kosztuje, ale jej brak kosztuje o wiele więcej – dodał.

NAFTOWY LIDER

Niewykluczone, że wkrótce w Polsce pojawią się też tankowce z amerykańską ropą. Negocjacje w tej sprawie w ubiegłym roku prowadziła Grupa LOTOS (właściciel rafinerii w Gdańsku), ale do transakcji nie doszło. Prezes firmy Marcin Jastrzębski zapewnia, że jeśli chodzi o możliwości rafinerii, to bez problemu można amerykańską ropę przerobić i wyprodukować najwyższej jakości paliwo. – Zakup musi się nam jednak opłacać i ten czynnik jest decydujący – dodaje.

Grupa LOTOS i PKN Orlen ostatnio kupują ropę z różnych rejonów świata. Nie zmienia to jednak faktu, że dominują dostawy rosyjskie, ale te proporcje – gdy Rosjanie odpowiadali za ponad 90 proc. naftowego importu do Polski – to już przeszłość. Na przykład gdańska rafineria w pierwszym kwartale roku niemal jedną trzecią ropy sprowadziła spoza Rosji. – Nie podejmujemy decyzji, żeby komuś zrobić na złość, tylko po to, żeby poprawiać wyniki finansowe firmy – mówi szef LOTOSU. I wyjaśnia, że ze względów czysto biznesowych lepiej jest mieć do wyboru więcej gatunków i dostawców niż jednego. Większość rafinerii na całym świecie stosuje taką taktykę i jest to też element polityki bezpieczeństwa każdej firmy.

Na zmianę podejścia polskich rafinerii musiały zareagować PERN – spółka, która odpowiada za transport ropy rurociągami, oraz Naftoport – gdzie zawijają tankowce. Na początek powstał terminal w Gdańsku – swoista baza do magazynowania różnych gatunków ropy. Teraz – jak mówił podczas Energy News Congress prezes Igor Wasilewski – firma przygotowuje się do jego rozbudowy. Zainteresowanie projektem przerosło zaś oczekiwania, bo po oddaniu do użytku terminalu okazało się, że jest bardziej efektywny, niż zakładano przed rozpoczęciem prac.

Amerykanie tymczasem pompują coraz więcej ropy i zaczynają odgrywać kluczową rolę w światowej grze rynkowej. Część ekspertów skłania się ku opinii, że mogą mieć większy wpływ na ceny surowca niż osławiony OPEC. Ostatnie miesiące pokazały, że nawet jeśli kartel zdecyduje się wpuścić na rynek mniej ropy, to i tak efektu w postaci wyższej ceny nie widać. I nawet majowa decyzja OPEC, by utrzymać niższe wydobycie aż do marca przyszłego roku, niczego nie zmieniła. Nie jest tajemnicą, że to właśnie branża amerykańska doprowadziła do tego, że mamy jej nadmiar. Jak dużo zależy od USA, pokazuje przykład notowań ropy z przełomu czerwca i lipca (br.), które – po trwających wiele dni spadkach – nieco poszły w górę. A powodem były informacje, że wydobycie ropy w USA nie rośnie w takim tempie jak wcześniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest ekspertem Centrum Gospodarczego im. M. Kopernika.

Organizatorami Energy News Congress, który odbywał się w dniach 28–29 czerwca w Warszawie, były tygodnik „Do Rzeczy" i Centrum Gospodarcze im. M. Kopernika.

PARTNERZY:

PERN PGNiG LOTOS GAZ-SYSTEM PFR Polski Fundusz Rozwoju KPMG

ORGANIZATORZY:

Centrum Gospodarcze im. Mikołaja Kopernika DO RZECZY

PATRON MEDIALNY: Fakt

PATRON MERYTORYCZNY: Klub Dziennikarzy

eprasa.pl 464d4774fb

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wirus Radziwiłła

Tylko patrzeć, jak wirus Radziwiłła – ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła – zaatakuje. Na początek szpitale – te, które nie zdołały się zakwalifikować do sieci placówek z gwarancją finansowania ze środków publicznych (pójdzie na to aż 93 proc. budżetu NFZ) i które niebawem zaczną padać jak muchy, bo będą mogły się ubiegać tylko o pozostałe 7 proc. pieniędzy z kasy NFZ. Wkrótce jednak wirus Radziwiłła zacznie atakować również ludzi – pacjentów, którzy leczyli się lub czekali na leczenie w szpitalach niewłączonych do sieci i którzy w związku z tym będą musieli poszukać sobie innej placówki. Czy zdążą ją znaleźć na czas? Czyli zanim pogorszy się ich stan zdrowia albo – nie daj Boże – stanie się coś jeszcze gorszego?

Już wiadomo, że poza siecią szpitali Radziwiłła znalazło się 319 placówek leczniczych spośród 912, które miały kontrakt z NFZ – niemal 8 tys. spośród 153 tys. łóżek szpitalnych, czyli niemało. I wcale nie jest tak, że na liście uprzywilejowanych nie znalazły się wyłącznie prywatne szpitale jednodniowe czy mało ważne oddziały w szpitalach publicznych (choć na pewno stanowią zdecydowaną większość). A to nie może nie doprowadzić – nie ma na to siły – do wydłużenia kolejek, w których chorzy czekają na leczenie. Choćby tylko o tych ludzi, którzy zostaną wypchnięci z list oczekujących na zabiegi czy operacje w placówkach, które wskutek utworzenia sieci szpitali stracą kontrakty z NFZ.

A kolejki te wydłużają się od lat. Jak podaje „Rzeczpospolita", na operację zaćmy trzeba dziś czekać 22 miesiące, a na wstawienie endoprotezy stawu biodrowego – 43 miesiące. Ile trzeba będzie czekać na wykonanie tych – i innych – zabiegów po starcie sieci szpitali? Minister Radziwiłł zapewnia, że właśnie dzięki stworzeniu sieci kolejki zaczną się zmniejszać. Nie ja jeden obawiam się, że się myli i będzie odwrotnie. Kolejki nie tylko gwałtownie się wydłużą, gdy w szpitalach sieci pojawią się tysiące pacjentów, którzy wypadli z kolejek w lecznicach, które się w niej nie zmieściły, lecz także później będą z każdym miesiącem coraz dłuższe. Albowiem wypłacanie szpitalom z sieci kwot zryczałtowanych, a na tym ma polegać nowy system – zamiast, jak teraz, w wysokości uzależnionej od liczby leczonych w nich pacjentów – proces ich wydłużania się przyspieszy, a nie spowolni.

O tym, kto jest w błędzie, łatwo się będzie przekonać, i to dość szybko. I proszę mi wierzyć, jak rzadko tak w tej sprawie naprawdę bardzo, ale to bardzo, chciałbym się mylić. Wprost marzę, żeby to minister Radziwiłł miał rację; żeby kolejki do szpitali zaczęły topnieć w oczach lub przynajmniej przestały rosnąć, a informacja o pojawieniu się wirusa Radziwiłła okazała się kolejnym fake newsem. W końcu chodzi o życie i zdrowie nas wszystkich – w tym moje. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

O percepcji

Niedawno mój kierowca opowiedział mi, że ma dwóch młodszych braci bliźniaków, jednojajowych. Są identyczni dla wszystkich poza nim, on ich odróżnia. Nie potrafi powiedzieć po czym, ale dla niego znacząco się różnią. Od prawie trzech lat mieszkam w Kazachstanie, a niedawno byłem tranzytem na lotnisku w Bangkoku. Wszędzie mnóstwo Azjatów, tłumy. Nagle z daleka widzę grupę i od razu pomyślałem – Kazachowie. Gdy mnie mijali, słyszałem, jak mówią po rosyjsku, faktycznie przylecieli z Ałma Aty. Nie wiem, po czym ich rozpoznałem z daleka, po prostu poznałem. Odpowiednio wytrenowany mózg jest w stanie rozpoznać rzeczy, których inny mózg „nie zobaczy".

W sytuacji tak spolaryzowanych opinii bardzo trudno jest prowadzić dyskurs publiczny i wypracować dobre rozwiązania

Czasami się zastawiam, jak to możliwe, że mózgi Polaków, którzy dzielą ten sam kraj, zostały poddane tak różnemu treningowi; że patrząc na to samo, widzimy diametralnie różne rzeczy. Dla jednych prezydent Warszawy to szef mafii urzędniczej, która okradała warszawiaków. Dla innych to zaszczuty przez PiS porządny urzędnik. Do tych wniosków dwóch Polaków dochodzi na podstawie takiego samego zbioru informacji, który jest publicznie dostępny. Albo dwóch ekonomistów ocenia działania banków centralnych w sposób diametralnie różny. Jeden widzi w EBC zbawcę strefy euro, który uratował Europę przed potężnym kryzysem, inny widzi w EBC instytucję, która działa na pasku banksterów, podsyca bańkę na rynku finansowym i doprowadzi do największego kryzysu wszech czasów.

W sytuacji tak spolaryzowanych opinii bardzo trudno jest prowadzić dyskurs publiczny i wypracowywać dobre dla społeczeństwa rozwiązania. Jak można przekonać kogoś, że jednojajowe bliźniaki tak naprawdę bardzo się różnią? Oczywiście można wprowadzić się do domu Żeni, pomieszkać z nimi kilka lat i pewnie z czasem dostrzeżemy różnice, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W praktyce jednak takie rozwiązanie jest bardzo czasochłonne i niepraktyczne. Jak zatem skłonić Polaków do zgody w pewnych kwestiach? Jak spowodować, żeby dostrzegli punkt widzenia drugiej strony?

I kilka pytań. Czy Polska powinna przyjąć uchodźców z nękanych wojną krajów arabskich? Czy w Smoleńsku był zamach? Czy likwidacja gimnazjum ma sens? Czy aborcja powinna być dostępna? ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 464d4774fb

TAK SIĘ BAWI POLICJA

Stereotypowo Niemcy postrzegani są jako naród wielbiący porządek. Z tym stereotypem dzielnie powalczyli niemieccy policjanci, których przed szczytem G20 zgrupowano w Bad Segeberg niedaleko Hamburga. Ekipa mundurowych z Berlina urządziła sobie nie tylko mocną alkoholową libację, lecz także seksimprezę, podczas której łączono się w pary na stołach, a jedna z funkcjonariuszek tańczyła ubrana tylko w kąpielowy płaszcz, za to ze służbowym pistoletem w ręku. Impreza berlińczyków nie przypadła do gustu funkcjonariuszom z innych rejonów kraju. Ich uwagi jednak zignorowano i doszło nawet do bójki. Ostatecznie w atmosferze skandalu berliński oddział odesłano do stolicy.

MUNDUROWY KURIER

Podczas gdy Niemcy mają wizerunkowy problem z policjantami urządzającymi orgie, włoscy karabinierzy muszą zmagać się z kolegami, którzy pracują dla mafii. Niedawno wytropili 54-letniego Giuseppe, funkcjonariusza z Neapolu, który był narkotykowym kurierem. Przyłapali go na gorącym uczynku na autostradzie niedaleko Frosinone. W aucie wiózł 13 kg haszyszu. W domu miał jeszcze 8 kg tego narkotyku oraz 1,5 kg kokainy i kilkadziesiąt sztuk amunicji różnego kalibru.

MONETĄ NA NIESZCZĘŚCIE

Zostawianie miedziaków w wodzie ma w magiczny sposób pomóc wrócić w takie miejsce i zobaczyć jego piękno raz jeszcze oraz przynieść szczęście np. w miłości. Pasażerka lotu z Szanghaju do Guangzhou postanowiła skorzystać z takiej „mocy" monet i rzuciła ich garść prosto w silnik samolotu, aby jej podróż była szczęśliwa. Jeśli szczęśliwą podróżą można nazwać dodatkowy przegląd techniczny, kilkugodzinne opóźnienie lotu i śledztwo w tej sprawie, to starsza pani osiągnęła cel.

BRANSOLETKOWY UPADEK

Jeśli ktoś ma wyjątkowego pecha, to nie powinien wybierać się na targi jubilerskie, a już na pewno nie powinien oglądać kruchych arcydzieł. Pewna turystka w Chinach przymierzała bransoletkę z jadeitu. Gdy usłyszała cenę – 44 tys. dol. – w takiej panice zaczęła ją zdejmować, że ozdobę potłukła. A wtedy zemdlała. Po ocuceniu dowiedziała się, że do spłaty ma 26 tys. dol. (na tyle ozdobę wycenił niezależny rzeczoznawca). ©℗

TOALETOWY PRZEŁOM

We współczesnym świecie wiele jest zagrożeń – a jednym z najpoważniejszych, jak wiadomo, jest zagrożenie związane z określaniem płci. Nie ma nic bardziej uwłaczającego jak uznanie kogoś za kobietę albo mężczyznę. Świadome społeczeństwa nie tylko rozwijają więc studia w tej dziedzinie, lecz także pracują nad mechanizmami zabezpieczającymi ludzi w tej kwestii. Działająca w Finlandii organizacja rządowa Culture For All przedstawiła niedawno ważny projekt – to neutralny płciowo symbol do oznaczania miejsc w przestrzeni publicznej. Wskazywać będzie, że np. toaleta przeznaczona jest nie tylko dla obu płci, lecz także dla osób, które nie identyfikują się z żadną płcią. Culture For All zachęca teraz, by tego oznaczenia używać w toaletach i przebieralniach dla klientów rozmaitych przybytków oraz w pomieszczeniach dla pracowników tych instytucji.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 464d4774fb

Uwierające futra

Parlamentarny Zespół Przyjaciół Zwierząt chce zakazać w Polsce hodowli zwierząt futerkowych. To byłby koniec branży, która każdego roku odprowadza do budżetu państwa setki milionów złotych.

FOT. FOTOLIA

Polska jest dziś prawdziwym czempionem pod względem produkcji skóry zwierząt futerkowych - drugim w Europie (po Danii) i trzecim na świecie (po Danii i Chinach). Niemal 100 proc. jej produkcji trafia na eksport, którego wartość szacowana jest na 1,3 mld zł. To niemal 3 proc. ogółu wartości eksportu rolno-spożywczego w Polsce. W ub. r. sprzedaliśmy za granicę towar za niemal 2,5 mld zł. To poważne liczby i próżno szukać podobnych wskaźników w innych sektorach produkcji rolnej. Korzysta na tym budżet państwa - w 2013 roku hodowcy zwierząt futerkowych zasilili finanse publiczne kwotą prawie 300 mln zł z podatków i składek społecznych, a dochody ludności wygenerowane w całej gospodarce dzięki działalności ferm zwierząt futerkowych wyniosły około pół miliarda złotych (raport "Wpływ ekonomiczny hodowli zwierząt futerkowych na gospodarkę Polski", PWC, 2014.) Dziś w kraju działa oficjalnie dwa tysiące ferm, które dają zatrudnienie 10 tysiącom osób, a kolejne 40 tysięcy pracuje m.in. przy produkcji pasz, klatek czy usług związanych z hodowlą. Hodowane są przede wszystkim norki, których futra cieszą się uznaniem na takich rynkach, jak: Chiny, Kanada, Stany Zjednoczone czy kraje skandynawskie. Dostarczamy ich już około 10 mln skór rocznie.

Najwięcej hodowców zwierząt futerkowych funkcjonuje w Wielkopolsce i na zachodnim Pomorzu. To tam otworzył swój oddział jeden z największych domów aukcyjnych świata – NAFA (North American Fur Auctions), który skupuje skóry od naszych producentów. Ale zdaniem posłów parlamentarnego zespołu przyjaciół zwierząt, nie ma powodu byśmy byli w Europie miejscem, gdzie przenosi się niechciane hodowle. I dlatego zespół przygotował projekt ustawy, który może sprawić, że z dnia na dzień polskie firmy, które swoim produktem podbijają cały świat, przestaną istnieć.

- Kilkadziesiąt tysięcy osób znalazłoby się na bruku. Ci ludzie zostaliby pozbawieni wszelkich środków do życia, a sami hodowcy zostaliby na lodzie z perspektywą konieczności spłaty wielomilionowych kredytów. Straci na tym także państwo, bo przedsiębiorcom trzeba będzie wypłacić gigantyczne odszkodowania - mówi dla "Do Rzeczy" Jacek Podgórski, dyrektor w Instytucie Gospodarki Rolnej.

CELEBRYCI I EKOLODZY

Parlamentarzystom przeciwnym hodowli zwierząt futerkowych w Polsce sprzyjają celebryci. Nie tak dawno ak-

eprasa.pl 464d4774fb

torka i modelka Joanna Krupa zwróciła się z pisemną prośbą do premier Beaty Szydło oraz do posłów obecnej kadencji, by opowiedzieli się za wprowadzeniem zakazu hodowli zwierząt na futro w Polsce. Krupie publicznego wsparcia udzielił też Robert Biedroń, prezydent Słupska. Po stronie hodowców nie ma gwiazd showbiznesu i polityki, są za to zwykli ludzie, którzy piszą w internecie: Albo zakaz hodowli WSZYSTKICH zwierząt albo żadnych! Świnia jest inteligentniejsza od psa. Cielę prowadzone na rzeź płacze. Skończmy z hipokryzją!

Hodowcy mają jednak na karku nie tylko polityków i celebrytów, ale przede wszystkim ekologów, którzy zarzucają im złe traktowanie zwierząt i w efekcie cierpienie tych stworzeń. Zarzuty te hodowcy uważają za absurdalne, bo nie da się osiągnąć dobrej jakości futer, a co za tym idzie równie dobrej ceny, bez dbania o dobrostan zwierząt.

- Dobrostan i zbilansowane żywienie są podstawą sukcesu w hodowli. Ubój odbywa się poprzez usypianie tlenkiem węgla, dzięki czemu zwierzęta nie cierpią - zapewnia Zbigniew Piątak, właściciel firmy Visonex, zatrudniającej ponad 100 osób.

A Daniel Żurek, hodowca norek i dyrektor zarządzający Futrex, producenta karmy dla norek, dodaje:

- Ekolodzy zatrudniają się na fermach hodowlanych i nakręcają wyreżyserowane i odegrane przez siebie sceny znęcania się nad zwierzętami. Wiosną tego roku wtargnęli na fermę norek firmy BDM i wypuścili samice, które kilka dni wcześniej wydały młode, co spowodowało śmierć głodową młodych osobników. Narzuca się retoryczne pytanie czy tak postępuje ekolog? - dziwi się Żurek.

BEZ PATOLOGII

Hodowcy przyznają jednak, że ponieważ rozwój branży był w ostatnich latach gwałtowny, urósł pewien margines patologii, którego chcą się pozbyć.

- Mamy plany zmian legislacyjnych, które w szybkim czasie skutecznie i bez ujmy dla gospodarki i społeczeństwa wyregulują tą branżę i zlikwidują margines patologii. Chcemy przedstawić posłom swoje propozycje. Są to m.in.: powołanie branżowej izby gospodarczej, której zadaniem będzie - poza certyfikacją ferm - szkolenie hodowców i dawanie oraz odbieranie tytułów zawodowych, które będą niezbędne, aby prowadzić tego rodzaju działalność - opowiada Piątak.

Już dziś polskie hodowle podlegają ścisłej kontroli Powiatowych Inspektoratów Weterynarii, Powiatowych Inspekcji Pracy, Wojewódzkich Inspektorów Ochrony Środowiska oraz Powiatowych Inspektorów Nadzoru Budowlanego. Jak wynika z zapewnień Ministerstwa Infrastruktury i Budownictwa od 2018 roku obowiązywać zacznie nowy Kodeks Budowalny, który dopuszczać będzie lokowanie ferm zwierząt futerkowych tylko tam, gdzie przewidywać będzie to miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. Dodatkowo, w konsekwencji porozumienia zawartego między Ministerstwem Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Ministerstwem Środowiska oraz Ministerstwem Infrastruktury i Budownictwa, fermy zwierząt futerkowych będą musiały zostać wyposażone w elementy zapobiegające ucieczkom zwierząt (podwójne i wyższe ogrodzenia, żywołapki) oraz większe klatki. Ministerstwo Środowiska pracuje też nad projektem tzw. Ustawy antyodorowej, która ma na celu zminimalizowanie uciążliwości zapachowych powodowanych przez hodowle zwierząt (także zwierząt futerkowych). Także kontrole NIK wskazują na znaczną poprawę jakości na fermach zwierząt futerkowych. W samym tylko 2015 roku skontrolowano około 97 proc. ferm zwierząt futerkowych.

A jak poinformował Główny Inspektorat Weterynarii, Polscy hodowcy, niezależnie od przepisów określanych ustawami, już postanowili o wprowadzeniu na terenie Polski systemu certyfikacji ferm WelFur. Celem programu realizowanego przez niezależnych naukowców z siedmiu krajów UE zrzeszonych w FurEurope jest podwyższenie dobrostanu hodowanych zwierząt. Już w 2020 roku w sprzedaży znajdować się będą wyłącznie skóry pochodzące z certyfikowanych hodowli.

Co ciekawe, z sondażu przeprowadzonego przez IPSOS wynika, że aż 73 proc. respondentów popiera funkcjonowanie w Polsce ferm zwierząt futerkowych przy założeniu, że kładą one nacisk na jak najwyższe warunki bytowe zwierząt. Dla 74 proc. badanych to właśnie dobrostan zwierząt futerkowych jest czynnikiem decydującym o możliwości prowadzenia hodowli.

KONKURENCJA NIE ŚPI

Hodowcy zwierząt futerkowych zapowiadają, że nie złożą szybko broni. Zbyt długo pracowali na swój sukces, aby łatwo się poddać. Nie ma się też co łudzić, że ewentualny zakaz hodowli pomoże zwierzętom futerkowym. Popyt zaspokoi inny kraj, a Polska straci miejsca pracy i wpływy do budżetu.

- Ograniczenie hodowli w Polsce skutkowałoby intensywniejszą hodowlą w krajach konkurencyjnych w tym w Chinach, gdzie nie przestrzega się przepisów dotyczących dobrostanu zwierząt - zauważa dr. Tadeusz Jakubowski, Krajowy Specjalista Chorób Zwierząt Futerkowych z Zakładu Chorób Zakaźnych i Epidemiologii SGGW w Warszawie.

A Jacek Podgórski dodaje: - To, co się dzieje, jest po prostu niedorzeczne i poczytuję to jako przejaw działania na szkodę polskiej gospodarki, a bezpośrednio na szkodę samych Polaków. Nie wierzę, że osoby, które stać powinny na straży interesu narodowego, chcą za bezcen oddać naszego eksportowego czempiona Niemcom czy Rosjanom.

Zdaniem przedstawicieli branży likwidacja farm spowoduje też znaczne podwyżki cen drobiu i ryby. Okazuje się bowiem, że branża futerkowa jest bezpośrednim konkurentem branży utylizacyjnej. Obie bowiem potrzebują niejadalnych dla ludzi świeżych produktów ubocznych z kurczaków i ryb. Tylko dla firm z branży spożywczej to diametralna różnica, czy swoje produkty uboczne oddadzą do utylizacji i w związku z tym będą musieli za usługę zapłacić, czy sprzedadzą je producentom karmy dla norek i od producentów pieniądze otrzymają sami. Sam rynek takich odpadów jest w Polsce wart około 500 milionów złotych.

- Firmy utylizacyjne bardzo by chciały powrócić do starych czasów, gdy ubojnie drobiowe i przetwórnie rybne płaciły im za odbiór produktów ubocznych. A które dziś skupują hodowcy norek do karmienia zwierząt, przez co cena drobiu i ryby na półkach sklepowych pozbawiona jest narzutu za utylizację produktów ubocznych - klaruje Żurek.

Jaka będzie przyszłość branży zobaczymy. Oby nie stało się tak, jak w przypadku uboju rytualnego. Wprowadzony w Polsce zakaz wcale nie ocalił zwierząt, które wożono nawet 700 kilometrów do ubojni niemieckich. Straciły więc polskie firmy, które oddały walkowerem rynki bliskowschodnie. Nie zyskały na tym zwierzęta, bo cierpiały jeszcze bardziej – oprócz uboju musiały znosić wielogodzinny transport za naszą zachodnią granicę.

Lidia Orzechowska

eprasa.pl 464d4774fb

Paryż – śladami Charles'a de Gaulle'a

Piotr Semka

Z imieniem słynnego Francuza spotkamy się już na lotnisku. A spacer jego śladami warto zacząć od Łuku Triumfalnego

Paryż znieważony, Paryż złamany, Paryż umęczony, Paryż wyzwolony..." – tymi słowami, wygłoszonymi 26 sierpnia 1944 r. w paryskim ratuszu, gen. Charles de Gaulle zdobył serca mieszkańców stolicy Francji. Urodził się co prawda w północnym Lille, ale większość życia spędził nad Sekwaną. Dla kogoś takiego jak on, niezwykle wyczulonego na „Grandeur de la France" (wielkość Francji), Paryż był symbolem galijskiej państwowości.

I też trudno w Paryżu o tym wieloletnim prezydencie, generale, mężu stanu i bohaterskim żołnierzu oraz przyjacielu Polski zapomnieć.

Bardzo możliwe, że z imieniem słynnego Francuza spotkamy się już na lotnisku, jeśli nasz samolot przyleci do portu lotniczego Charles'a de Gaulle'a.

Gdy już rozpakujemy walizki, spacer śladami generała warto zacząć od Łuku Triumfalnego. Na tym pomniku chwały armii cesarza Francji wyryto nazwiska 386 dowódców napoleońskich, w tym księcia Józefa Poniatowskiego, Jana Dąbrowskiego, Józefa Zajączka, Karola Kniaziewicza, Józefa Chłopickiego, Józefa Łazowskiego i Józefa Sułkowskiego (aż pięciu Józefów!). Plac otaczający łuk nosi nazwę Charles'a de Gaulle'a. To stąd 26 sierpnia 1944 r., niemal tuż po wyzwoleniu miasta, de Gaulle ruszył, entuzjastycznie witany, w dół Pól Elizejskich w kierunku paryskiego ratusza.

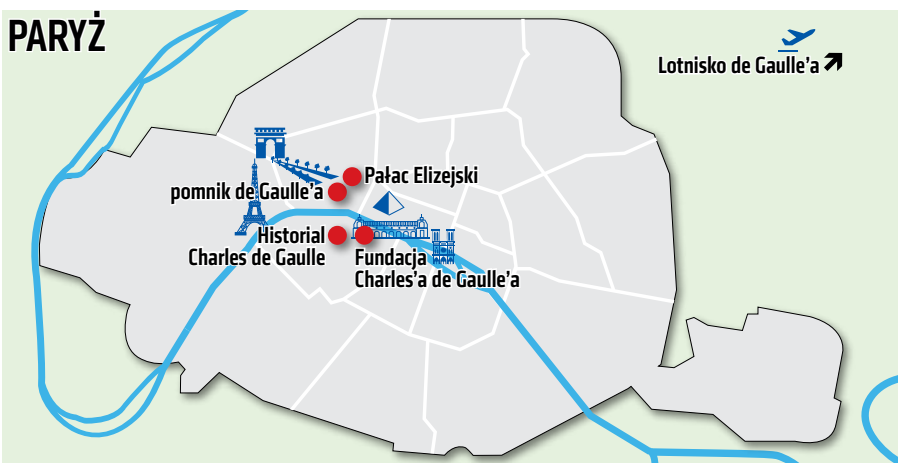

RYS. FOTOLIA, PEGAZ

Rozejrzyjmy się po najwyższych piętrach okolicznych kamienic. W filmie „Dzień szakala" z 1973 r. właśnie z jednego z tych mieszkań angielski snajper działający na zlecenie bojówek OAS próbował zastrzelić generała. Jak pamiętamy, de Gaulle'a w filmie uratował zaskakujący Anglika serdeczny gest prezydenta Francji wobec weterana Résistance – pocałunek w policzek.

Dwa kilometry w dół Champs Élysées, na rogu z Avenue Winston Churchill, stoi pomnik generała. Postać kroczącego dumnie de Gaulle'a znają dobrze warszawiacy, bo bliźniaczy pomnik stoi przy Al. Jerozolimskich.

Mało kto jednak wie, jaką scenę te monumenty uwieczniają. Otóż 26 sierpnia pochód z generałem, maszerujący w dół Pól Elizejskich, został nagle ostrzelany z okolicznego

eprasa.pl 464d4774fb

FOT. FOTOLIA

Coś na ząb po parysku

„Trudno jest rządzić krajem, w którym jest 246 gatunków sera" – wzdychał generał de Gaulle, gdy partykularyzmy różnych dzielnic kraju przysparzały mu zmartwień.

Jeśli chcecie osobiście przekonać się, jak smakuje choć parę z tych 246 (a chyba i więcej) gatunków sera, to udajcie się do Androuet – sklepu założonego w 1909 r., jednego z najlepszych sanktuariów serowarskich Paryża. Czułe nosy niech uważają – kakofonia zapachów, mimo wentylacji sklepu, potrafi być niełatwym doświadczeniem. Jak jednak twierdzą niektórzy Francuzi, ser, który nie śmierdzi, nie zachwyci waszych podniebień. Nie zapomnijcie spytać sprzedawcy, jakie wino pasuje do konkretnego gatunku sera.
Fromagerie Androuet, 6 rue Arsene Houssaye, Paris, tel. +33 1 42 61 97 55

***Charles de Gaulle** – (1890–1970), francuski mąż stanu, generał brygady. Uczestnik I wojny światowej. Od 1919 r. przebywał w Warszawie w ramach działalności francuskiej misji wojskowej w Polsce. Brał udział w Bitwie Warszawskiej 1920 r., za co został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. W 1924 r. ukończył paryską L'École de Guerre. Propagował rozbudowę wojsk pancernych. Od 1937 r. dowodził 507. Pułkiem Czołgów. W czasie kampanii 1940 r. dowodził 4. Dywizją Pancerną, która bohatersko walczyła z Niemcami w bitwach pod Laon i nad Sommą.*

W czerwcu 1940 r. został na krótko wiceministrem obrony narodowej. Jako przeciwnik kapitulacji Francji po zawieszeniu broni przez marszałka Philippe'a Petaina wyjechał do Londynu, gdzie powołał Komitet Wolnej Francji, a potem Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Dowodził wojskami „wolnych Francuzów". W latach 1944–1946 był szefem Rządu Tymczasowego. Po porażkach politycznych w latach 1947–1953 odsunął się od polityki.

Do władzy powrócił w czerwcu 1958 r. W latach 1959–1969 był prezydentem Francji. Zmarł 9 listopada 1970 r.

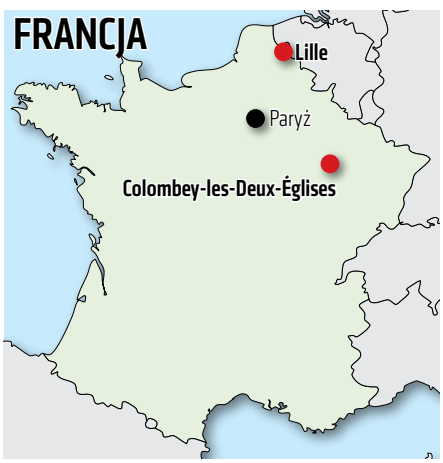

RYS. PEGAZ

dachu. Do dziś nie wiadomo, czy był to jakiś niezauważony niemiecki snajper czy fanatyczny zwolennik Vichy. Gdy padły strzały, wszyscy rzucili się na ziemię, tylko ostrzelany w bojach generał kroczył dalej z dumnie podniesioną głową.

Około 500 metrów dalej w kierunku Sekwany stoi pomnik Winstona Churchilla, sojusznika francuskiego przywódcy, który przysłał po niego samolot w dramatycznych chwilach upadku Francji w czerwcu 1940 r.

Przechodzimy most Aleksandra III i udajemy się w kierunku Pałacu Inwalidów. Tutaj poprzez wejście przy Rue de Grenelle nr 129 wchodzimy do specjalnego miejsca z ekspozycją ku czci generała: „Historial Charles de Gaulle".

Jakby było komuś mało wiedzy o „wolnych Francuzach", może odwiedzić dodatkowo w tym samym kompleksie gmachów Pałacu Inwalidów Muzeum Armii Francuskiej. W kościele Inwalidów pochylmy czoło nad grobowcem Napoleona.

Z sanktuarium francuskiej wojskowości kierujemy się na północ Paryża. Do miejsca, które będziemy mogli zobaczyć niestety tylko z dala – Pałacu Elizejskiego. De Gaulle był gospodarzem tej siedziby prezydentów Francji przez ponad 10 lat (od 1958 do 1969 r.). Jej dokładny adres to: 55 Rue du Faubourg Saint-Honoré, 75008 Paris, Francja. Czasy w Paryżu gorące, wyczulenie na terroryzm spore, więc radzę nie kręcić się zbyt długo wokół pałacu. No, chyba że znacie osobiście Emmanuela Macrona.

Znacznie mniejsze zainteresowanie policji może budzić wizyta w Fundacji Charles'a de Gaulle'a przy Rue de Solferino nr 5 w okolicach Muzeum Orsay. Zgromadzono tu dla naukowców i badaczy życia generała solidne archiwum dokumentów na temat największego Francuza XX w. Szczegóły na: www.charlesdegaulle.org.

Na koniec możemy wybrać się szlakami generała poza Paryż. Zacznijmy od rodzinnego miasta Lille. Przy Rue Princesse nr 9 znajduje się muzeum w domu rodzinnym generała (otwarte w godz. 10–18). Z Lille możemy udać się do grobu generała w wiosce Colombey de Deux Églises w departamencie Marny, 290 km na południowy wschód od Paryża. Na miejscu jest memoriał muzealny obrazujący życie de Gaulle'a (czynny codziennie w godz. 9.30–19). Nad wszystkim góruje wielki krzyż lotaryński – symbol sił gaullistowskich z lat wojny.

A po powrocie do kraju warto zajrzeć do twierdzy Nysa, w której de Gaulle przetrzymywany była jako jeniec w czasie I wojny światowej. Francuskiego męża stanu czci specjalna tablica. Inna tablica wisi przy Domu Śląskiej Muzyki i Tańca w Zabrzu (ul. De Gaulle'a 17). To tu we wrześniu 1967 r., w czasie wizyty w Polsce, de Gaulle wypowiedział słynne słowa: „Niech żyje Zabrze – najbardziej śląskie z miast śląskich, a zatem najbardziej polskie z miast polskich!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 464d4774fb

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Kociołek krzyżowca

Królestwo Jerozolimskie i przylegające do niego terytoria odebrane Turkom oraz Arabom w czasie pierwszej krucjaty górowały kulturalnie nad resztą Europy. Nawet w XIII w., kiedy ograniczały się do wąskiego pasa miast na brzegu Morza Śródziemnego, zadziwiały orientalnymi strojami, tunikami, turbanami i galabijami noszonymi przez miejscowe rycerstwo. Zamkami przypominającymi pałace z ogrodami, fontannami, dywanami i posadzkami z mozaiki, oświetlanymi świecami z wonnego wosku. Hełmami owiniętymi zawojami na wzór arabskiej kefii, które dały początek herbowym labrom.

Wykwint Orientu dotyczył także sztuki kulinarnej, która od europejskiej różniła się przede wszystkim – jak podaje Steven Runciman – kulturą stołu. W Ziemi Świętej jadano na złotej i srebrnej zastawie, posługiwano się sztućcami, podawano potrawy na fajansowych lub porcelanowych talerzach sprowadzonych z Chin. To właśnie tutaj po raz pierwszy przybysze z Zachodu zobaczyli plantacje trzciny cukrowej i poznali orientalne owoce – limony, granaty, pomarańcze.

Przepisy dawnych krzyżowców prawie się nie zachowały. Obecna zaś kuchnia Jerozolimy to mieszanina potraw znanych nam z kuchni tureckiej, takich jak falafel, hummus, żydowskiej i chrześcijańskiej, która jednak daje pewne wyobrażenie o tym, co podawano na stoły rycerzy i królów w Ziemi Świętej. Dzisiaj przygotowuje się tutaj dania przypominające tamte czasy – frikeh z klopsikami, drób z karmelizowaną cebulą, ryżem i kardamonem, doradę z harissą, kuminem (kminem rzymskim) i wodą różaną, ryż z szafranem, owocami berberysu i pistacjami.

Georges Bordonove pisze – w swojej pracy o templariuszach – że na stół trafiały takie same potrawy jak w Europie – warzywa, ryby, wołowina, baranina i drób. Jednak dorzucano do nich arabskie sosy i ogromne zestawy przypraw nieznanych na Zachodzie. A więc: biały i czarny pieprz, kardamon, cynamon, goździki, kwiat muszkatołowy, imbir, kurkumę, kminek. Przyprawiano też napoje – do piwa dodawano nardu, gałki muszkatołowej i goździków, a do potraw używano aromatyzowanego octu. Być może właśnie w Ziemi Świętej narodził się zwyczaj, że ryby skrapiano sokiem z cytryn. Na zakończenie posiłku pojawiały się słodycze – późniejsze wety, np. konfitury z Damaszku czy laski imbiru w cukrze.

Daleko prostsze było jedzenie zakonów rycerskich, np. templariuszy. Zwykle na stół trafiały wołowina i baranina z warzywami oraz przyprawami, jednak każdy brat mógł wziąć tylko jeden rodzaj mięsa. Komandorie podawały także własne sery, wino i jęczmienne piwo. Jednak i ten skromny posiłek w Ziemi Świętej przerywał jakże często sygnał: – „Do broni!”. ©℗

FOT. FOTOLIA (2)

Dorada z płatkami róży

Bierzemy 1,5 łyżki harissy (ostrej orientalnej przyprawy z papryczek chili, czosnku, kolendry, kminu rzymskiego i oliwy, kupionej w sklepie arabskim), jedną łyżeczkę mielonego kuminu (kminu rzymskiego) i pół łyżeczki soli. Mieszamy i smarujemy tą marynatą cztery duże kawałki filetów z dorady (ryba morska z rejonu Morza Śródziemnego, do kupienia w sklepach). Następnie wkładamy je do lodówki na blisko dwie godziny.

Po tym czasie wyjmujemy filety i obtaczamy je w mące pszennej. Smażymy po dwie–trzy minuty na rozgrzanej oliwie z oliwek. Potem przekładamy rybę na talerz, a na patelnię wrzucamy dwie pokrojone w kostkę cebule i przysmażamy, aż staną się złociste. Następnie dodajemy 1,5 łyżeczki harissy, 100 ml octu z czerwonego wina, łyżeczkę cynamonu, pół łyżeczki soli i sypiemy świeżo roztarty czarny pieprz. Dolewamy 200 ml wody, dusimy to wszystko przez jakieś 15 min. Kiedy sos zgęstnieje, dodajemy dwie łyżeczki miodu, łyżkę wody różanej, garść rodzynków i podsmażamy przez kolejne trzy minuty. Następnie wkładamy do sosu filety i smażymy przez niemal trzy–pięć minut na niewielkim ogniu. Przed podaniem posypujemy płatkami róży i zmieloną kolendrą. Dobrym dodatkiem jest ryż albo kuskus.

eprasa.pl 464d4774fb

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Alkaliczne gotowanie

Do niedawna tylko zawodowi dietetycy i lekarze gastrolodzy słyszeli o zakwaszonym organizmie. Gdy problem pojawił się w reklamach telewizyjnych, niewtajemniczeni zaczęli podejrzewać, że chcą nas nabrać na kolejne z nieznanych wcześniej schorzeń, wymyślonych przez reklamę wespół z przemysłem farmaceutycznym po to, żeby wetknąć nam nowe lekarstwa. Coś w stylu syndromu niespokojnych nóg.

Jednak wieść odbiła się szerokim echem. Teraz już wiemy na pewno, że jesteśmy wręcz okropnie zakwaszeni i powinniśmy koniecznie coś z tym zrobić. Naprzeciw potrzebie wychodzi książka „Alkaliczne gotowanie", o tytule bardziej chemicznym niż apetycznym, ale w końcu nasze jedzenie to chemia... Celowości książki nie podważam, referuję zatem najważniejsze postulaty autorek – Beaty Sokołowskiej i Edyty Skorupskiej. Przekonują, że problemu nie powinno się ignorować. „W diecie przeciętnej osoby w naszym kraju wciąż brakuje wystarczającej ilości pożywienia zasadotwórczego, a takie pomaga zachować cenną dla zdrowia równowagę kwasowo-zasadową". Powinniśmy zatem dbać, by 70–80 proc. stanowiły pokarmy alkalizujące, a od 20 do 30 proc. pokarmy zakwaszające – twierdzą.

O co toczy się gra? O więcej energii, zdrowe włosy i paznokcie, ładną cerę, lepszą koncentrację, dobry nastrój, utratę zbędnych kilogramów, poprawę pracy układu trawiennego... W ogóle o poprawę zdrowia.

SOKOŁOWSKA BEATA, SKORUPSKA EDYTA „ALKALICZNE GOTOWANIE PRZY ZIELONYM STOLE" MUZA 2017

Tym, że do groźnych produktów kwasowych należą mięso i produkty zwierzęce, nie jestem zdziwiona. Od dawna trąbi się, że powinniśmy ich jeść mniej. Kakao i kawa też zaliczyły niejedną listę oskarżonych. Jednak zła wiadomość jest taka, że zakwasza nas również to, o czym do tej pory mieliśmy jak najlepsze zdanie: ryby, wiele rodzajów orzechów, wiele zbóż i ziaren, razowy chleb oraz makaron, rośliny strączkowe, oleje rzepakowy oraz słonecznikowy.

Co nam zatem zostaje? Lista produktów alkalicznych, czyli tych, których powinniśmy jeść od 70 do 80 proc., paradoksalnie jest krótsza. Oczywiście są na niej warzywa, ich zalet dla zdrowotności nikt nie ośmieliłby się podważyć, są kasza gryczana i jaglana, owies, kiszonki, oliwa z oliwek. Pytanie, co rzeczywiście ma szansę przyjąć się w naszej niezbyt otwartej na nowości polskiej kuchni. Czy olej z wiesiołka lub ogórecznika, świeże daktyle, tofu i amarantus mają szansę ją podbić? Jedno pocieszenie: słodkości nie znalazły się na liście prohibitów. Tylko kto zdecyduje się na brownie z pieczonych batatów?

Autorki przypominają: jedz naturalnie, sezonowo, lokalnie, pamiętaj o śniadaniu i obowiązkowo czytaj skład gotowych produktów, jeśli takowe kupujesz. Już to wiecie? To posłuchajcie raz jeszcze oraz przeczytajcie porady i przepisy. Zdrowia nigdy za dużo! ©℗

„TO, CO ZWYKLE", CZYLI NA OBIEDZIE U STANISŁAWA SOYKI

Sam gotować nie potrafię, natomiast potrafię docenić dobrą kuchnię. Mógłbym opowiadać o wielu rzeczach, które jadłem i mi smakowały, ale jest pewna genialna potrawa, którą uwielbiam i która kojarzy mi się z domem. Jada się ją tu i tam, ale nikt nie potrafi przyrządzić jej tak doskonale jak moja mama. Dlatego gdy tylko zaglądam do domu rodzinnego i mama pyta, co zrobić na obiad, odpowiadam: „Przecież wiesz co, jak zwykle to samo".

Są to szare kluski, które na Śląsku nazywaliśmy „kluskami polskimi". Smakują wyśmienicie w zestawie z pieczenią lub roladą wołową nadziewaną boczkiem, ogórkiem i modrą kapustą przygotowywaną z dodatkiem czegoś słodkiego, np. drobno posiekanych jabłek. Jest jeszcze jeden wariant podawania szarych klusek – z omastą, drobno skrojonym boczkiem i popijanych gorącym mlekiem. To są dwa koronne dania, które szczególnie lubię.

SZARE KLUSKI

Składniki:

• ok. 1 kg ziemniaków • szklanka mąki pszennej • łyżka mąki ziemniaczanej • jajko • sól i pieprz

Przygotowanie:

Trzemy ziemniaki tak jak na placki, odciskamy wodę, dodajemy szklankę mąki pszennej, dużą łychę mąki ziemniaczanej, wbijamy jedno jajko, dodajemy sól, pieprz do smaku. Mieszamy wszystko, aż powstanie jednolita masa. Można z niej formować kluski bądź zgarniać ją łyżką i takie nieregularne kawałki wrzucać do gotującej się wody. Gotujemy ok. 2 min od wypłynięcia.

oprac. raw

Stanisław Soyka jest wokalistą jazzowym, pianistą, kompozytorem.

FOT. PIOTR BŁAWICKI/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 464d4774fb

NASZ TEST: VOLVO S60

Samochody Volvo kojarzą się głównie z bezpieczeństwem. Stylowa limuzyna, wyglądająca jak sedan z niewielką domieszką coupé, miała do tego wizerunku dodać nieco sportowego szaleństwa. I chociaż w kategorii „frajda z jazdy" projektantom z Volvo nie udało się pokonać niemieckich konkurentów, to szwedzkim autem można jeździć nie tylko bezpiecznie i komfortowo, lecz także bardzo szybko.

W KABINIE

Kabina jest wykończona minimalistycznie i elegancko. Może nie jest tak luksusowo lub nowocześnie jak w Audi A4, ale użyte materiały sprawiają wrażenie wysokiej jakości i są przyjemne w dotyku. Skórzane przednie fotele są niezwykle wygodne i dobrze podpierają ciało na zakrętach. S60 komfortowo mogą podróżować cztery osoby – wówczas na brak miejsca nie powinni narzekać nawet wysocy pasażerowie. Jeśli wybierzemy się w podróż w piątkę, to osoba siedząca na środku tylnej kanapy będzie miała prawo narzekać: nie będzie bowiem miała zbyt wiele przestrzeni ani na nogi, ani nad głową.

Pojemność bagażnika przy rozłożonych siedzeniach wynosi tylko 380 l – to mniej, niż oferują konkurenci, ale kufer jest na tyle ustawny, że spokojnie da się do niego zapakować parę walizek na weekendowy wyjazd.

JAZDA

Testowany model w wersji D4 – z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 190 KM – od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w 7,6 s, a maksymalnie można nim pędzić 230 km/godz. I chociaż jednostki wysokoprężne są ostatnio coraz

bardziej na cenzurowanym, to w tym przypadku Volvo ma się czym pochwalić: silnik przez cały czas chodzi cicho i sprawnie, a jego moc sprawia, że kierowca może się trochę pobawić. Bez zarzutów sprawuje się też automatyczna skrzynia biegów. Dość sztywno zawieszone auto dobrze trzyma się drogi i prowadzi się stabilnie. W kategorii „frajda z jazdy" niemieccy konkurenci nadal wypadają jednak lepiej.

Całkiem nieźle jest też z apetytem na paliwo. Podczas naszych testów szwedzka limuzyna spalała w cyklu mieszanym ok. 7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Szefowie Volvo robią wszystko, aby marka uchodziła za synonim bezpieczeństwa. W modelu S60 elektroniczni asystenci ostrzegają więc kierowcę przed pojazdami znajdującymi się w martwych polach lusterek, a także monitorują ruch poprzeczny. Auto potrafi również samodzielnie utrzymywać się w pasie ruchu, a adaptacyjny tempomat automatycznie dostosowuje prędkość do panującego ruchu. W trasie docenić można także aktywne światła drogowe, dzięki czemu można zapomnieć o konieczności przełączania świateł drogowych i mijania.

Limuzyna jest również wyposażona w system rozpoznawania znaków drogowych, a także w system City Safety, który w sytuacji, gdy zbyt szybko zbliżamy się do przeszkody, najpierw zaalarmuje kierowcę, a w razie potrzeby samodzielnie uruchomi hamulce, aby uniknąć uderzenia w inny samochód, w rowerzystę lub pieszego.

CENA

Najtańsze Volvo S60 z benzynowym silnikiem o mocy 152 KM i manualną skrzynią biegów kosztuje 123 tys. zł, ale taka jednostka może być zbyt słaba, by móc cieszyć się jazdą. Za model z automatyczną skrzynią oraz silnikiem Diesla (D4) o mocy 190 KM trzeba już zapłacić 153 tys. zł, a jeśli chcemy mieć do tego napęd na cztery koła, to rachunek wyniesie co najmniej 162 tys. zł.

Volvo jest więc nieco tańsze niż niemieccy konkurenci.

KONKURENCI

Audi A4, Alfa Romeo Giulia, BMW serii 3, Jaguar XE, Mercedes klasy C. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 464d4774fb

TEST „DO RZECZY": PENDRIVE'Y NA WAKACJE

Deszczowy początek lipca pokazał, że jeśli wybieramy się na urlop w naszym kraju, to warto na wszelki wypadek zapakować do plecaka parę elektronicznych gadżetów. A ponieważ eksperci jednym głosem zalecają unikanie otwartych sieci Wi-Fi, to przydatne mogą okazać się przenośne pamięci. W tym wydaniu testujemy trzy różnego typu pendrive'y.

Pierwszy model – HyperX Savage firmy Kingston o pojemności 64 GB – oferuje niezwykle szybki transfer danych. Może się więc przydać do przechowywania filmów, muzycznej płytoteki lub fotografii zrobionych w bardzo wysokich rozdzielczościach. Pendrive jest solidnie wykonany i zaprojektowany w nowoczesnej, eleganckiej stylistyce. Jego wadą może być jednak szerokość (2,3 cm), uniemożliwiająca w przypadku niektórych laptopów podłączenie do położonego tuż obok portu USB innego urządzenia. Deklarowana przez producenta szybkość odczytu (aż 350 MB/s) oraz zapisu (180 MB/s) sprawia, że pendrive ten błyskawicznie kopiuje duże pliki, np. nagrania w rozdzielczości 4K. Zwłaszcza że podczas testów udawało nam się osiągać nawet lepsze wyniki (czasem nawet powyżej 400 MB/s w odczycie i 220 MB/s w zapisie). Ceny: od ok. 172 zł (64 GB) do ok. 940 zł (512 GB).

Innym rozwiązaniem, wygodnym zwłaszcza jeśli na wakacje nie zabieramy komputera, lecz tylko tablet lub smartfon, może być pendrive z podwójnym interfejsem, np. model DataTraveler microDuo 3C. Niewielkich rozmiarów pamięć (jej wymiary to 2,99 cm x 1,66 cm x 0,8 cm) w plastikowej obudowie można podłączyć zarówno do urządzeń wyposażonych w standardowy port USB 3.0 (np. do starszych komputerów), jak i w port USB typu C (np. nowoczesne smartfony, tablety i komputery). Maksymalna szybkość zapisu i odczytu jest w tym przypadku przeciętna i wynosi odpowiednio 100 MB/s oraz 15 MB/s. Minusem jest też brak osłony na interfejs USB 3.0.

Zabierając pendrive'y w podróż, warto pamiętać, że te niewielkie gadżety bardzo łatwo można zgubić. Jeśli stracimy zdjęcia czy filmy z wakacji, to pół biedy. Gorzej, jeżeli nad morze na wszelki wypadek zabraliśmy ważne pliki firmowe. Aby np. baza danych z klientami nie trafiła w niepowołane ręce, można przenosić je na specjalnie zabezpieczonych pendrive'ach szyfrowanych. Jednym z takich gadżetów jest pamięć IronKey D300. Do zapewnienia bezpieczeństwa plików wykorzystuje ona 256-bitowe szyfrowanie sprzętowe.

Zaletą tego modelu jest też to, że po 10 próbach włamania na nasz dysk pamięć automatycznie się zablokuje i sformatuje. Sam proces szyfrowania lub odszyfrowywania danych odbywa się w układach pamięci i nie zostawia żadnego śladu w systemie, do którego podłączyliśmy naszego pendrive'a. Wzmocniona jest również obudowa z cynku, co zwiększa fizyczne bezpieczeństwo pamięci, a przy okazji sprawia, że pendrive jest wodoszczelny do głębokości 1,2 m. Wady to niewielka szybkość transferu danych (w modelu o pojemności 4 GB maksymalna szybkość odczytu i zapisu wynosi odpowiednio 80 MB/s oraz 12 MB/s) oraz wysoka cena, która wynosi od ok. 350 zł (4 GB) do niemal 1,2 tys. zł (32 GB). ©℗

Jacek Przybylski

CHIŃCZYCY TRZYMAJĄ SIĘ MOCNO

Po blisko roku używania Honor 7, zakupionego w kontrrewolucyjnym szale pt. „Czas zerwać z Samsungiem", i pierwszym oczarowaniu smartfonem chińskiego producenta kolejne miesiące przyniosły mieszane uczucia – bo i zdjęcia wbrew pierwszemu wrażeniu wcale nie są aż tak udane, jak być mogły, i bateria zbyt szybko przestała wytrzymywać cały dzień. Z mieszanymi uczuciami czekałem więc na premierę Honor 9, który – jak zapowiadają producenci – ma być nieco tańszym, młodszym bratem rewelacyjnego Huawei P10. Honor 9 trafił do sprzedaży na początku lipca. No i cóż, rzeczywiście jego projektanci mocno się postarali. Silnik telefonu to ośmiordzeniowy procesor Kirin 960. Uwagę przykuwają z pewnością przyzwoicie wykonany ekran o przekątnej 5,1 cala i świetnie prezentująca się, zrobiona z 15 warstw szkła zaokrąglona odbudowa, która w ciekawy sposób odbija światło i tworzy w ten sposób na swojej powierzchni kolorowe wzory. Całkiem nieźle prezentują się też aparaty fotograficzne w tym modelu: to dwie kamery 12 Mpix RGB oraz 20 Mpix mono z laserowym autofocusem i podwójną diodą doświetlającą oraz selfikowa kamerka 8 Mpix. Czego brakuje? Optycznej stabilizacji obrazu, co powinno już być standardem w smartfonach tej klasy. Do tego pamięć – w wersji, w której telefon trafi do Polski, to tylko 4 GB RAM i 64 GB pamięci wewnętrznej. Wizualnie świetny, technicznie całkiem dobry smartfon ma jednak jedną poważną wadę. Można go kupić w cenie od 1,8 tys. do nawet 2,1 tys. zł. Potencjalni nabywcy zapewne zastanowią się, czy trochę nie dołożyć i nie kupić jednak Huawei P10.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FALUJ Z MUZYKĄ

Za nieco ponad 350 zł można mieć przenośny głośnik, który wrzucony do wanny lub basenu pozwoli cieszyć się nie tylko muzyką, lecz także czymś w rodzaju quasi-jacuzzi. No, może z tym jacuzzi to lekka przesada, ale Zeppy – Your Sound Body, na którego produkcję projektanci właśnie zbierają środki na portalu Indiegogo – dzięki specjalnej membranie przekształca falę dźwiękową w falę wodną. Generalnie można więc posłuchać muzyki i cieszyć się lekkim wodnym masażem. Zeppy używane też jako „zausznik", np. podczas podróży samochodem, daje komfort delikatnego masażu karku, a to wszystko choćby przy relaksującej muzyce Vanessy Paradis czy Adele. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 464d4774fb

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Antypis, anty-Trump

MARCIN MAKOWSKI: W sobotę 1 lipca obserwowaliśmy korespondencyjne starcie pomiędzy PiS a PO. Partyjne zloty miały wyznaczyć polityczną narrację na resztę wakacji i spełniły ten cel, choć pod względem treści były od siebie odległe jak Wisła i Cracovia

MATTHEW TYRMAND: A czego można się było spodziewać? Przecież nie wymiany koszulek. Zacznę od PiS. Dobra pod względem umacniania przekazu rządu i podkreślania jego sukcesów konwencja, choć momentami niektóre przemówienia wydawały się za długie i po prostu przepakowane treścią. Nic się na to jednak nie poradzi, politycy dopuszczeni przed tłumem ludzi do mikrofonu zawsze tak mają. Chociaż na zlocie członków PO też gadaniny nie zabrakło, to z kolei cały event można było podsumować napisem wyświetlanym za plecami Schetyny: „Nie dla PiS". Myślę, że tak mocno skupili się na podkreślaniu własnej opozycyjności, bo wiedzą, że ich program nie ma wielkiego poparcia społecznego. Przyjmowanie imigrantów i większa integracja europejska to nie są filary, na których można dzisiaj w Polsce zbudować partię bijącą się o władzę, i oni o tym wiedzą. Przez przypadek spotkałem ostatnio na jakimś wydarzeniu w Warszawie Michała Szczerbę i powiedziałem mu o tym wprost: „Z tym programem Platforma przegra". Spojrzał na mnie i tylko kiwnął głową, nawet nie chciał się sprzeczać.

Sądzisz, że w ostatniej chwili przed wyborami PO zmieni swoją strategię? Paliwo antypisu wypala się niesamowicie szybko i może nie wystarczyć na dwa lata.

Nie sądzę, aby ci ludzie byli do tego zdolni. W tej chwili programowo nie przelicytują Prawa i Sprawiedliwości, „duch dziejów" im nie sprzyja, muszą więc stawiać na ostrą kontrę. Przecież PiS popełnia błędy, nie może liczyć na konstytucyjną większość. Pewnie gdzieś w zaciszach gabinetów kombinują, że wystarczy poczekać na potknięcie Kaczyńskiego i wróci się do gry. Moim zdaniem to za mało, bo patrząc na polską politykę z szerszej perspektywy, obecny rząd mimo wszystko ma bezprecedensową skalę poparcia w sondażach rozłożonych w czasie. Przecież to się nie bierze z powietrza, a sytuacja międzynarodowa przy konsekwentnym uporze Kaczyńskiego w trwaniu na linii suwerenności i antyglobalizmu działa raczej na jego korzyść. Nie Grzegorza Schetyny.

Gdy nasza rozmowa ukaże się w druku, będziemy już po wizycie Donalda Trumpa w Warszawie. Już przed nią mogliśmy jednak przeczytać w części lewicowo-liberalnych mediów, jak wielką katastrofą jest przylot prezydenta USA do Polski...

Pod tym względem część polskich mediów, o których wspomniałeś, pracuje w Stanach ramię w ramię ze swoimi ideologicznymi sojusznikami w Europie. Wieliński z „Wyborczej" wypłakuje się na Kaczora w „The New York Times", „Politico" załamuje ręce nad rozbijaniem Unii przez Trumpa, Anne Applebaum, gdzie się da, podkopuje znaczenie tej wizyty, twierdząc, że Trump zapewne nie wie, gdzie na mapie znajduje się Polska. Można się nie zgadzać z Trumpem i jego polityką, ale oni idą znacznie dalej – świadomie sabotują wizytę, której cel to również umocnienie polskiego bezpieczeństwa zarówno militarnego, jak i energetycznego. W walce o swoje liberalno-globalistyczne mrzonki zrobią wszystko, aby dojść do władzy, nawet kosztem polskiej racji stanu. Ten rodzaj wojny totalnej z przeciwnikiem politycznym James O'Keefe zdemaskował niedawno w przypadku CNN. Największa stacja informacyjna na świecie ustami swoich wydawców, którzy nie wiedzieli, że są nagrywani, przyznała, że szukanie powiązań Trumpa z Rosją to w dużej mierze bzdury, podkręcane sztucznie, ponieważ podnoszą oglądalność. Oni o tym wiedzą, a mimo tego nie chcą się cofnąć. Właśnie z takim przeciwnikiem mamy do czynienia. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 464d4774fb

republika

Piątek 20:40

dr Jerzy Targalski

GEOPOLITYCZNY
TYGIEL

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 464d4774fb

OKIEM BLOGERKI

Psy Pawłowa

KATARYNA

PRZEMYSŁAW SZUBARTOWICZ: PiS budzi faszyzm. To już było, to z tego pnia. „Nie kupuj u Żyda!", getta ławkowe, Jedwabne, pogrom kielecki, rok 1968. Wstyd, rodacy! Wstyd!

Co spowodowało histeryczne wzmożenie byłego dziennikarza publicznego radia? Chuligański incydent w klubokawiarni Życie Jest Fajne, w której ktoś namalował na szybie „Won". Gdyby taki napis pojawił się na oknie jakiejkolwiek innej kawiarni, jedyną reakcją byłoby wzruszenie ramion, ale ponieważ w tej konkretnej pracują osoby z autyzmem, można było incydent rozdmuchać do tego, do czego go rozdmuchał Szubartowicz, a razem z nim wielu innych komentatorów. Jak psy Pawłowa. Wina PiS.

Naprawdę trudno ten incydent traktować jako akt w jakikolwiek sposób polityczny

Gdyby wszyscy święcie oburzeni choć raz odwiedzili wspomnianą klubokawiarnię, wiedzieliby, że osoba z zewnątrz może nie mieć pojęcia, jak szczególna ekipa tam pracuje. Ba, może się nie zorientować, nawet będąc w środku, bo obsługa jest tak sprawna, że potencjalny klient może tam wypić kawę i wyjść z przekonaniem, że było to miejsce, jakich wiele, z obsługą taką jak w każdej innej kawiarni. Wysoko funkcjonujący autysta – a tylko tacy tam pracują – dopiero w bliższym kontakcie jest zauważalnie „inny", a i to nie każdy. Chuligan, który wymazał witrynę kawiarni, wcale nie musiał wiedzieć, kto jest tam zatrudniony, naprawdę trudno ten incydent traktować jako akt w jakikolwiek sposób polityczny, gdy nie wiadomo nawet, czy był adresowany do autystów, czy po prostu chuligan maznął, żeby maznąć, i zrobił to całkowicie bezideowo. Jednak jeśli jest okazja zapisać go do PiS, to dlaczego z niej nie skorzystać.

Kilka tygodni temu klubokawiarnia Życie Jest Fajne gościła pierwszą damę, która zupełnie spontanicznie przyjęła zaproszenie podczas jakiegoś spotkania z działaczami społecznymi w Pałacu Prezydenckim. Przyjechała bez medialnej obstawy, posiedziała z pracownikami, odpowiadając na ich często zaskakujące pytania, a na odchodnym zaprosiła ekipę klubokawiarni na rewizytę w pałacu. Kibicuję klubokawiarni od samego początku i nie przypominam sobie, aby inni politycy wykonali w kierunku pracujących tam autystów jakiś równie przyjazny gest, trzeba było chuligańskiego wyskoku, żeby niektórzy dostrzegli autystów pracujących w klubokawiarni. Wielu – wyłącznie jako rzekome ofiary PiS, choć cienia związku samego incydentu z PiS naprawdę trudno się dopatrzyć. Równie dobrze – i równie niecelnie – można byłoby całą winę za zdarzenie zwalić na środowiska proaborcyjne popierające aborcję eugeniczną chorych i niepełnosprawnych.

Może zamiast wciągać autystów z klubokawiarni na partyjne sztandary, wpaść do nich na kawę i ciastko? Bo z tego się utrzymują. Ostatnie, czego potrzebują, to wpisanie ich w polsko-polską wojnę.

I jakby ktoś pytał – ul. Grójecka 68. ©℗

PODSŁUCHANE

Ciężka sprawa

Grzegorz, powiem ci – dobrze nie jest.
To, to ja wiem nie od dziś, Gosiu. Ale o co ci konkretnie chodzi?

O Trumpa. Cała strategia nam się posypała. Rafał tu mi rozpisał, co mówić, ale wszystko było oparte na założeniu, że Trump nic nie powie o artykule piątym. Powiedział, niestety.
Fakt, sam słyszałem.

Ale gorzej jest, Donek nas wkopuje.
Mnie wkopuje, żeby być ścisłym. Jak?

Powiedział, że to ciężki moment dla opozycji.
Żadne odkrycie. Mamy same ciężkie momenty od 2015 r.

Ale że sukces dyplomatyczny jest niekwestionowany. Słowem – musimy jakąś nową opowieść mieć, bo tamta nam się posypała.
Ja bym uciekał do przodu. Tego już nie uratujemy, trudno. Teraz skupmy się na naradzie z Władkiem i Lechem, jak mają usiąść dziesiątego, żeby ich nie było łatwo wynieść.

O, to ja tu mam pomysł. W aucie, w bagażniku, mam trochę takich starych odważników do wagi rolniczej. Z działki przywiozłam. W sumie 80 kilo. Jak oni sobie ich napakują do kieszeni, to ich tak łatwo nie podniosą.
Świetnie! Tak trzeba – nowe koncepcje, możliwości, wyzwania. To mi się podoba! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To był komplement napalonego samca, który kładzie dłoń na kobiecym udzie, zapuszcza żurawia za dekolt i szepce »ma pani piękne oczy«".

JACEK ŻAKOWSKI, *publicysta, o komplementach pod adresem Polski i Polaków w przemówieniu prezydenta USA*

eprasa.pl 464d4774fb

fot. Jerzy Gumowski

Wolność

Korzystając z chwilowej wolności słowa, która na skutek zaskakującego przeoczenia kaczystowskiego panuje jeszcze w totalitarnym państwie PiS–u, chciałbym dziś wyłożyć Czytelnikom kilka luźnych refleksji à propos wolności jako takiej. Została ona unieśmiertelniona nie tylko wszystkimi konstytucjami państwowymi (m.in. w państwach arcyrepresyjnych) tudzież hymnami narodowymi globu, lecz również literaturą i poezją, plus popkulturą XX wieku (exemplum kapitalna piosenka Steve Wondera **„Free”**). Literackich cytatów potrafiłbym rzucić dużo, ale z braku miejsca musi wystarczyć jeden. Cervantesowski don Kichot (1604) tłumaczy swemu giermkowi: *„ — Wolność, Sanczo, to najcenniejszy dar, jaki Niebo użycza ludziom. Nie mogą się z nim równać żadne skarby skryte w głębi ziemi czy w głębinach mórz. Dla wolności, podobnie jak dla czci, nie tylko można, lecz trzeba narażać życie, ponieważ najgorszym złem dotykającym istotę ludzką jest niewola”*. Wiadomo wszakże, iż rozmaite *„naj”* są względne, i że niewola bywa źródłem satysfakcji, czego świetny przykład to sowieckie gułagi, które relatywizowały stopień nieszczęścia, jaki wlepia więzienne zniewolenie. Bardzo przekonująco wyłożył tę rzecz Bogusławowi Chrabocie pewien enkawudzista: *„ — Pozałagrowa większość jest szczęśliwa, iż nie siedzi. Skazani na dwa lata są szczęśliwi, że nie trafiła im się odsiadka pięcioletnia. Ci, co siedzą pięć lat, cieszą się, że nie dostali wyroku dziesięcioletniego. Ci, co dostali dychę, są zadowoleni, że nie zostali skazani na lat dwadzieścia pięć. A ci, co dostali dwadzieścia pięć, błogosławią partię, że nie dostali «czapy»”*.

Z literatury zacytowałem Hiszpana, z poezji zacytuję Hemara. Jego *„ptak wolności”* (który dawniej mi przypominał brzmieniowo tytuł filmu Richarda Brooksa **„Słodki ptak młodości”**) fruwa sobie radośnie, ciesząc się słońcem porannym i nie dostrzegając skradających się gróźb:

„A już w niebie błyszczącym jaskrawie
Czarny jastrząb nieruchomo wisi.
W krzach puszystych,
w szmaragdowej trawie
Zwinna śmierć, rudy błysk — pysk lisi”.

Dybiący na wolność drapieżcy lubią strugać (z łamów prasy, monitorów, mównic i ulic marszowych) krzewicieli bądź obrońców *„demokracji”*, która jest dla nich tylko hasełkiem, żonglerskim słówkiem, nie zaś imperatywem. Podobnie jak słówko *„wolność”*. W swej pożegnalnej mowie do Kongresu George Washington rzekł: *„ — Wolność to tylko słówko, jeśli rząd jest zbyt słaby i nie daje rady chronić bezpieczeństwa ludzi oraz praw własności, a także unikać nacisku frakcyjnych przedsięwzięć”*. Dzisiaj jest to w Polsce wściekły nacisk mocarnych *„grup interesu”*, które tracą grunt pod nogami odkąd przegrał platformiany Układ, zaś w całej Europie nacisk lewactwa salonowego, które wymusza stadny respekt dla *„politycznej poprawności”* (*„tolerancji”*, *„multikulturalizmu”*, *„genderyzmu”*, itd.), podczas gdy esencją prawdziwej wolności jest *„wolność jednostki”*. Coraz bardziej tłamszona walcem *„postępu”*. I jakby tego było mało — straszona jeszcze groźbą *„szariatu”*, bo muzułmanie zalewają Europę, by ją po swojemu zniewolić. Islamiści w gigantycznych demonstracjach wymachują tysiącami transparentów z napisem: „ISLAM WILL DOMINATE THE WORLD — FREEDOM CAN GO TO HELL!” (Islam zdominuje świat — wolność niech idzie do piekła!), co przypomina nazistowskie ryki i transparenty: „WIR SCHEISSEN AUF FREIHEIT!” (Sramy na wolność!).

My, Polacy, nie sramy na wolność. I nigdy tego nie robiliśmy (nawet targowiczanie

∞

Liberty, Libertad, Liberté

∞

sądzili i głosili, że bronią wolności). Kanclerz Wielki Koronny Jan Zamoyski błogosławił *„libertas”*, zapewniając: *„Fundamentem naszej Rzeczypospolitej jest wolność”*. Mieszkający w Polsce holenderski aktor i reżyser Redbad Klijnstra zaprosił nad Wisłę grono artystów holenderskich i później rzekł Robertowi Mazurkowi: *„ — Wywieźli z Polski silne przeświadczenie, że dla Polaków najważniejsza jest wolność, że to istota polskiej tożsamości. Nawet Powstanie Warszawskie o tym świadczy, bo zrozumieli, że dla Polaków te kilka tygodni wolności warte było najwyższej nawet ceny. Bo można zginąć, byleby wolnym”* (2016). Dokładnie tak samo myśleli nasi powstańcy romantyczni w XIX wieku, a nasi poeci romantyczni nie szczędzili dla wolności słów (Kazimierz Brodziński: *„Byliśmy walk za wolność i ojczyznę wzorem”*; Antoni Gorecki: *„My niesiem modły przed Twoje ołtarze/Zostaw nas, Panie, przy wolności darze”*; etc.). Jednak największy z nich (obok Mickiewicza), Juliusz Słowacki, przestrzegał:

„Drą się o wolność — Boże,
nachylaj im grzbietu,
Bo wolność jest jakoby posiadanie fletu;
Jeśli go weźmie człowiek
muzyki nieświadom,
Piersi straci — i uszy sfałszuje sąsiadom”.

Według prawicy i wszelkich antysalonowców dowodem takiego fałszowania jest salonowa III Rzeczpospolita, sterowana *„z tylnego siedzenia”* przez *„kryszę”* postesbecką, gdyż esbecja była położną tego tworu (heros *„pierwszej «Solidarności»”*, Andrzej Gwiazda: *„ — To wszystko była robota służb. Między bajki należy włożyć legendę, że to «Solidarność» obaliła komunizm. Komunizm, czyli partię, obaliło jej zbrojne ramię, czyli służby specjalne”*, 2015). Ale społeczeństwo (en gros) ma to dzisiaj gdzieś — więcej Polaków interesuje się ruchami wolnościowymi (autonomicznymi) w Europie niż kulisami rodzimej *„transformacji”*. I gdy już napomykam o tych ruchach niepodległościowych — muszę wyznać, że zauważyłem tu pewną ciekawą regułę geograficzną: środkowe (centralne) obszary państw są spokojne, żadnych buntowników, podczas gdy gryzą wędzidła i pragną zrywać zależności tylko obszary górne (północne) i dolne (południowe). Czasami oba naraz, czasami jedynie północ, samo południe nigdzie. Oba naraz we Francji (Bretania i Korsyka) oraz w Polsce (Kaszuby i Śląsk), zaś sama góra (północ) w Hiszpanii (Kraj Basków i Katalonia), w Wielkiej Brytanii (Szkocja), w Belgii (Flandria) czy we Włoszech (Lombardia). Jest się czego bać: na Śląsku szarogęsi się RAŚ (którego lider lubi nosić czapkę esesmana — sic!), a media przypominają, że sam Tusk *„wystąpił kiedyś z żądaniem autonomii dla Kaszubów, z prawem do własnego rządu, własnej waluty i własnej armii”* (**„Rzeczpospolita”** 2015).

Tknijmy na koniec jeszcze raz problemy osobistej wolności. Tę straszliwie ograniczyła penetracja elektroniczna (internet, komórki, kamery monitoringu ulicznego & satelitarnego, podsłuchy, itd.). Wszyscy fani tej nowoczesności stają się zupełnie roznegliżowani, bo przecież brak intymności to brak wolności. Inna sprawa, że wielu uprawia ekshibicjonizm *„sieciowy”* biorąc to za wyzwolenie, ale się mylą — to nie wolność, tylko patologia na bazie próżności i bezwstydu. Kolejny wolnościowy problem ery dzisiejszej stanowi *„wolna miłość”* (plus *„freedom”* w multiplikowaniu partnerów). Niektórzy kpią, że ikona rodzimej wolności politycznej (tej antyesbeckiej), Kornel Morawiecki, przyznał się w wywiadzie dla **„Super Expressu”**, iż właściwie ma dwie żony, a raczej nawet trzy jednocześnie, i że każdą po równo kocha. Uznano to krytycznie za *„muzułmańską obyczajowość”*, ale obrońcy twierdzą, że nestor wolności jest po prostu *„misterem wigoru”*. Co mi przypomina lekarza wojskowego, Grega Smitha, którego poznałem w Namibii, i który jak mało kto rozumiał kobiety. Miliony kobiet we wszystkich krajach świata cierpią, bo gruboskórni faceci, wiecznie zajęci swymi głupotami (karierami, nałogami), nie umieją ich zrozumieć. Greg na taki nietakt nie pozwoliłby sobie nigdy. Z miejsca rozumiał każdą kobietę i dlatego zaliczał trzy tygodniowo. Widząc to zrozumiałem, że mam do czynienia z bojownikiem wolności w szerszym niż polityczne znaczeniu. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 464d4774fb

Każdego dnia towarzyszymy ludziom w drodze do różnych celów.
Angażujemy się w działania na rzecz poprawy bezpieczeństwa i komfortu podróżowania. Wspieramy ratowników GOPR, dostarczając wysokiej jakości paliwo - niezawodne w ekstremalnych warunkach.

ORLEN Najbliżej

orlen.pl

eprasa.pl 464d4774fb